JAK MAFIA PORWAŁA POLSKĘ
Brutalne gangi bezwzględnie wykorzystały niemoc państwa

WIELKI SHOW KANIBALI
Najsłynniejsi zwyrodnialcy XX w. wodzili policjantów za nos

WENECKIE IMPERIUM ATAKUJE
Jak kupcy z miasta na wodzie stworzyli potęgę w basenie Morza Śródziemnego

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 3(145)/2025 MARZEC 2025

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Dolary, bazary i afery

SZALONE LATA 90.

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 03

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

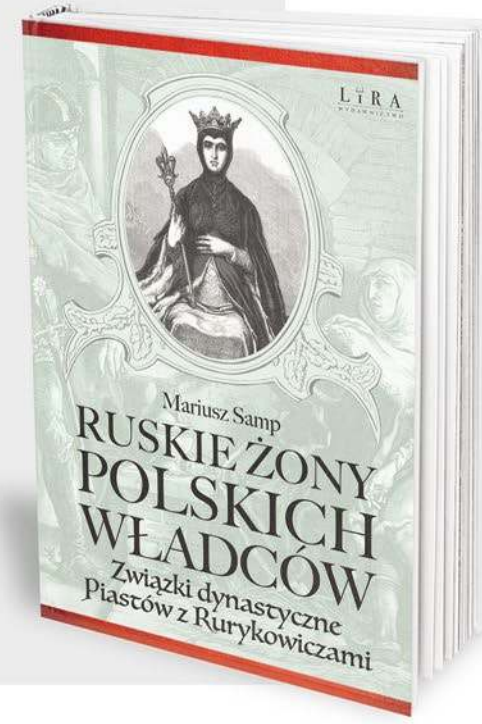
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MARIUSZ SAMP: „RUSKIE ŻONY POLSKICH WŁADCÓW. ZWIĄZKI DYNASTYCZNE PIASTÓW Z RURYKOWICZAMI”

Ruskie żony polskich władców. Związki dynastyczne Piastów z Rurykowiczami

Począwszy od czasów Kazimierza Odnowiciela, wśród piastowskich małżonek najwięcej było kobiet pochodzących z Rusi Kijowskiej, co miało na celu sprzymierzenie się z Rurykowiczami. Większość małżeństw zawieranych na przestrzeni wieków przez polskich władców była bowiem mariażami politycznymi. Służyły one nawiązaniu lub umocnieniu sojuszu z innym państwem.

Jaką rolę odgrywały Rusinki u boku swych mężów? Co wiemy o ich codziennym życiu? Czy potrafiły się odnaleźć w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Jak sprawdzały się jako matki i żony?

W swojej najnowszej książce dr Mariusz Samp szuka odpowiedzi na te pytania. Na podstawie dostępnych źródeł kreśli portrety kobiet – ruskich księżniczek, dla których los często nie był łaskawy. Niektóre z nich zapisały się w historii jako silne osobowości. Zapraszamy czytelników w kolejną podróż w odległe czasy średniowiecza!



162 zł

oszczędność 52 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a7c1105b6a

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 22 maja 1927 r.

Agitacja na placu Trzech Krzyży w dniu wyborów do rady miejskiej



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Polska zawieszona

Kto nie wspomina z sentymentem tamtej nowej, kolorowej Polski? Polski, która w końcu przestała być obrzydliwym, szarym PRL i w rytm disco polo obrała kurs na Zachód. Polski, w której nagle można było dostać właściwie wszystko to, co do niedawna kojarzyło się z luksusem zarezerwowanym dla mieszkańców państw zachodnich. Te nowo powstałe supermarkety, fast foody z niespotykanymi rarytasami w postaci przesolonych frytek czy gumowych hamburgerów, telewizja z uzależniającymi brazylijskimi „tasiemcami" czy niezapomniane targowiska z mydłem i powidłem, gdzie nikt nie słyszał o paragonach. I oczywiście powszechny zachwyt nad wszystkim, co amerykańskie.

Jednakże sentyment do Polski z lat 90. miesza się z mniej kolorowymi wspomnieniami – niskimi pensjami, masowym bezrobociem spowodowanym przestawianiem państwa z socjalistycznych torów na kapitalistyczne, bulwersującymi historiami rozkradania majątku narodowego w wykonaniu ludzi poprzedniego systemu czy rozplenioną przestępczością, z którą kompletnie nie potrafiła sobie poradzić policja.

Lata 90. (statystycznie rzecz biorąc) nie były dla Polaków łatwe, ale jednak nie brakowało wtedy optymizmu. Skończyła się komuna, byliśmy na dorobku i na horyzoncie w końcu widać było lepsze czasy.

W tym numerze wracamy do tamtych czasów. Jak zauważa w swoim tekście Piotr Lipiński, reporter, który opisywał tamte zmiany, Polska była wtedy zawieszona gdzieś między PRL a współczesnością, natomiast o latach 90. trochę zapomnieliśmy z poczucia wstydu. Coś w tym jest – naszym wspomnieniom z tamtych czasów może towarzyszyć lekkie zażenowanie stanem naszego ówczesnego państwa i naszych portfeli. Ale czy wspomnieniom tym nie towarzyszy jednak przede wszystkim sentymentalny uśmiech? ©℗

eprasa.pl a7c1105b6a

/ TEMAT NUMERU

.6 JAKUB WOZINSKI
Dekada wstrząsów

.12 ANTONI DUDEK
Z chaosu do „systemu Dorna”

.16 PIOTR LIPIŃSKI
Wszystko było pierwsze

.20 PIOTR WŁOCZYK
Polska w mackach mafii



/ CZASY I LUDZIE

.24 ŁUKASZ CZARNECKI
Sprawiedliwi z Nankinu

.28 JAKUB OSTROMĘCKI
Kanibale celebryci

.32 PIOTR SEMKA
Jak Canuck z Jankesem

.36 MIKOŁAJ IWANOW
Polskie natchnienie Cwietajewej

.40 TOMASZ STAŃCZYK
Ostatni powstaniec



.44 ANNA SZCZEPAŃSKA
Zrujnowany sen Mandeli

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Jak Niemcy uratowali Litwę

.52 SŁAWOMIR KOPER
Imperium z lagun

.56 MAREK GAŁĘZOWSKI
AK w służbie narodu



.60 PIOTR KITRASIEWICZ
Hitlerowskie zaloty

eprasa.pl a7c1105b6a

/ CO CZYTAĆ



.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Borowskiego ucieczka od wolności

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Salut dla posełka

.71 PIOTR SEMKA
Austriackie gadanie

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Niemcy toną na Falklandach

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Pruskie karabiny w służbie Rzeczypospolitej

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Transatlantyki na celowniku

/ POD PRĄD

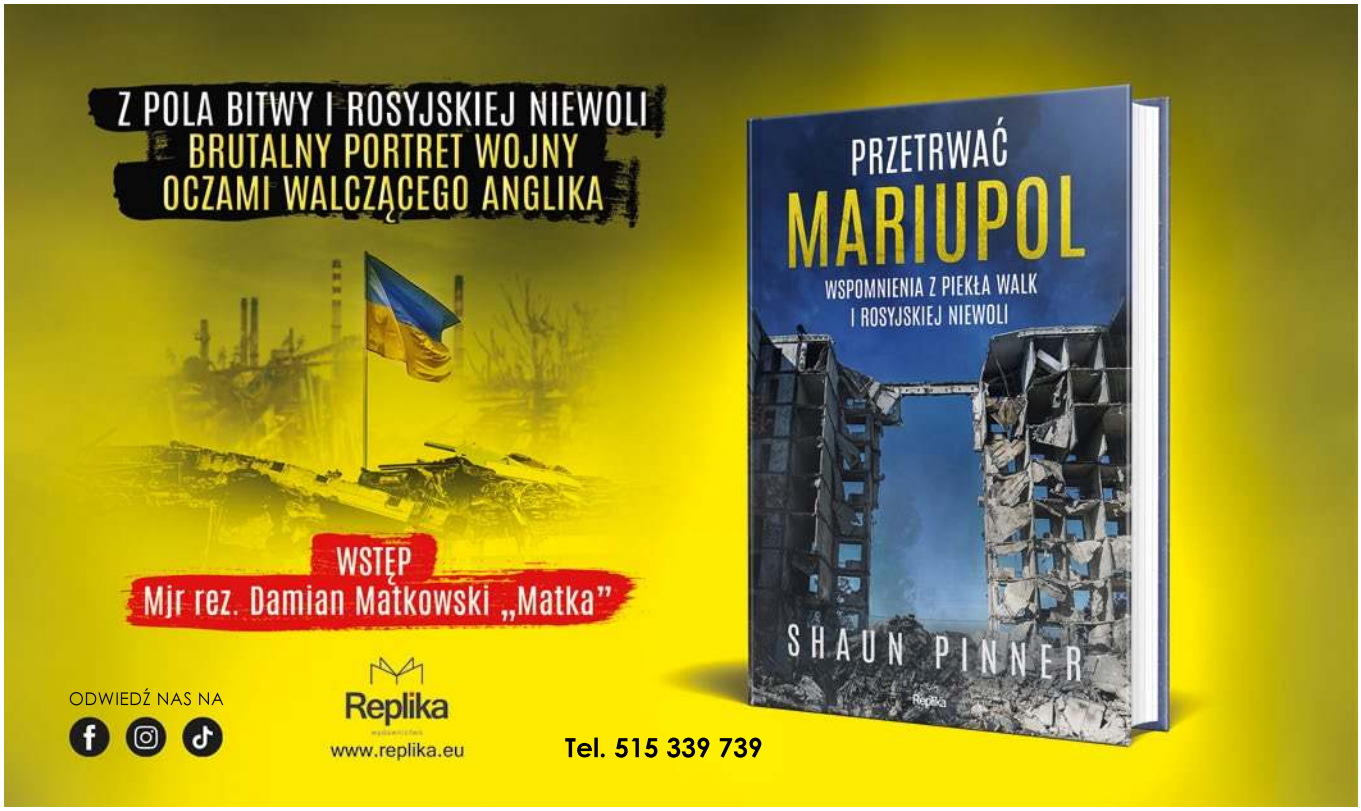
.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Riwiera na grobach

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Michałko bije Szweda

REKLAMA



eprasa.pl a7c1105b6a



1989–1999 / „Cud gospodarczy" na rozruchu

Dekada wstrząsów



Jakub Wozinski

Fortuny zbijane przez ludzi powiązanych ze służbami, wykorzystywanie luk prawnych i chaosu finansowego, pasywność organów ścigania. A do tego masowa bieda i bezrobocie. Miliony Polaków w latach 90. walczyły o lepsze życie, „grając" na bardzo nierównym „boisku"

Pierwsze lata po upadku komunizmu miały w sobie jeszcze wiele z ponurej i siermiężnej epoki realnego socjalizmu, ale w życiu gospodarczym zaczęło się już pojawiać wiele elementów przełamujących szarzyznę i rozbudzających społeczne aspiracje. Mimo że bezrobocie drastycznie wzrosło, w dochody uderzała hiperinflacja, a wszędzie panoszyły się mafie, Polacy mogli wreszcie pójść do McDonalda, zrobić zakupy w pierwszych hipermarketach i (jeszcze) swobodnie handlować, czym tylko chcieli. Żyjąc obietnicą poprawy swojego losu, obywatele świeżo powstałej III RP dosyć cierpliwie znosili wszelkie niedogodności.

Młodszym pokoleniom bardzo trudno wyobrazić sobie dziś to, jak bardzo życie w pierwszej dekadzie po upadku komunizmu różniło się od tego, z czym mamy do czynienia współcześnie. Nie brak dziś zagranicznych youtuberów, którzy nagrywają materiały o Polsce, zachwalając czystość naszych miast i wsi, porządną infrastrukturę czy różnego rodzaju atrakcje kulinarne. Tymczasem 30 lat temu cudzoziemcy z Zachodu odwiedzający nasz kraj odnotowywali na ogół wielki chaos i biedę. Choć trudno w to dziś uwierzyć, to w 1990 r. pod względem PKB na mieszkańca Polska była za Ukrainą...

Spektakularne przegonienie naszego wschodniego sąsiada pod względem zarobków oraz wskaźnika PKB na przestrzeni ostatnich 30 lat mogłoby sugerować, że Polska przez cały ten czas niemal wyłącznie się rozwijała. W rzeczywistości przypadający na lata 90. rozruch polskiego „cudu gospodarczego" był dla społeczeństwa bardzo bolesny, ponieważ w gospodarce miała miejsce faktyczna zapaść. Zanim Polacy zaczęli masowo jeździć na wycieczki zagraniczne i cieszyć się autami klasy premium, musieli najpierw przeżyć epokę, w której

eprasa.pl a7c1105b6a



Manifestacja rolników przeciwko biedzie, bezrobociu i polityce rządu Hanny Suchockiej wobec wsi, 1993 r.

FOT. PAP/ ADAM URBANEK



Kantor wymiany walut w Warszawie, 1989 r.

FOT. PAP/CAF/ JANUSZ MAZUR

normą były zakupy na bazarku, a szczytem marzeń przeciętnego Kowalskiego był nowy fiat Cinquecento.

Potęga marki

Niemiecka gospodarka przeżywa obecnie zadyszkę, ale mimo tego nad Renem wciąż zarabia się niemal dwa i pół razy więcej niż nad Wisłą. O skali pauperyzacji polskiego społeczeństwa na początku lat 90. najlepiej mówi to, że zarobki były wówczas średnio nawet 10-krotnie niższe niż w Niemczech (w 2000 r. pięciokrotnie niższe). W 1989 r. władze wreszcie znacząco ułatwiły Polakom wyjazdy za granicę, ale przy tak niskich płacach i tak niewiele osób było stać na spełnienie turystycznych marzeń. Wyjazd za granicę wiązał się głównie z poszukiwaniem lepiej płatnej pracy. W miastach i miasteczkach Polski Północno-Zachodniej pojawiło się za to wiele nowoczesnych autokarów, którymi przyjeżdżali Niemcy pragnący zobaczyć po latach ziemie, które musieli opuścić po wojnie. Płacili często markami, które stanowiły obok dolara drugą najbardziej popularną walutę zagraniczną tworzącą obieg pieniężny w Polsce.

Wprowadzone 13 marca 1989 r. prawo dewizowe legalizowało obrót walutami obcymi przez osoby fizyczne i dopuszczało prowadzenie kantorów. Tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa Aleksander Gawronik już w dniu wprowadzenia nowych przepisów otworzył wzdłuż całej zachodniej granicy sieć własnych kantorów, które szybko zmonopolizowały polski rynek. Na opublikowanej przez tygodnik „Wprost" liście najbogatszych Polaków biznesmen zajął w kolejnym roku pierwsze miejsce.

Kariera Gawronika dość szybko okazała się nie tyle przypadkiem, ile regułą życia gospodarczego lat 90. Komunistyczni aparatczycy zakładali własne biznesy praktycznie przez większość lat 80., lecz od połowy 1988 r. zjawisko to przyjęło charakter niemal masowy. Ich uczestnictwo w życiu gospodarczym III RP stanowiło w znacznej mierze przedłużenie bandyckich metod, które stosowali w czasach urządzania Polski wedle zasad marksizmu-leninizmu.

Przykładem tego była choćby afera Art-B, która do dziś uchodzi za najgłośniejszą w całych latach 90. Bogusław Bagsik (pracujący wcześniej m.in. jako organista) oraz laryngolog Andrzej Gąsiorowski założyli w 1989 r. firmę, która błyskawicznie przerodziła się w potężny jak na tamte czasy holding. Prawdziwym źródłem ich zysków było stosowanie mechanizmu tzw. oscylatora, polegającego na wielokrotnym oprocentowaniu tych samych pieniędzy w różnych bankach. Przy braku odpowiedniej komunikacji między bankami i zadziwiającej bierności organów nadzorczych zdołali wyłudzić w ten sposób 4,2 bln ówczesnych złotych (ponad 400 mln współczesnych). Bagsik i Gąsiorowski jako pierwsi w Polsce otrzymali koncesję na handel bronią, a w pewnym momencie uratowali nawet przed upadkiem zakłady Ursus, wykupując wszystkie traktory. Gdy wreszcie ich machinacje wyszły na jaw, poinformowani przez samego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Macieja Zalewskiego o grożącym im aresztowaniu założyciele Art-B zbiegli do Izraela.

Afera Art-B to wręcz podręcznikowy przykład tego, jak wyglądał biznes w latach 90.: wielkie i błyskawiczne kariery robione przez anonimowe osoby powiązane ze służbami, wykorzystywanie luk prawnych i chaosu finansowego, panoszenie się obcych wywiadów i pasywność organów ścigania.

Falzmann na tropie

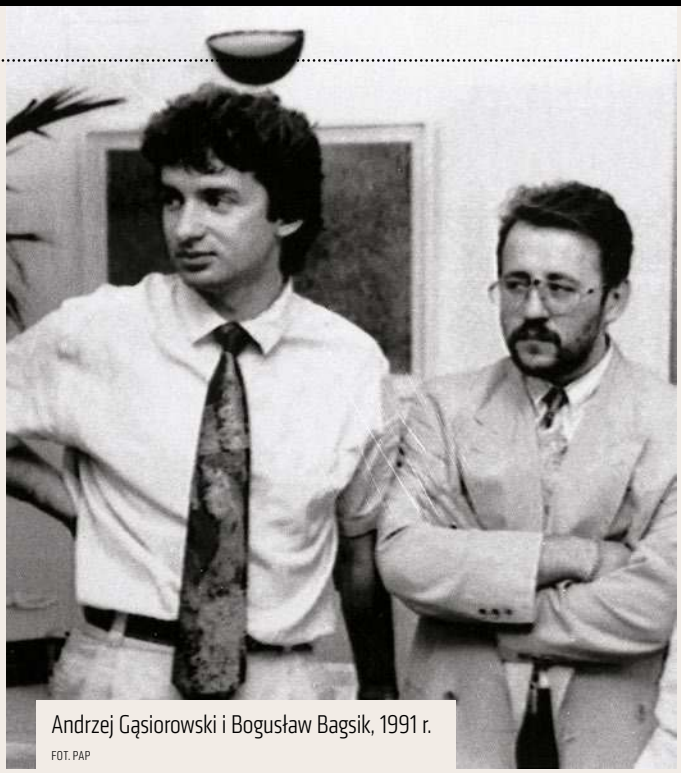
Afera FOZZ słusznie uchodzi do dziś za „matkę wszystkich afer", ponieważ dotyczyła środków, które środowiska

eprasa.pl a7c1105b6a

związane ze służbami specjalnymi wyprowadzały przez wiele lat z budżetu państwa w celu zakładania nowych biznesów. Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego powstał po to, aby w nieformalny sposób skupować za granicą polskie zadłużenie z czasów PRL. Zamiast tego posłużył do wyłudzenia setek milionów dolarów. Pieniądze były wyprowadzane za granicę poprzez fikcyjne transakcje i spółki, m.in. w Szwajcarii i USA, przy udziale wielu polityków, urzędników i działaczy partyjnych.

Nieprawidłowości w FOZZ odkrył pracujący dla Izby Skarbowej kontroler Michał Falzmann. Zginął on w tajemniczych okolicznościach 18 lipca 1991 r., tuż po odsunięciu od prowadzenia sprawy. Były dyrektor funduszu Grzegorz Żemek oraz wicedyrektor Janina Chim zostali skazani dopiero w 2005 r., a zdecydowana większość zamieszanych w aferę nie poniosła nigdy żadnej odpowiedzialności. Nawiasem mówiąc, Żemek przyznał w czasie procesu, że był agentem wojskowych służb specjalnych.

W czasie gdy wybuchła afera FOZZ, wicepremierem i ministrem finansów był Leszek Balcerowicz, któremu powierzono dostosowanie do polskich warunków przygotowanego przez Jeffreya Sachsa i Davida Liptona planu transformacji. Według niego większym winowajcą niż watahy uwłaszczających się bezpieczniaków okazywał się nierzadko pracujący lud. W swoim sejmowym przemówieniu z grudnia 1989 r. Balcerowicz przekonywał, że „trzeba zerwać z fałszywą grą, w której ludzie udają, że pracują, a państwo udaje, że płaci".



Andrzej Gąsiorowski i Bogusław Bagsik, 1991 r. FOT. PAP

W zlikwidowanych w latach 1991–1992 Państwowych Gospodarstwach Rolnych rzeczywiście miała miejsce „fałszywa gra", tak jak w wielu innych państwowych zakładach pracy realizujących fikcję pełnego zatrudnienia. W latach 90. wciąż powszechne było m.in. wynoszenie z pracy różnych mniej lub bardziej wartościowych materiałów, a wykorzenianie mentalności streszczonej w powiedzeniu „Czy się stoi, czy się leży, pięć tysięcy się należy" rozłożone było na wiele lat. Zasadniczym problemem Polski w dobie transformacji ustrojowej było jednak nie zubożałe i pod wieloma względami zdeprawowane przez system komunistyczny społeczeństwo, lecz skorumpowana i niepoddająca się żadnym rozliczeniom komunistyczna władza.

Najważniejszą wadą terapii szokowej, którą Balcerowicz zafundował Polsce, było zaprojektowanie jej tak, jakby PRL nie była wcale brutalną komunistyczną dyktaturą z uwłaszczającą się u swego schyłku nomenklaturą, lecz zwykłym państwem demokratycznym, które zwyczajnie zagalopowało się w socjalistycznym ustawodawstwie i potrzebowało demontażu nadmiaru regulacji. Postulowane przez tego adepta Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR błyskawiczne zmiany własnościowe i masowe zamykanie nierentownych przedsiębiorstw (choć zamykano także rentowne) stworzyły wręcz cieplarniane warunki dla biznesmenów powiązanych z komunistyczną bezpieką.



Jan Kulczyk (z prawej) i przedstawiciele Krajowej Rady Biznesu u premier Hanny Suchockiej FOT. PAP/JANUSZ MAZUR

Pierwszy milion

W 1993 r. trzecie miejsce na liście najbogatszych Polaków zaczął zajmować dr Jan Kulczyk, który stojąc na czele Kulczyk Tradex, już w 1991 r. zdobył kontrakt na dostawę 3 tys. volkswagenów dla policji i Urzędu Ochrony Państwa. Wprawdzie największy wpływ na rodzimą gospodarkę osiągnął później, jednak już w latach

eprasa.pl a7c1105b6a

90. jego zawrotna kariera stała się dla wielu Polaków prawdziwym symbolem epoki, w której przyszło im żyć.

Znający osobiście wielu najważniejszych polityków Kulczyk powiedział w 1996 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", że swój pierwszy milion otrzymał od ojca. „Dr Jan" mógł na łamach gazety Adama Michnika bezwstydnie żartować, ponieważ nad jego działalnością był rozpięty prawny i medialny parasol ochronny. Milionom Polaków, którzy nie przynależeli do powiązanego z komunistycznym aparatem władzy uprzywilejowanego grona beneficjentów zmian, nie było jednak wcale do śmiechu. Nie każdy przecież miał ojca działającego od lat 70. w zinfiltrowanym przez służby specjalne biznesie polonijnym, któremu regularnie pozwalano na wyjazdy do Europy Zachodniej i swobodną akumulację kapitału w czasach, gdy reszta społeczeństwa otrzymywała żywność na kartki.

Podczas gdy Kulczyk, Gawronik, Bagsik czy Gąsiorowski zajęci byli robieniem wielkich interesów, znaczna część Polaków znalazła się na bezrobociu. Wiele państwowych zakładów upadło wskutek złego zarządzania i utraty rynków zbytu, ale bankructwo znacznej części z nich zostało wywołane sztucznie w celu umożliwienia jak najszybszego przejęcia ich przez nową klasę miliarderów lub zagraniczny kapitał. W krajowym przemyśle doszło do faktycznej zapaści – jeszcze pod koniec 1992 r. produkcja przemysłowa i produkt narodowy brutto były na poziomie niższym niż w 1989 r. Szybko wzrastający deficyt budżetowy wymusił dokonanie głębokich cięć i redukcję wydatków w wielu obszarach (m.in. w oświacie i służbie zdrowia). W ten właśnie sposób doszło do nagłego wzrostu bezrobocia, które dawało o sobie znać w szczególności w regionach, gdzie jednocześnie likwidowano PGR-y.

W lipcu 1994 r. bezrobocie wzrosło do poziomu 16,9 proc. W Łodzi było ono jeszcze wyższe. W 1993 r. liczba osób pozbawionych pracy wzrosła tam do 84,9 tys., co stanowiło aż 26,7 proc. łodzian w wieku produkcyjnym. Dla miasta włókniarzy lata 90. były skrajnie trudne, ponieważ tamtejsze zakłady bazowały tradycyjnie na eksporcie do krajów bloku wschodniego. Łódzki przemysł włókienniczy już w poprzedniej dekadzie nie nadążał za zmianami technologicznymi, na co znaczny wpływ miały choćby sankcje nałożone przez kraje zachodnie po wprowadzeniu stanu wojennego, ograniczające m.in. możliwość importu maszyn. Po 1989 r. nastąpiła jednak prawdziwa implozja całej branży, która odpowiadała przecież za bujny rozwój miasta od samych jego początków.

Łódź w latach 90. zaczęła się błyskawicznie wyludniać. Do 2000 r. miasto utraciło ok. 53 tys. mieszkańców. To, co w Łodzi przyjęło formę wyjątkowo drastyczną, zaczęło dawać o sobie znać także w reszcie kraju. Bodajże najwyższą ceną, którą zapłaciliśmy za transformację gospodarczą, było bowiem szokujące pogorszenie wskaźników demograficznych. Ludność uchodzi słusznie za największe bogactwo, lecz mierzący się z chaotyczną i niepewną rzeczywistością przemian polityczno-społecznych Polacy zaczęli ograniczać wielkość rodzin. Jeszcze w 1990 r. łączna liczba urodzeń wynosiła 547 tys., lecz w 2000 r. spadła ona już do 378 tys. W tym samym okresie dzietność zmalała z poziomu 1,99 do zaledwie 1,37.

Promowana współcześnie narracja o historycznym i bezprecedensowym sukcesie gospodarczym odniesionym przez Polskę po 1989 r. najczęściej w ogóle nie mierzy się z demograficzną zapaścią lat 90. Wielkim paradoksem pozostaje to, że nawet w czasie siermiężnych i naznaczonych zubożeniem rządów junty Jaruzelskiego Polacy notowali bardziej perspektywiczne wskaźniki urodzeń.

„Krótka sprzedaż"

Ostatnie miesiące istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stały pod znakiem faktycznej hiperinflacji, która przeciągnęła się do pierwszych miesięcy istnienia III RP. W sierpniu 1989 r. miesięczny wzrost cen osiągnął poziom 39,5 proc., a w styczniu 1990 r. aż 79,6 proc. Polacy nie mieli zaufania do złotówki, więc nie powinno dziwić, że w 1990 r. prawie trzy czwarte całej podaży pieniądza stanowiły waluty obce.

W celu przezwyciężenia hiperinflacji Leszek Balcerowicz przeforsował wprowadzenie tzw. kotwicy antyinflacyjnej, ustanawiającej sztywny kurs złotówki do dolara. Chodziło o zachęcenie Polaków do odchodzenia od walut obcych i ponownego zaufania złotówce, której podaż starano się ograniczyć m.in. poprzez podwyżkę stóp procentowych czy też ograniczenie wzrostu wynagrodzeń w państwowych przedsiębiorstwach. Ustalenie sztywnego kursu wymiany zachęciło jednak do działania licznych



Banknot z czasów hiperinflacji FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a7c1105b6a

spekulantów, którzy wiedzieli, że kurs złotego do dolara w końcu i tak zostanie obniżony. Podmioty mające dostęp do niskooprocentowanych kredytów w dolarach i innych walutach mogły pożyczać pieniądze i wymienić je na złote. A gdy kurs złotego w maju 1991 r. wreszcie oficjalnie obniżono o 14 proc., można było zamienić złote z powrotem na dolary po korzystniejszym kursie, zarabiając na różnicy (wykorzystując mechanizm tzw. krótkiej sprzedaży).

Stosowanie tego rodzaju środków sprawiło niestety, że poskramianie inflacji przeciągnęło się do końca dekady. I tak jak w niemal wszystkich krajach na świecie zmagających się z długotrwałym wzrostem cen w Polsce rozkwitła przestępczość. Gdy realne dochody są konsumowane przez szalejąca inflację, znacząco spada motywacja do podejmowania uczciwej pracy, o czym wiedzieli najlepiej mafiosi powiązani z komunistycznymi służbami. W latach 90. cała Polska żyła w cieniu rywalizacji mafii pruszkowskiej oraz mafii wołomińskiej.

Polscy mafiosi specjalizowali się w przemycie, ściąganiu haraczy, handlu bronią, żywym towarem czy narkotykami, ale podporządkowana im była także m.in. cała branża automatów do gry. Mimo że grupy przestępcze z Pruszkowa czy Wołomina były aktywne już w poprzedniej dekadzie, lata 90. stanowiły dla nich złoty okres. Jawne obnoszenie się przedstawicieli środowiska gangsterskiego w życiu publicznym czy show-biznesie jeszcze bardziej potęgowało frustrację społeczeństwa, któremu w mediach nieustannie tłumaczono, że nie powinno krytykować zachodzących zmian. Z czasem nieskrępowana działalność mafii stała się jednak dla rządzących zbyt dużym obciążeniem. Po szokującym zabójstwie „Pershinga" 5 grudnia 1999 r. w Zakopanem jeszcze bardziej wzrosła presja społeczna, aby ukrócić gangsterską bezkarność, ale na efekty trzeba było jeszcze poczekać.

Jednym z interesów „Pershinga" była wytwórnia muzyki disco polo. Na początku lat 90. miała miejsce wręcz eksplozja popularności tego gatunku muzycznego. Twórcy discopolowi byli niezwykle płodni, a liczba zespołów nieustannie rosła. Polacy masowo kupowali kasety magnetofonowe nie tylko z przebojami tego muzycznego nurtu reprezentowanego przez Bayer Full, Boys czy Akcent, lecz także albumy największych światowych gwiazd. Przestrzeganie praw autorskich było wzięte w bardzo duży nawias, a gdy w połowie lat 90. upowszechniły się płyty CD, zjawisko to przyjęło jeszcze bardziej wynaturzoną formę.

W późniejszych latach 90. polskie prawo zaczęło coraz bardziej ograniczać możliwość swobodnego handlu, lecz w pierwszych latach transformacji możliwe było jeszcze rozstawienie własnego stoiska dosłownie w dowolnym miejscu. Ulice polskich miast i wsi zaroiły się od targowisk, a wiele z nich funkcjonowało w – teoretycznie – bardzo prestiżowych lokalizacjach (jak choćby na warszawskim placu Defilad).

Stadion hurtownia

Absolutnym królem polskich bazarów czy raczej bazarem matką był ten zlokalizowany na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Zanim na zbudowanym od podstaw Stadionie Narodowym bramki strzelać zaczął Robert Lewandowski, w tej samej lokalizacji działało wyjęte spod zwyczajnej jurysdykcji prawnej wielkie targowisko, które od 1996 r. nosiło nazwę Jarmark Europa. Na koronie trybun podupadającego obiektu swoje własne sektory posiadali m.in. Czeczeni, Gruzini, Ukraińcy, Rosjanie czy Wietnamczycy. Każda z nacji miała swojego reprezentanta w nieoficjalnym „zarządzie" stadionu, czuwającym nad podziałem rynku, ściąganiem haraczu czy pilnowaniem porządku. Swój własny pakiet „akcji" w przedsięwzięciu o nazwie Jarmark Europa posiadały też polskie mafie z Pruszkowa i Wołomina.

Każda z nacji miała swojego reprezentanta w nieoficjalnym „zarządzie" stadionu, czuwającym nad podziałem rynku

Legalna wartość obrotu na stadionie dorównywała rocznym przychodom największych polskich firm, w rzeczywistości była jednak dużo większa. Odwiedzający Jarmark Europa byli w stanie kupić dosłownie wszystko: broń, dokumenty, markowe ubrania, meble, adidasy, futra, tani alkohol i oczywiście kasety z disco polo. Nie dziwiło więc to, że z tego wielkiego targowiska korzystali masowo nie tylko warszawiacy, lecz także wiele osób przyjeżdżających z całej Polski.

Jarmark Europa odgrywał rolę centrum dystrybucyjnego dla kilkuset bazarów w całej Polsce, które utrzymały się dłużej niż on. Poznańskie targowisko na Bema czy lubelskie na Podzamczu zostały zlikwidowane dopiero kilka lat temu. Wcześniej przez wiele lat pełniły rolę analogiczną do tej, którą współcześnie można przypisać galeriom handlowym. Nie oferowały luksusu i prestiżu, ale były za to położone w ścisłym centrum miast i zapewniały spory jak na tamte czasy wybór towarów i usług.

Potrzeba prowadzenia handlu była w narodzie ogromna, lecz środki finansowe były dalece niewystarczające, aby zapewnić odpowiednio atrakcyjną dla oka otoczkę. Na porządku dziennym były więc łóżka polowe, które rozkładano na chodnikach, skwerkach i targowiskach. Innym z symboli epoki stały się bazarowe szczęki, czyli przenośne metalowe stoiska. Niektórzy decydowali się na tworzenie własnych konstrukcji z desek czy blachy, które przekształcały targowiska w kompletnie chaotyczny twór.

Lata 90. rządziły się zresztą zupełnie odmienną estetyką. Trudno za to winić ówcześnie żyjących, ponieważ przyszło im podnosić kraj po latach zapaści, a w takich warunkach kwestie dobierania odpowiednich form schodzą na plan dalszy. Dość jednak powiedzieć, że gdy w 1992 r. otwierano warszawski Hotel Sobieski, jego wygląd zewnętrzny uważano powszechnie za wyjątkowo gustowny i nowoczesny. Dominujące dziś kanony piękna nowoczesnej architektury

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl a7c1105b6a



Bazar na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie FOT. PAP/IRENEUSZ SOBIESZCZUK

z pewnością też zostaną kiedyś uznane za przebrzmiałe, natomiast faktem jest, że lata 90. w Polsce zaprowadziły trwałą modę na szkło i aluminiowe fasady.

Nowy typ budownictwa miał dla Polaków wręcz magiczną moc przyciągania, co pokazała zawrotna kariera budowanych od końca lat 90. pierwszych sklepów wielkopowierzchniowych. Ich obowiązkowym wyposażeniem były m.in. ruchome schody i fontanny. Pierwsza fala budowy galerii zaczęła się w Polsce w 1997 r. i dotarła początkowo tylko do największych miast w Polsce, które z wyższością spoglądały na mniejsze ośrodki pozbawione jeszcze nawet średniej wielkości dyskontów. Pierwsza Biedronka powstała w Polsce dopiero w 1995 r., lecz minęło sporo czasu, zanim jej właściciel rozbudował sieć i musiał się zmierzyć z potężną konkurencją (również z zagranicy).

Eksplozja przedsiębiorczości

Z dzisiejszej perspektywy uwagę zwraca przede wszystkim to, że Polacy przez całe lata 90. mieli w sobie ogromne pokłady energii i optymizmu. Pomimo tego, że środowiska komunistyczne bezwstydnie uwłaszczały się na państwowym majątku, w kraju szalały inflacja i bezrobocie, a gospodarka przeżywała zapaść, wiele milionów ludzi – chcąc nie chcąc – wzięło sprawy w swoje ręce i z uporem dążyło do przeobrażenia się w nową klasę średnią. Wielkie transakcje prywatyzacyjne były zarezerwowane dla „specjalnej kasty" symbolizowanej przez Jana Kulczyka; dla maluczkich pozostała marna atrapa w postaci zaprojektowanego przez Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga Programu Powszechnej Prywatyzacji (który i tak ostatecznie przyczynił się do wzbogacenia „specjalnej kasty").

Polacy wiedzieli od samego początku, że uczestniczą w nierównej rywalizacji, a mimo to podjęli rękawicę i w niesłychanie chaotycznych latach 90. udało im się stworzyć prawdziwy zrąb gospodarki rynkowej. Polski sektor małych i średnich przedsiębiorstw, który wciąż odpowiada za niemal połowę krajowego PKB, zbudował swoje fundamenty właśnie w pierwszych latach ostatniej dekady XX w. Stało się tak jednak nie w następstwie jakiegoś odgórnego planu, lecz niejako wbrew intencjom głównych decydentów III RP.

Lata 1990–1993 uchodzą dziś powszechnie za okres tzw. dzikiej prywatyzacji. Według różnych szacunków na własność prywatną przeszło wówczas nawet 60 proc. państwowych firm. Odejście od systemu centralnego planowania i gospodarki komunistycznej nie było oczywiście możliwe bez daleko idących zmian w strukturze własnościowej, jednakże podjęte w tym okresie przez rządzących działania ewidentnie sprzyjały wykształceniu się nowej oligarchii. Nierzadko wskazuje się na to, że Polska i tak wyszła na przemianach gospodarczo-politycznych korzystnie, ponieważ mogła skończyć tak jak skorumpowana i podporządkowana wąskiemu gronu oligarchów Ukraina. Jako kraj mieliśmy jednak zawsze dużo wyższy kapitał kulturowy i polityczny niż nasz wschodni sąsiad, dlatego stosowanie prostych analogii nie wydaje się tu uzasadnione.

Wbrew opowieściom o naszym spektakularnym awansie materialnym osiągniętym w ciągu ostatnich 36 lat należy stwierdzić, że lata 90. wciąż pozostają naszą niezaleczoną traumą. Dopuszczono się wtedy na Polakach wielu nadużyć, które tłumaczono niezmiennie koniecznością zerwania z socjalizmem i wprowadzania kapitalizmu. Pierwsza dekada III RP z jednej strony nauczyła Polaków, że w ostateczności zawsze muszą poradzić sobie sami, a z drugiej doprowadziła do potężnego kryzysu zaufania do własnego państwa, które teoretycznie zostało odzyskane po latach komunizmu.

Pewną miarą drogi, którą przeszła Polska przez całe lata 90., mogą być auta, którymi jeździli wówczas Polacy. W 1989 r. najczęściej kupowanym samochodem był Fiat 126p, czyli nieśmiertelny „maluch". Szacuje się, że model ten stanowił wtedy nawet połowę wszystkich samochodów osobowych jeżdżących po polskich drogach. Po 10 latach na pozycję lidera pod względem sprzedaży wybił się inny Fiat, tym razem Seicento, który z 45 tys. sprzedanych sztuk wyprzedził Daewoo Matiza. Królem polskich dróg (pod względem liczby egzemplarzy) pozostawał jednak wciąż „maluch", co dość dobrze oddawało ograniczony postęp majątkowy, który dokonał się w ciągu pierwszej dekady naszego „cudu gospodarczego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Konferencja prasowa rządu Waldemara Pawlaka (drugi z prawej) po zaprzysiężeniu, 1993 r. FOT. PAP/TEODOR WALCZAK

Wywiad / Z prof. Antonim Dudkiem, historykiem z UKSW



rozmawia Piotr Włoczyk

Z chaosu ku „systemowi Dorna”

PIOTR WŁOCZYK: W 1993 r., cztery lata po upadku komunizmu, do władzy w Polsce wrócił obóz postpeerelowski. Patrząc na rozkład mandatów w nowym Sejmie, można byłoby pomyśleć, że Polacy nagle zatęsknili za PRL. Dlaczego „postkomuna” przejęła wtedy władzę?

PROF. ANTONI DUDEK: Wynik tamtych wyborów bardzo mnie poruszył, a zarazem zastanowił. Dwa lata później rzecz się dopełniła, ponieważ Aleksander Kwaśniewski wygrał wybory prezydenckie. Postanowiłem dokładnie to przeanalizować, czego efektem była wydana w 1997 r. książka „Pierwsze lata III Rzeczypospolitej”. Na kilkuset stronach opisałem w niej wydarzenia z lat 1989–1995, które doprowadziły do zwycięstwa sił postkomunistycznych. Mówiąc w wielkim skrócie: obóz postsolidarnościowy przegrał na własne życzenie.

W wyborach we wrześniu 1993 r. po raz pierwszy pojawiły się progi wyborcze. Było to zresztą dzieło Sejmu I kadencji (1991–1993), zdominowanego przez ugrupowania postsolidarnościowe, które same dążyły do wprowadzenia progów. Był to sensowny postulat, ponieważ tamten Sejm był niezwykle rozdrobniony. Sęk w tym, że wymyśliwszy nowy mechanizm wyborczy, który premiował najsilniejszych i nie wpuszczał do Sejmu najsłabszych, którzy nie osiągnęli 5 proc. poparcia, siły centroprawicowe nie skonsolidowały się przed wyborami.

Wymarzony scenariusz dla SLD i PSL.

Tak. W tamtych wyborach przepadło aż 36 proc. głosów oddanych na partie centrowe i prawicowe, w zdecydowanej większości o genezie solidarnościowej – wiele partii nie pokonało progu wyborczego.

Na tle tych „zmarnowanych” 36 proc. głosów, które otrzymały siły centroprawicowe, niespełna 21 proc. SLD nie wygląda już tak spektakularnie. Jednak w związku z klęską centroprawicy SLD otrzymał nieprawdopodobny bonus, w przeliczeniu na mandaty niemal dublując swój wynik wyborczy – postkomuniści zdobyli prawie 40 proc. głosów w Sejmie.

Bonus dostało też PSL.

Tak, tyle że liczony od 15 proc. głosów uzyskanych w wyborach. Obie partie zdobyły więc niemal dwie trzecie miejsc w Sejmie. A z czego wynikało rozdrobnienie centroprawicy? Z niezwykłej wręcz kłótliwości liderów tamtych partii. Weźmy choćby Unię Demokratyczną i Kongres Liberalno-Demokratyczny, które w Sejmie I kadencji tworzyły tzw. małą koalicję. Gdy tylko przyszło do układania wspólnej listy wyborczej, oba środowiska pokłóciły się, do wyborów poszły oddzielnie i poniosły klęskę – KLD nie przekroczył wtedy nawet pięcioprocentowego progu wyborczego.

Podobna historia dotyczyła czołowych postaci polskiej prawicy z tamtego okresu – Jarosława Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego. Jeszcze rok wcześniej razem walczyli o utrzymanie rządu, ale gdy ten upadł, rozpoczęła się między nimi wojna – Jarosław Kaczyński woli dziś o tym nie pamiętać. Następnie Olszewski stworzył własną partię – Ruch dla Rzeczypospolitej. W rezultacie w wyborach w 1993 r. partie obu polityków zatonęły, nie przekraczając progu wyborczego.

Jak dużą rolę odgrywał w tamtych wyborach powszechny zawód pierwszymi latami III RP pod kątem poziomu życia?

eprasa.pl a7c1105b6a

Rozdrobnienie obozu postsolidarnościowego było tu kluczowe, ale swoje robiła też oczywiście frustracja z powodu bolesnych przemian gospodarczych, tzw. planu Balcerowicza. SLD i PSL ostro krytykowały ten model reformowania państwa, obiecywały zmianę polityki na bardziej prospołeczną, ale te deklaracje pozostały na papierze. W tym kontekście zdarza mi się doprowadzać do złości niektórych zwolenników SLD, gdy pytam, dlaczego Grzegorz Kołodko, wicepremier i minister finansów w rządach SLD-PSL, czołowy krytyk Leszka Balcerowicza, właściwie nie zmienił polityki społeczno-gospodarczej.

No właśnie – dlaczego?

Polska klasa polityczna dokonała na przełomie lat 1990 i 1991 wyboru geopolitycznego, orientując się na Zachód, a konkretnie na USA. Ten kierunek kontynuowali postkomuniści i chwała im za to.

Częścią tej reorientacji było utrzymywanie takiej, a nie innej polityki społeczno-gospodarczej. To była przecież transakcja wiązana. Nie dało się wówczas współpracować z Amerykanami tylko na linii wojskowej, ale już nie na gospodarczej.

Najważniejsi działacze SLD rozumieli to i na szczęście nie chcieli iść drogą Ukrainy czy Białorusi. Co ciekawe, Aleksander Kwaśniewski jako prezydent zachowywał się tu w sposób bardziej cywilizowany od Lecha Wałęsy, który tzw. obiadem drawskim wywołał zaniepokojenie na Zachodzie tym, jak wygląda u nas kontrola cywilna nad wojskiem. Paradoksalnie prezydentura Kwaśniewskiego nawet pomogła w polskich staraniach o członkostwo w NATO.

PSL miało mniejszy pakiet „udziałów" w koalicji, ale to właśnie Waldemar Pawlak został premierem. Co pozwoliło „ludowcom" przeforsować swojego kandydata?

SLD pierwotnie próbował się dogadać z Unią Demokratyczną, jednak liderzy UD kategorycznie odmówili rozmów. Ewidentnie byli w szoku, ponieważ przedwyborcze sondaże dawały im pierwsze miejsce, bardzo mocno przeszacowując tę formację. Na stole pozostały dwie opcje. Pierwszą lansował Ryszard Bugaj z Unii Pracy – wielką koalicję przeciw SLD. Nie było tu jednak wystarczająco wielu chętnych. Drugą opcją była propozycja wysunięta przez PSL. Waldemar Pawlak postawił sprawę jasno: jego partia może wejść w koalicję z SLD, ale to on musi zostać premierem. I tak się stało. Jednak problem był jeszcze z prezydentem – wszyscy zastanawiali się, co zrobi Lech Wałęsa, który bardzo źle przyjął wynik wyborów.

Trzeba przy tym pamiętać, że wówczas prezydent miał większą władzę niż dziś.

To był okres przejściowy. W 1992 r. weszła w życie tzw. mała konstytucja. Prezydent na jej mocy miał już mniejsze uprawnienia niż wcześniej, natomiast faktycznie miał więcej do powiedzenia niż po wejściu w życie konstytucji z 1997 r. W 1993 r. prezydent mógł np. opiniować kandydatów na trzech ministrów i Wałęsa od razu na starcie zapowiedział, że nie poprze innych ministrów, jak tylko Andrzeja Olechowskiego w MSZ, Andrzeja Milczanowskiego w MSW, a w przypadku MON – adm. Piotr Kołodziejczyka. Dlatego mówiono, że była to koalicja trójczłonowa: SLD-PSL-Wałęsa.

Pawlakowi wydawało się, że będzie arbitrem między Wałęsą a SLD. Teoretycznie była to fantastyczna koncepcja, ale wystarczyła tylko na rok. Potem doszło do cichego porozumienia SLD z Wałęsą, Pawlak został usunięty z fotela premiera, a na jego miejsce na początku 1995 r. wszedł Józef Oleksy.

Z kolei pod koniec 1995 r. Polską wstrząsnęła tzw. afera Olina. Trudno o większy kaliber sprawy, gdy minister spraw wewnętrznych zarzuca premierowi współpracę z rezydentami KGB...

Była to bez wątpienia najgłośniejsza afera polityczna III RP – nigdy wcześniej ani później nie oskarżono urzędującego premiera o szpiegostwo. Prokuratura umorzyła po trzech miesiącach śledztwo, stwierdzając, że nie ma dowodów na szpiegostwo, ale Oleksy wcześniej ustąpił ze stanowiska. Ta sprawa jest jednak do dziś niewyjaśniona i dopóki nie otworzą się archiwa w Moskwie, a nie dojdzie do tego szybko, dopóty nie uda się jej w pełni prześwietlić.

Rok 1995 pamiętamy też z powodu kampanii prezydenckiej i słynnego: „Ja panu mogę nogę podać" w wykonaniu Lecha Wałęsy.



Debata telewizyjna Aleksandra Kwaśniewskiego i Lecha Wałęsy przed wyborami prezydenckimi FOT. TVP

Wałęsie bardzo zaszkodziła pierwsza debata z Kwaśniewskim, a tekst o podawaniu nogi był już tylko finałem jego arogancji. Prezydent dał się sprowokować kontrkandydatowi i stracił panowanie nad sobą. Cała ta debata była sromotną klęską Wałęsy.

Prezydentowi zaszkodził też niewątpliwie zapis ówczesnej ordynacji wyborczej, który pozwalał Polakom mieszkającym za granicą głosować w pierwszej turze, ale już nie w drugiej. Na szczęście został on później zmieniony. Wałęsa był oczywiście nieporównanie bardziej popularny wśród Polonii, zwłaszcza amerykańskiej, niż Kwaśniewski.

Po tych wyborach do Sądu Najwyższego wpłynęło 600 tys. protestów wyborczych – był to absolutny rekord w historii III RP – ale nie w związku z blokadą głosowania Polonii w drugiej turze, tylko

eprasa.pl a7c1105b6a



Andrzej Milczanowski, minister spraw wewnętrznych, oskarża premiera Józefa Oleksego o to, że był rosyjskim agentem FOT. PAP/WOJCIECH STEIN

w sprawie wykształcenia Kwaśniewskiego. Sąd Najwyższy uznał jednak, że podanie przez kandydata lewicy nieprawdy w kwestii posiadania wyższego wykształcenia nie miało znaczenia dla wyniku wyborów.

To była pierwsza w Polsce nowoczesna kampania wyborcza?

Tak, ale głównie w wykonaniu Aleksandra Kwaśniewskiego. Jego sztab zastosował wówczas wiele nowatorskich – przynajmniej w Polsce – rozwiązań, na czele z „Kwakiem", czyli autobusem, którym jeździł po kraju, odwiedzając małe miasteczka. Te spotkania były świetnie zorganizowane. Wykorzystanie disco polo w kampanii też bardzo się spodobało ludziom. A do tego była jeszcze cała masa gadżetów ze zdjęciami Kwaśniewskiego – to była kampania robiona „na bogato".

Sam kandydat poddawał się różnym zabiegom estetycznym, mającym poprawić jego wizerunek, jak choćby wizyty w solarium. To wszystko sprawiało, że jego kandydatura wydawała się ludziom bardzo ciekawa. Finałem było wspomniane sprowokowanie Wałęsy podczas debaty. Tamta sytuacja była doskonale przygotowana. Kwaśniewski pojawił się w studiu TVP spóźniony, a przecież to on miał czekać na przyjazd prezydenta, a nie odwrotnie. Kandydat SLD zaczął się witać ze wszystkimi, łącznie z operatorami kamer, poza Wałęsą. Ale widzowie nie zobaczyli tego momentu… Już samo to wystarczyło, żeby rozjuszyć prezydenta. Sztab Kwaśniewskiego perfekcyjnie zrealizował wtedy swój plan.

Prezydent nie pomógł jednak SLD wygrać kolejnych wyborów – w 1997 r. Wypowiedź Cimoszewicza o ubezpieczaniu się na wypadek powodzi rzeczywiście była kampanijnym „game changerem"?

Nie, to nie był „game changer", komentatorzy przywiązują do tych słów zbyt dużą wagę. Po czterech latach rządów na SLD zagłosowało 28 proc. wyborców, czyli w porównaniu z 1993 r. widzimy tu wzrost o ok. 7 punktów procentowych. Prawdziwym „game changerem" było to, że po awanturach wokół wyłaniania wspólnego kandydata prawicy w wyborach prezydenckich, którego w końcu nie wyłoniono, w 1997 r. przeciwnicy SLD byli już skonsolidowani.

Proces ten zaczął Jan Olszewski, który w wyborach prezydenckich w 1995 r. zdobył ponad 6 proc. głosów. Na fali tego – jak wówczas uważano – sukcesu założył on nową partię: Ruch Odbudowy Polski. Partia Olszewskiego zaczęła notować w sondażach w pierwszej połowie 1996 r. wyniki 12–14 proc. Był to szok dla innych liderów prawicy. Wszyscy oni wpadli w panikę, że jeżeli tak dalej pójdzie, to za rok wokół Olszewskiego nastąpi konsolidacja prawicy. Wbrew pozorom na ówcześnie rozproszonej prawicy nie uważano wtedy Jana Olszewskiego za wybitnego polityka… W związku z tym, gdy tylko Marian Krzaklewski ponowił propozycję utworzenia wokół Solidarności sojuszu wyborczego nazwanego ostatecznie Akcją Wyborczą Solidarność, cały prawicowy plankton rzucił się do AWS, żeby tylko Olszewskiemu nie wyszło.

Jak wyglądały warunki Krzaklewskiego?

Były bardzo ostre: 50 proc. udziałów w AWS ma mieć Solidarność, a cała reszta musi się zadowolić drugą połową.



Senator Zbigniew Romaszewski i Jan Olszewski, lider ROP FOT. PAP/CAF, PRZEMEK WIERZCHOWSKI

Większość liderów sił prawicowych uważała, że Krzaklewskiego i jego „śrubokręty", czyli działaczy związkowych, jak ich wówczas nazywano, będzie łatwiej ograć niż Olszewskiego, i dlatego weszła do AWS.

W ten sposób od czerwca 1996 r. notowania ROP leciały w dół, a AWS rósł w siłę. W 1997 r., po awanturze o konstytucję i referendum konstytucyjnym, widać już było wyraźnie, że wybory parlamentarne będą starciem dwóch wielkich bloków – SLD i AWS. Od wiosny do jesieni oba bloki na zmianę liderowały w sondażach i do końca nie było pewne, który z nich dostanie większe poparcie. Dopiero po wyborach okazało się, że SLD był przeszacowany, a AWS niedoszacowana.

Wypowiedź Cimoszewicza o ubezpieczaniu się na pewno zaszkodziła SLD, ale to nie był kluczowy czynnik i ten temat nie był zbyt długo „wałkowany". Rynek medialny był wtedy dużo uboższy niż dzisiaj. Internetu nie było, dopiero jesienią 1997 r. powstał TVN, natomiast „raczkujący" Polsat był bardzo ostrożny pod względem politycznym. Na rynku telewizyjnym rządziła TVP kontrolowana przez obóz władzy. Z kolei „Gazeta Wyborcza" nie walczyła z rządem SLD, więc w gruncie rzeczy zostawała tylko prasa prawicowa. Większym problemem niż wypowiedź Cimoszewicza było niewywiązanie się z obietnic dotyczących szybkiego wsparcia dla powodzian.

Na prawicy często słychać głosy, że wciąż obowiązująca konstytucja z 1997 r. to dzieło „postkomuny".

To jest konstytucja tzw. koalicji konstytucyjnej, czyli w gruncie rzeczy Kwaśniewskiego, Pawlaka, Mazowieckiego i Bugaja, odpowiednio – SLD, PSL, Unii Wolności i Unii Pracy. W obrębie tych czterech centrolewicowych partii powstał projekt konstytucji i w tym sensie ta konstytucja jest dziełem centrum i lewicy.

Prawica budowała swój obywatelski projekt konstytucji – jej współautorem był Jan Olszewski. Politycy rządzący

eprasa.pl a7c1105b6a

odrzucili propozycje prawicy i w referendum w maju 1997 r. przedstawiony został społeczeństwu tylko uchwalony przez Zgromadzenie Narodowe projekt centrolewicowy. Był to pierwszy obszar konfrontacji między lewicą i prawicą przed jesiennymi wyborami. AWS i ROP wzywały wyborców do odrzucenia tego projektu. Episkopat również był mu przeciwny. Ostatecznie niewielką większością głosów projekt został zaakceptowany przez społeczeństwo.

Nasza konstytucja, mimo że napisana przez centrolewicę, nie wygląda dziś źle z punktu widzenia prawicy. Widać w niej odwołania do wartości chrześcijańskich...

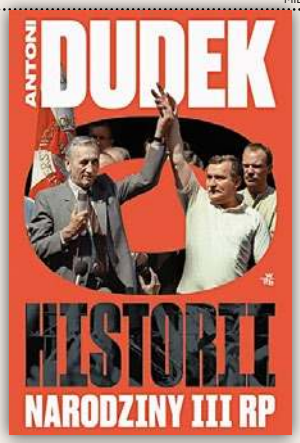
... natomiast umieszczona w niej definicja małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny jest nie do zaakceptowania dla dzisiejszej lewicy. To pokazuje, jak wiele się zmieniło. Z perspektywy trzech dekad ta konstytucja zrobiła się niemal konserwatywna.

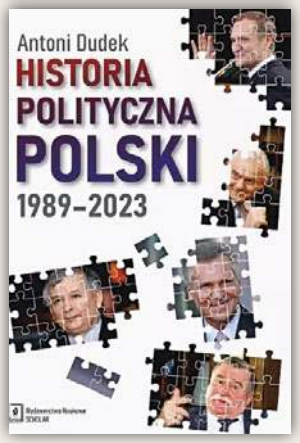
Lata 90. to też prywatyzacja państwowych przedsiębiorstw, która bulwersowała bardzo wielu Polaków.

Oczywiście popełniono wtedy mnóstwo błędów. Druga fala prywatyzacji miała miejsce w czasie rządów AWS-UW. Dla mnie negatywnym symbolem była tu sprzedaż Francuzom Telekomunikacji Polskiej. Nie chodzi mi tu jednak o sam fakt sprzedaży, bo państwo nie powinno być graczem na rynku łączności, tylko jego regulatorem. Błędem był sposób prywatyzacji, w dodatku z niepotrzebnym udziałem Jana Kulczyka. Przede wszystkim jednak nie powinno dojść do sprzedaży całej firmy. Należało ją podzielić i sprzedać w dwóch–trzech częściach, żeby na tym rynku pojawiła się konkurencja. Tymczasem Francuzom sprzedano monopolistę...

Jeszcze gorzej wyglądała prywatyzacja PZU. Potem zresztą odkręcono tę transakcję, co naraziło państwo na straty. Ale mimo tych błędów było też wiele udanych transakcji prywatyzacyjnych, które związały gospodarczo Polskę z Zachodem.

Jednak największą aferą gospodarczą w dziejach III RP wcale nie była dla mnie afera alkoholowa czy sprawa Art-B, tylko Program Powszechnej Prywatyzacji Janusza Lewandowskiego. Pozbyliśmy się wtedy w absurdalny sposób ponad 500 państwowych przedsiębiorstw, co jednak – powtórzę raz jeszcze – nie znaczy, że cała prywatyzacja była zła. Bez niej dalej wszystko byłoby państwowe i żylibyśmy trochę jak na Białorusi.





Rządy AWS-UW zasłynęły czterema wielkimi reformami. Jednak w wyborach w 2001 r. obie partie nie zdołały nawet przekroczyć progu wyborczego. To była najbardziej spektakularna klęska wyborcza III RP?

Na to wygląda. Reformy zostały bardzo źle ocenione. To zresztą „wyleczyło" wielu polskich polityków z pomysłów głębokiego zmieniania państwa. Reforma samorządowa była udana i przetrwała, ale trzy pozostałe zostały prędzej czy później cofnięte – służby zdrowia, edukacji i systemu emerytalnego. Nie wiemy, czy kasy chorych zdałyby u nas egzamin, ponieważ rząd SLD bardzo szybko je skasował. Z kolei PiS położył kres gimnazjom. Według mnie ta reforma nie miała większego znaczenia – w edukacji chodzi nie tyle o liczbę szczebli, ile o jakość nauczycieli. Natomiast reforma emerytalna, wprowadzająca trzy filary, była ciekawa. Niestety, lobbystom udało się przeforsować skandaliczne zapisy – bez względu na to, czy udało się zarobić dla przyszłych emerytów pieniądze czy nie, OFE brały swoją prowizję z wysokości do 9 proc. Nie rozumiem, jak posłowie mogli podnieść ręce za taką ustawą...

Poza reformami lewicowa opozycja wytykała też rządowi liczne afery. Symboliczną postacią jest tu Jacek Dębski, były minister w rządzie Jerzego Buzka zastrzelony wiosną 2001 r. w porachunkach mafijnych. Tuż przed wyborami afera ogniła aferę, a jeszcze na sam koniec pojawiła się bardzo nagłaśniana budżetowa „dziura Bauca". Ostatecznie okazało się, że była ona wirtualna; wystarczyło nie wprowadzić w życie pewnych ustaw i dziury już nie było.

Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wyobrazić, że w kolejnych wyborach PiS albo PO nie wchodzi do Sejmu...

Nasza scena polityczna jest dziś pod tym względem stabilna w porównaniu z mocno rozchwianymi politycznie latami 90. Swoje zrobił tu tzw. system Dorna. Otóż w 2001 r. Ludwik Dorn, wówczas poseł niezależny, przekonał większość posłów, by wprowadzić obfite finansowanie partii politycznych. W ten sposób PiS i PO zaczęły dostawać co roku z budżetu po kilkadziesiąt milionów złotych, co pozwoliło im zbudować potężne aparaty partyjne i ustabilizować swoją pozycję na scenie politycznej.

Czy tamta dekada nie była stracona pod względem czyszczenia państwa z komunistycznej agentury?

To był oczywiście ułomny proces, ale jednak w latach 90. lustracja i dekomunizacja zostały zapoczątkowane. Natomiast wszystkim, którzy święcie wierzą, że gdyby tamten proces dokonany był w sposób bardziej radykalny, Polska byłaby lepsza, dedykuję wynik Andrzeja Olechowskiego w wyborach prezydenckich w 2000 r. Olechowski przyznał się wówczas do współpracy z komunistycznymi służbami specjalnymi, a mimo to uzyskał 18 proc. głosów i zajął drugie miejsce, za Aleksandrem Kwaśniewskim, wyprzedzając Mariana Krzaklewskiego – ostrego dekomunizatora, któremu przypadło dopiero trzecie miejsce. To chyba wiele mówi o priorytetach ówczesnych polskich wyborców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Antoni Dudek jest historykiem z UKSW, znawcą najnowszej historii politycznej Polski, autorem wielu książek o tej tematyce.

eprasa.pl a7c1105b6a



Okolice dworca autobusowego koło Stadionu Dziesięciolecia – Jarmarku Europa, 1993 r.
FOT. PAP/MACIEJ BELINA-BRZOZOWSKI

„Kosmiczna" dekada / Rainbow, „Cats" i białe skarpetki

Wszystko było pierwsze



Piotr Lipiński

To była Polska, którą chyba zapomnieliśmy. Zawieszona gdzieś między PRL a współczesnością

Być może niektórzy Polacy wolą nie pamiętać, że z dzisiejszej perspektywy wiele rzeczy było wówczas – kolokwialnie mówiąc – „obciachowych". Nikt nie chce się przyznać, że nosił białe skarpetki do garnituru. Dzisiejsi zamożni biznesmeni niechętnie publicznie wspominają, że zaczynali od handlu na stadionach przemycanymi do Polski dżinsowymi kurtkami albo magnetofonami.

Polska lat 90. z wielu powodów zasługuje jednak na pamięć. To czas politycznych i gospodarczych przełomów – szumnie mówiąc. Ale przecież też społecznych i obyczajowych, równie ważnych z ludzkiej perspektywy. Nagle w naszej rzeczywistości pojawiły się pierwsze przepisy na sałatkę z cykorii, telewizja wyemitowała – z pewną taką nieśmiałością – reklamy podpasek, a na ulicach pojawiły się sex-shopy. Powróciło też bezrobocie, oczywisty składnik kapitalizmu, czego dziś wiele osób nie rozumie.

Król Maroka

Smak nowości bywał jednak mocno gorzki. Napisałem wtedy pierwszy w Polsce reportaż o zupełnie nowym zjawisku: zbieraniu pieniędzy na leczenie za granicą. Dziś ciągle widzimy takie ogłoszenia, ale wówczas zaskakiwały. Nagle w kapitalizmie życie dawało się przeliczyć na konkretną sumę. Okazało się bowiem, że „niewidzialna ręka rynku" nie potrafi leczyć. Chorzy stali się biznesmenami zbierającymi na swoje życie.

Historie miewały bajkowe zakończenie. Jak losy pewnej Kasi, która urodziła się z sinicą. Przerażona położna upuściła ją na podłogę. Przez osiem lat dziewczynka przeżyła 90 krwotoków. Lekarze wciąż zmieniali diagnozy: uszkodzenie centralnego układu nerwowego, białaczka, nowotwór wątroby. Ostatecznie ustalono główne schorzenie: żylaki przełyku.

W Polsce nikt nie potrafił wykonać skutecznej operacji. Demokracja pozwoliła ludziom szukać pieniędzy na zagraniczne operacje za pomocą apeli w prasie, co oczywiście ze względu na PRL-owską cenzurę było niemożliwe.

Kasi nadzieję dawała kuracja za granicą. Matka starała się o wyjazd za pośrednictwem Ministerstwa Zdrowia. To jednak była długotrwała i niepewna procedura. Ale w Polsce pojawiły się pierwsze fundacje, które wspierały chorych starających się o leczenie za granicą. Kasią zainteresowała się paryska fundacja SOS i zamieściła apel o zbiórce pieniędzy we francuskiej prasie. Przeczytał go... król Maroka Hassan II. I to on obiecał pokryć wszystkie koszty

eprasa.pl a7c1105b6a

leczenia. Operacja się powiodła, a później do sutereny, w której mieszkały Kasia z matką, nadeszło zaproszenie do Maroka na 29. rocznicę koronacji Hassana II.

Niestety, wiele opisanych przeze mnie historii nie miało szczęśliwego końca. Kiedy odwiedziłem inną rodzinę, ich pranie suszyło się na podwórzu. Do toalety chodzono na zewnątrz, a wodę noszono wiadrami. Matka czekała na miliard. To było przed denominacją, ale ten „miliard" mocno podkreśla zawrotność kwot, jakie trzeba było wówczas – i dziś – nazbierać na nietypowe leczenie za granicą.

Pieniądze potrzebne były na przeszczep szpiku u dziecka. Matka codziennie wyjmowała ze skrzynki pocztowej wyciągi z konta i podsumowywała wpłaty darczyńców. Zapowiedziała:

– Gdyby, nie daj Boże, mój synek nie doczekał operacji, postanowiłam otrzymane pieniądze przekazać innej matce chorego dziecka.

Zauważyła, że ludzie przeważnie niczego nie pisali na przekazach pocztowych, żadnych życzeń zdrowia. Jakby bali się zapeszyć. Trzy tygodnie po mojej wizycie kobieta przekazała zebraną sumę dziewczynce chorej na białaczkę.

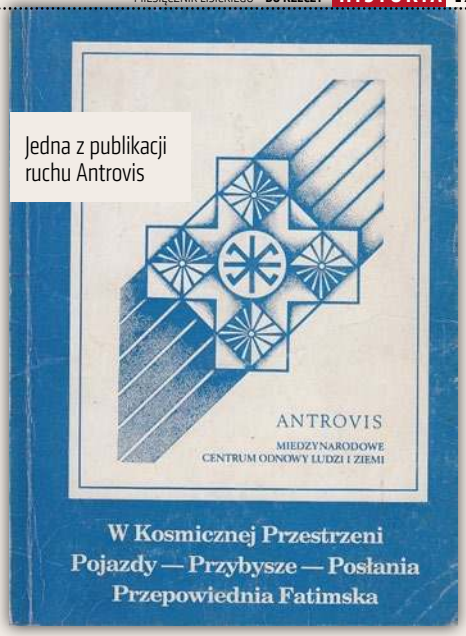
Odwiedziny kosmitów

„Był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne wydarzenia" – zaczął Henryk Sienkiewicz swoją „Trylogię". Początek lat 90. potwierdził, że czasy przełomu sprzyjają przeróżnym zjawiskom nadprzyrodzonym. Na przykład wizytom kosmitów. Te wyraźnie nasiliły się w Polsce lat 90.

W czerwcu 1992 r. pojechałem do Wrocławia na kongres, na którym występowali Polacy, którzy rzekomo spotkali mieszkańców innych planet. Dwudniowe sympozjum zorganizowało Międzynarodowe Centrum Odnowy Ludzi i Ziemi Antrovis. Obrady przeprowadzono perfekcyjnie: 400-osobowa sala była wypełniona po brzegi, gościom zarezerwowano hotele, kiedy mówca nudził, grzecznie mu przerywano.

Odkryłem wówczas, że kosmici zwykle pojawiają się w trudnych życiowo momentach. Goście przemówili np. do bezrobotnego emigranta, do rodziny, której groziła eksmisja, i do pewnego mężczyzny po jego kolejnej awanturze z żoną.

W pierwszej połowie lat 90. lżejsza prasa – taka właśnie pojawiła się w Polsce – często opisywała podobne historie. Odwiedziny kosmitów wyraźnie nasiliły się wraz z początkiem demokracji i kapitalizmu. Może właśnie z tego powodu. Albo z innego: po likwidacji cenzury prasa częściej pisała o przybyszach z gwiazd.



Jedna z publikacji ruchu Antrovis

Rainbow

Jedną z największych „gwiazd" lat 90. był odkurzacz Rainbow. To również przykład nowego zjawiska: urządzenia, które nobilituje. Kupowanego nie tylko ze względu na atrakcyjną funkcjonalność, lecz także dla podkreślenia statusu materialnego. Odkurzacz Rainbow był czymś podobnym do dzisiejszego Thermomixa.

Przede wszystkim był piekielnie drogi. Poza tym sprzedawano go na specjalnych pokazach – czyli w tzw. handlu bezpośrednim, kolejnej nowince tamtych czasów. Domokrążcy występujący w aurze specjalnej prezentacji w domu klienta stali się elementem kapitalistycznej rzeczywistości. Jeden z psychologów z przekąsem komentował:

– Mamy do czynienia z niebiańskim urządzeniem, które robi dla nas wszystko, a lada chwila przemówi. Pochodzi prosto ze snu Polaków o Ameryce.

Akwizytorzy przekonywali, że Rainbow to nie jest zwykły odkurzacz, ale maszyna pomagająca ludziom w życiu. Bo przecież pracowali nad nim inżynierowie z NASA. Ma tyle zastosowań, ile tęcza kolorów.

Nie tylko odkurzy, lecz także po wlaniu do zbiornika z wodą olejku eukaliptusowego stanie się inhalatorem leczącym z kaszlu. Latem, po wrzuceniu kostek lodu, będzie klimatyzatorem, a zimą, po dodaniu gorącej wody – grzejnikiem. Nie mówiąc już o tym, że wlewając do środka alkohol, upije gości. A nawet – w jakiś niepojęty sposób – sprawdzi się jako masażer do pleców. Poza statusem


Odkurzacz Rainbow FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a7c1105b6a



Targowisko w Tuszynie, 1989 r.
FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

wybrańców Rainbow w rzeczywistości nie oferował jakichś magicznych mocy. Choć akurat kurz ciągnął lepiej od wszystkich odkurzaczy na rynku.

„Koty" i śmierć

Wiele się zmieniło w sprawach seksu. Przede wszystkim pojawiły się w Polsce sex-shopy.

Pojechałem do Sulechowa, niewielkiego miasteczka na zachodzie Polski, w którym toczyła się rewolucja obyczajowa. Otwarto erotyczny klub firmowany przez skandynawskie pismo „Cats" („Koty" czy też „Kociaki"), ukazujące się od 1990 r. po polsku. Co tydzień odbywały się tu imprezy z udziałem przyjezdnych tancerek albo – inaczej mówiąc – striptizerek. Rozbierały się i niekiedy zachęcały kogoś z publiczności do zabawy z nimi. To wszystko na oczach widowni.

Ta rewolucja obyczajowa miała specyficzną cechę – dotyczyła tyko nastolatków. Do klubu przychodziła młodzież, a dorośli nie mieli pojęcia, co się dzieje w środku.

Większego rozmachu nabrała też śmierć. We wrześniu 1992 r. w Łodzi punkt usługowy otworzyło pierwsze biuro pogrzebowe z udziałem kapitału zagranicznego. Na uroczystym bankiecie pito szampana i zagryzano schabem ze śliwką. W środku był niespotykany dotąd standard: marmury na ścianach, punktowe oświetlenie. A na cmentarzu pojawiło się pneumatyczne urządzenie do spuszczania trumien do grobu. Rzeczy niespotykane w czasach PRL-owskiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych, które w nowej rzeczywistości biznesowej zawiązało spółkę ze Zgrupowaniem Przedsiębiorstw Pogrzebowych we francuskim Lille. Władze miasta były bardzo zadowolone. Na uroczyste otwarcie zaproszono prasę, a wiceprezydent Łodzi przemówił na bankiecie: „Życzę wysokich obrotów, choć mi nie wypada".

Fortele i fotele

Lata 90. to upadek wymiaru sprawiedliwości. To nieco niezręczne sformułowanie, z którego mogłoby wynikać, że w latach PRL sądownictwo zasługiwało na pochwały. Sądy w Polsce Ludowej były mocno upolitycznione. Ale mimo wszystko cieszyły się szacunkiem, takim zwyczajnym, ludzkim. Traktowano je z powagą. To przejawiało się nawet w stroju, który zakładali ludzie, idąc na rozprawę. Mężczyzna raczej nie poszedł na rozprawę bez marynarki. Tymczasem w latach 90. Polacy zaczęli lekceważyć wymiar sprawiedliwości. Ludzie bez żenady wchodzili na salę rozpraw w czapce na głowie. Co zresztą było naturalne. Polacy po prostu nie czuli wsparcia ze strony państwa.

Pojawiła się nowa strategia procesowa, polegająca na „zjedzeniu zwrotki". Zwykle jednej stronie opłacało się przewlekanie postępowania – choćby ze względu na galopującą inflację. Żeby odbyła się rozprawa, sąd musiał uzyskać od poczty potwierdzenie, że stronom dostarczono zawiadomienie o wyznaczonym terminie. Służyło temu tzw. pocztowe zwrotne potwierdzenie odbioru. Dlatego pozwani albo oskarżeni czasami po prostu unikali listonoszy. W rezultacie sprawy ciągnęły się latami. To się opłacało przy sporach finansowych – inflacja było duża, a wyroki nie indeksowały kwot, których domagał się powód. Jeśli po kilku latach pozwany nawet przegrywał, to i tak tracił sumę, która realnie zmalała.

Inną metodę nazywano „usiąść na aktach". Gdy adwokatowi zależało, żeby sprawa nie trafiła szybko na wokandę, szedł z perfumami do sekretarki sądowej, a ta przenosiła akta z góry na sam dół stosu oczekujących dokumentów. Był to zresztą okres, gdy sędziowie zarabiali stosunkowo niewiele. Opisywałem sąd, w którym fotele prezesom zafundowali komornicy. Zwykli sędziowie skarżyli się, że nie stać ich nawet na zakup książek.

Tymczasem Polacy po raz pierwszy mogli się skarżyć na Polskę do Strasburga. To nowość roku 1993. Polacy tak mocno ją polubili, że natychmiast znaleźli się w czołówce szukających sprawiedliwości poza granicami swojego kraju. W 1994 r. już tysiąc Polaków poskarżyło się do Europejskiej Komisji Praw Człowieka w Strasburgu. Dało nam to trzecie miejsce w Europie. Więcej skarg złożyli tylko Włosi i Francuzi. Jeden ze skarżących żalił się, że Polska nie ustaliła, czy jest przestępcą – postępowanie karne w jego sprawie mocno się przedłużało. Inny zawiadamiał, że brat jeździ po jego podwórku wbrew prawu własności. A jeszcze inny zarzucał, że Polska dyskryminuje emerytów przy podziale cukru (choć kartki przecież dawno zniesiono; skarżący twierdził jednak, że regulamin zakładowego funduszu socjalnego krzywdzi emerytów, którzy dostają z niego mniej cukru od pracujących). Wnoszący skargę nie ponosili żadnych opłat. Jedynym kosztem była cena znaczka pocztowego.

Naukowa bieda

W latach 90. dramatycznie upadła polska nauka. Wielu uczonych wyjeżdżało za granicę, co fachowo nazywano „drenażem mózgów".

Inni szukali lepszej – a raczej lepiej płatnej – pracy. Pewnego dnia popularny dziennik „Super Express" ogłosił, że szuka kierownika działu kolportażu. Warunek: doktorat. I to nie z jakiejś filozofii czy psychologii, ale z matematyki, fizyki albo chemii. Odpowiedziało ponad 200 uczonych.

Żony dzwoniły z pytaniami, ile może zarobić mąż. Matki naukowców przedstawiały ich trudną sytuację życiową: wynajęta kawalerka, niska pensja, dwoje dzieci.

eprasa.pl a7c1105b6a



Magazyny erotyczne, 1996 r.
FOT. FORUM/WOJCIECH OLKUŚNIK

Doktorzy nauk, z którymi wówczas rozmawiałem, mówili, że większość pensji wydają na czynsz, światło i gaz. Pewna uczona marzyła, żeby obejrzeć słynny spektakl „Metro", ale bilet kosztował jedną dziewiątą jej pensji. Uczeni przyznawali jednak, że w polskiej nauce prowadzi się mnóstwo zbędnych badań, dublujących zagraniczne ustalenia.

Praca w firmie prywatnej – a taką był „Super Express" – nobilitowała. Ze względów finansowych oczywiście. Opisywałem też w tym czasie prywatne biura pośrednictwa pracy. Jedna szefowa opowiadała, że absolwentki psychologii czy socjologii powinny po prostu zaczynać od prostych prac, np. sekretarek. A potem może awansują. Ona sama przecież nie miała wyższego wykształcenia, a była kierowniczką. I na niczym nie oszczędzała.

Bardotki i tulipany

Polacy nagle stali się biznesmenami. Polska lat 90. to ulice upstrzone łóżkami polowymi, z których sprzedawano wszelkie dobra, niedostępne w latach PRL. Fortuny zbijano nawet na detalicznym handlu książkami. Dziś to może zaskakiwać. Ale łatwo daje się zrozumieć – nagle ukazało się mnóstwo atrakcyjnej, sensacyjnej literatury, której kiedyś do druku nie dopuszczała cenzura, bo czarnymi postaciami wielu takich powieści byli Sowieci. Czytałem wówczas mnóstwo Roberta Ludluma, wydawanego w lśniących, tłoczonych okładkach.

W każdym mieście kwitły targowiska. Polacy stawali się biznesmenami, rezygnując ze sportu – można by podsumować. Olbrzymim straganem stał się warszawski Stadion Dziesięciolecia. To była gigantyczna hurtownia. Czasami z nielegalnym towarem, np. pirackimi płytami CD (formalnie, ze względu na polskie prawo autorskie, przez wiele lat był to towar legalny). Same Compact Disci były na początku lat 90. niezwykle cenną nowością. W PRL zachodni sprzęt elektroniczny kupowano w sklepach Pewex albo Baltona. Pojawiał się też właśnie na targowiskach, np. na warszawskiej Skrze, która też była stadionem.

Wielką popularnością cieszył się również Tuszyn pod Łodzią. Na tym bazarze znakomicie dawało się dostrzec, jak nowi, niewielcy producenci błyskawicznie reagują na zapotrzebowanie rynku. Pewnego dnia pojawiła się np. moda na staniki tulipany. Potem przyszła moda na bardotki. Wytwórcy byli elastyczni – na zamówienie kupca znad Odry jeden wyprodukował bardotki obszyte sztucznym mięsem i frędzelkami. W latach PRL tak szybkie dostosowywanie się do rynku było niemożliwe.

Stolicą polskich biustonoszy stało się Głowno pod Łodzią. W kilkunastotysięcznym miasteczku działało 120 szwalni. Pracowały w nich szwaczki, które straciły zatrudnienie w spółdzielni gorseciarskiej imienia komunistki Włady Bytomskiej (nie wiadomo nawet, czy sama nosiła biustonosze).

Każdy coś kręci

Nagle zrobiło się wiele stacji telewizyjnych. A przecież w PRL były tylko dwa kanały telewizyjne.

Przy czym okazało się, że telewizja „za komuny" kłamała, ale ta w kapitalizmie też coś kręci – w teleturniejach startują wynajęte aktorki, publiczność to statyści, a nagrody to wypożyczone rekwizyty. Gdy ktoś je wygrywa na wizji, to następuje drobne kanciarstwo wobec widza. Zwycięzca nagrody nie odbiera, bo zapłacono mu tylko za udział w programie.

Równie fikcyjny okazał się świat telewizyjnych reklam. Producent pasty wynajmował aktora, aby ten zagrał dentystę w reklamie pasty do zębów. Tak np. stomatologiem z reklamy Blend-a-med został dyrektor Teatru Ochoty. Czasami pewne produkty reklamowały stowarzyszenia albo instytuty o naukowo brzmiących nazwach. Zakładali je sami producenci zachwalanych towarów.

Zresztą w ogóle reklamy telewizyjne też były wówczas nowością. Jeżeli ktoś pamięta Okrągły Stół, to pewnie też wspomina supermodelkę Cindy Crawford zachwalającą szampony Elseve.

Te wszystkie historie opisaliśmy razem z moim kolegą Michałem Matysem w opublikowanym przez Wydawnictwo Czarne zbiorze „Niepowtarzalny urok likwidacji. Reportaże z Polski lat 90.". Ale ta książka w rzeczywistości powstawała „na żywo". I dlatego to nie są współczesne wspominki „dziadersów", a teksty młodych chłopaków. Wszystkie pierwotnie ukazały się w „Gazecie Wyborczej" właśnie w latach 90.

Przygotowując je teraz do druku, niemal niczego – poza pisownią bardziej książkową, a mniej gazetową – nie zmieniliśmy. Podczas tej pracy najbardziej nas zaskoczyło, jak sami mało pamiętaliśmy z Polski lat 90. I jak bywała ona dziwna, a przez to dziś zaskakująca. Zapomnieliśmy o niej właśnie trochę z poczucia wstydu. W początkach kapitalizmu i demokracji bywaliśmy dość naiwni i często ubodzy. Cały świat Zachodu wydawał nam się rajem na ziemi.

Z perspektywy lat zaskoczyło mnie też to, że udało nam się opisać sporo zupełnie nowych zjawisk, które dziś wydają się oczywiste. Ale wtedy pojawiły się pierwszy raz. Uchwycenie tego to wielka reporterska frajda. Pisaliśmy te teksty w dziale reportażu „Gazety Wyborczej", najlepszym w owych czasach miejscu dla reportera. Przez wiele lat wspaniale prowadziła go Małgorzata Szejnert. Przy czym w latach 90. sama „Gazeta Wyborcza" była inna od współczesnej.

Te reportaże są jak szkiełka w witrażu. Pojedyncze cieszą swoją urodą, ale dopiero złożone w całość tworzą obraz. Z różnych szkiełek skomponujemy oczywiście różne witraże. Nasze reportaże opisywały zawsze tylko wycinek rzeczywistości. To Polska lat 90. Piotra Lipińskiego i Michała Matysa. Mam nadzieję jednak, że udało na się w tych szczegółach pokazać coś większego. Reportaż zawsze był – jak mówiła Hanna Krall, pierwsza szefowa działu reportażu „GW" – kroplą wody, w której odbijała się rzeczywistość.



© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



1989–2000 / Rozkwit i upadek mafii

Polska w mackach mafii



Piotr Włoczyk

Gangsterzy czuli się w pierwszych latach po upadku komunizmu panami Polski. Mafie z Pruszkowa i Wołomina najpierw ściśle ze sobą współpracowały, a potem rzuciły się sobie do gardeł

Boss gangu pruszkowskiego uwielbiał disco polo. Przede wszystkim z powodu pieniędzy. Andrzej Kolikowski ps. Pershing ogromne kwoty, które jego grupa zarabiała, m.in. wymuszając haracze czy sprzedając narkotyki, „prał" właśnie na tym dynamicznie rozwijającym się rynku.

Sam jednak miał wyjątkową słabość do zespołu Bajm. Do dziś krążą legendy o imprezach w klubie nocnym w warszawskim hotelu Polonia, gdy boss gangu pruszkowskiego kazał puszczać w kółko utwór „Miłość i ja". Zapętlony kawałek doprowadzał do rozpaczy obsługę i gości. Ci pierwsi nie byli w stanie w żaden sposób zareagować, natomiast ci drudzy mogli w ramach protestu co najwyżej po cichu opuścić lokal. „Pershing" w latach 90. trząsł bandyckim półświatkiem i wiedział, że może sobie pozwolić na wszystko. Wszyscy natomiast rozumieli, że pod żadnym pozorem nie można mu wchodzić w drogę.

Na filmach z imprez bandytów z Pruszkowa widać, jak „Pershing" korzystał z życia, pląsając na parkiecie wśród młodych, pięknych dziewczyn. Te ujęcia opinia publiczna mogła zobaczyć w doskonale zrealizowanym serialu dokumentalnym „Alfabet mafii", wyemitowanym po raz pierwszy 20 lat temu na TVN. Materiał do niego zebrali głównie dziennikarze śledczy Piotr Pytlakowski i Ewa Ornacka. Na innych prywatnych nagraniach z imprez „Pruszkowa" widać, jak Kolikowski biesiaduje wraz z kolegami z „zarządu" gangu. Wszyscy rozluźnieni, przyjacielsko żartują, prężą mieśnie, słowem – bandycka sielanka. W rzeczywistości najbliżsi współpracownicy „Pershinga" kombinowali już, jak zająć jego miejsce.

Kolikowski przeżył kilka zamachów na swoje życie. W tym jeden, w wyniku którego miał się dosłownie usmażyć na swoim ukochanym Służewcu. Ten zapalony hazardzista uwielbiający wyścigi konne w ostatniej chwili zauważył, że pod jego mercedesem ktoś podłożył granat.

Szczęście opuściło go 5 grudnia 1999 r., gdy oddawał się w Zakopanem kolejnemu ulubionemu zajęciu – jeździe na nartach. Nasłani zabójcy dopadli go, gdy wsiadał do swojego mercedesa S500.

„To był początek końca grupy pruszkowskiej. Andrzej Kolikowski był bezwzględny, ale też bystry i potrafiący

eprasa.pl a7c1105b6a



Andrzej Kolikowski „Pershing"
FOT. PIOTR LISZKIEWICZ/SE/EAST NEWS

robić interesy. To był główny powód jego zabójstwa. W momencie, gdy zarząd pruszkowski dowiedział się, że »Pershing« chce przejść na legalny biznes, trzeba było pozbyć się go" – mówił na antenie Polskiego Radia 24 Dawid Sawicki, autor fabularyzowanego serialu dokumentalnego „Miasto gniewu".

Śmierć „Pershinga" wywołała całą lawinę zdarzeń. Przede wszystkim Jarosław Sokołowski ps. Masa, protegowany „Pershinga" z gangu pruszkowskiego, zrozumiał, że może być następnym trupem. W związku z tym szybko poszedł na pełną współpracę z organami ścigania, opowiadając śledczym o wszystkich sekretach mafii. W ten sposób zabójstwo „Pershinga" oznaczało też początek końca mafijnej sieci, która oplotła Polskę lat 90. Struktury państwa okrzepły, na kluczowych stanowiskach w państwie pojawili się zdeterminowani ludzie i walka z przestępczością zorganizowaną w końcu zaczęła być prowadzona profesjonalnie. Swoje zrobiły też dintojry wśród samych gangsterów, które ułatwiły pracę policji.

Nysy i „beemwice"

„Tam, gdzie kończą się Reguły, zaczyna się Pruszków" – mawiali bandyci z tego miasta słynnego na całą Polskę. Reguły to wieś leżąca przy granicy Pruszkowa i znak drogowy informujący o końcu Reguł i początku Pruszkowa stał się bardzo symboliczny.

„Pershing", „Słowik", „Parasol", „Masa" czy „Kiełbasa". Te pseudonimy przerażały nie tylko mieszkańców Pruszkowa. Gang z tego miasta był najsilniejszy w Polsce, ale przecież gdzie indziej też nie brakowało wtedy groźnych bandytów tworzących zbrojne grupy przestępcze. Z czego wynikał tamten rozrost struktur mafijnych?

– W latach 90. ogromne zyski z przemyty spirytusu i papierosów z dnia na dzień uczyniły zwykłych kryminalistów, takich jak np. „Słowik" z Pruszkowa, majętnymi i wpływowymi bossami przestępczego podziemia. Tymczasem bieda w policji aż piszczała – wyjaśnia „Historii Do Rzeczy" Ewa Ornacka, współautorka (z Piotrem Pytlakowskim) wspomnianego dokumentu „Alfabet mafii". I dodaje: – Stróże prawa wyposażeni w stare radiotelefony jeździli zdezelowanymi nysami, co najwyżej polonezami, podczas gdy gangsterzy wozili się „beemwicami" i nawet zwykli dealerzy narkotykowi mieli pierwsze na rynku telefony komórkowe, bijąc tym samym na łeb na szyję policyjne techniki łączności. Praca operacyjna w policji raczkowała, a prawo nie nadążało za dynamiczną, wolnorynkową rzeczywistością. Nie było jeszcze przykrywkowców w gangach (tzn. policjantów udających przestępców), nie było instytucji świadka koronnego. Aparat ścigania dopiero uczył się walki z tym – kompletnie nowym – zjawiskiem, którym były zorganizowane gangi.

Ich działalność mocno dawała się we znaki społeczeństwu. Przede wszystkim jednak cierpieli przedsiębiorcy. Każdy, komu biznes zaczynał się dobrze „kręcić", musiał się mieć na baczności.

– Powszechnym zjawiskiem były haracze, którymi nękano właścicieli lokali gastronomicznych i sklepów przeróżnej maści – podkreśla Ewa Ornacka. – Nie płacisz daniny – spalą ci lokal, podłożą bombę pod twój samochód, zastraszą twoją rodzinę. Niewielu miało odwagę poprosić o pomoc słabą policję. To rozzuchwaliło mafię, która wkrótce zaczęła zarabiać krocie na uprowadzeniach dla okupu.

Polska mafia rozpoczęła swoją historię w Pruszkowie od gangu „Barabasza". Bandyci z okolic Warszawy, którzy za PRL nie byli w stanie w pełni rozwinąć „skrzydeł", wraz z upadkiem zamordystycznego systemu poczuli, że państwo właściwie nie działa, więc mogą sobie pozwolić na wszystko.

„Wielu z nich było idolami z moich młodzieńczych lat – wspominał czasy przełomu »Masa« w wywiadzie rzece z Arturem Górskim pt. »Masa. O bossach polskiej mafii«. – Takie tuzy pruszkowskiej gangsterki jak »Barabasz«, »Ali« czy »Dzikus« pobudzały wyobraźnię chłopaków, którzy nie chcieli zarabiać groszy w fabryce, a przeskoczyć do innego, lepszego (wiem, to kwestia względna) świata, gdzie kasa płynie strumieniami, a piękne kobiety są na wyciągnięcie ręki".

„Pruszków" napadał na tiry, ściągał haracze, przemycał spirytus i papierosy, parał się też zabójstwami na zlecenie. Nie działał jednak w próżni. Po drugiej stronie Wisły pojawił się gang wołomiński. Kierowało nim dwóch braci: słynni „Dziad" i „Wariat".

„Na samym początku lat 90. nic nie zapowiadało burzy – robiliśmy z »Dziadem« interesy i mogę stwierdzić, że wiązała nas silna nić sympatii – opowiadał »Masa« w rozmowie z Górskim. – Miał dużo forsy, więc kiedy przywoziliśmy mu jakiś towar, płacił bez szemrania i ociągania się. Często służył nam swoimi dziuplami i pomagał upłynniać to, co zawinęliśmy. Owszem, czasem dochodziło do spięć, ale wtedy robiło się rozkminki i przyklepywaliśmy sprawę. Dość często brałem udział w tego typu negocjacjach [...]. Współpraca wyglądała bardzo dobrze, ale do czasu. Pewnego razu zawinęliśmy dwa tiry ze spirytusem i daliśmy »Dziadowi« znać, że jedziemy na jego dziuplę. Mieściła się na drodze wylotowej z Warszawy, na samym skraju Bródna. Ruszyliśmy mocną ekipą, w skład której, oprócz kierowców tirów, wchodzili: ja, »Kiełbacha«, »Słowik«, »Oczko«, »Bolo«, stary »Dreszcz« i jeszcze kilku chłopaków. Generalnie same pruszkowskie tuzy. I trudno się dziwić, bo z tych tirów miało być naprawdę w ch.j kapusty! A my byliśmy głodni...".

Według opowieści „Masy" cały plan runął, gdy okazało się, że dziupla jest obserwowana przez policję. Podczas

eprasa.pl a7c1105b6a

rozładunku spirytusu do akcji weszli antyterroryści. Pruszkowska ekipa, wraz ze „Słowikiem" i „Oczkiem", została zatrzymana.

„A »Słowik« był wówczas poszukiwany listem gończym. Obaj trafili na dołek. »Dziad«, jak się o tym dowiedział, odmówił zapłaty. Powiedział, że przyciągnęliśmy za sobą ogon, i nie dość, że tiry poszły się j.bać, to jeszcze spaliliśmy mu dziuplę" – mówił „Masa". To był początek wojny, w której obie strony dokonywały egzekucji na przeciwnikach. Oprócz pistoletów i karabinów w ruch poszły też ładunki wybuchowe.

Trup słał się wówczas naprawdę gęsto. W 1995 r. w Rembertowie w gołębniku zabitych zostało dwóch ludzi „Wołomina" i jeden przypadkowy świadek. W tym samym roku gang wołomiński starał się wyeliminować ważną figurę „Pruszkowa", wysadzając w powietrze jego mieszkanie w bloku przy ul. Ostrobramskiej w Warszawie. Ładunek był jednak na tyle silny, że wraz z jego mieszkaniem uszkodzonych zostało kilka innych, a wybuch wyrwał całą ścianę na wysokości trzech pięter. Jakimś cudem nie było wówczas ofiar śmiertelnych. Najbardziej krwawym zamachem w historii polskiej mafii była egzekucja pięciu gangsterów „Wołomina", w tym budzących szczególną grozę „Klepaka" i „Lutka", do której doszło w 1999 r. w warszawskiej restauracji Gama. W tym ostatnim przypadku była to jednak wewnętrzna wołomińska dintojra. Jak wskazują eksperci, o ile „Pruszków" został rozbity przez działania organów ścigania (z nieocenioną pomocą „Masy"), o tyle „Wołomin" właściwie sam się wykończył. Co ciekawe, „Dziad", gdy siedział już w więzieniu, przed kamerami „Alfabetu mafii" przyznał, że egzekucja „Wariata" (zabitego w 1998 r.) nie była czymś niewłaściwym. Według „Dziada" jego brat sam sobie na to zasłużył, prowadząc walkę o wpływy bardzo brutalnymi metodami.

„Pruszków" napadał na tiry, przemycał spirytus, ściągał haracze, zabijał na zlecenie. Po drugiej stronie Wisły pojawił się najpierw sojusznik, a potem konkurent: gang wołomiński

– Miałam okazję poznać i rozmawiać z wieloma znanymi opinii publicznej gangsterami – mówi nam Ewa Ornacka. – Dla mnie wszyscy oni są podobni: cyniczni, mają rozdmuchane ego i kompletny brak samokrytycyzmu. Czasami wspominam nieżyjącego już Henryka Niewiadomskiego ps. Dziad, śmiertelnego wroga grupy pruszkowskiej. Uprzedzano mnie, że to człowiek bezwzględny i chamski, że o pewne sprawy nigdy nie powinnam go pytać. „Dziad" zaskoczył mnie prostolinijnością i sprytnie przemyślaną szczerością. Kiedy operator wyłączył kamerę, a ja odetchnęłam z ulgą, że rozmowa przebiegła bezkolizyjnie, „Dziad" powiedział odprowadzającemu go do celi „klawiszowi": „Jakaś głupia ta dziennikarka. Nawet mnie nie zapytała, ilu ludzi kazałem zabić".



„Słowik", „Parasol" i „Wańka" zatrzymani przez policję, 2022 r.
FOT. CBSP.POLICJA.PL

Telefon do redakcji

„Masa" już od 1994 r. był policyjnym agentem, donosząc służbom na kolegów. Jak sam wspominał, jego przyjacielem z „Pruszkowa" był słynny „Kiełbasa" (Wojciech Kiełbiński). Gangster w ciekawy sposób dbał o swój wizerunek.

Zmarły w grudniu zeszłego roku Piotr Pytlakowski wspominał w serialu dokumentalnym „Alfabet mafii", że gdy w połowie lat 90. w Warszawie trwała wojna gangów, w jednym ze swoich tekstów na ten temat opisał, jak na „Kiełbasę" mówią inni bandyci. Było to słowo na „ch".

„Kiedy charakterystyki miały ukazać się drukiem, było mi głupio napisać, że tak jest nazywany, więc napisałem dyplomatycznie, że jest nazywany penisem – opowiadał Pytlakowski. – Okazało się, że to go najbardziej oburzyło. Któregoś dnia zadzwonił telefon, człowiek przedstawił się i mówi: »Kiełbasa. To mnie pan nazwał penisem. W związku z tym wydaję na pana wyrok«".

Ostatecznie była to tylko próba zastraszenia dziennikarza bez żadnych nieprzyjemnych następstw, natomiast

eprasa.pl a7c1105b6a

niedługo później ktoś wydał wyrok na samego „Kiełbasę". Gangster zginął 19 lutego 1996 r., zastrzelony w centrum Pruszkowa. Wciąż niejasne jest, kto za tym stał. Gangsterzy z „Pruszkowa", którzy trafili za kratki na podstawie zeznań „Masy", wskazują właśnie jego jako winnego śmierci „Kiełbasy". „Masa" twierdzi wprawdzie, że początkowo, tuż po śmierci kolegi z „Pruszkowa", przyznawał się do zabicia go, by podbudować w grupie swoją pozycję jako bezwzględnego drapieżnika, jednak w rzeczywistości to nie on stał za egzekucją „Kiełbasy". Według najsłynniejszego polskiego świadka koronnego Kiełbińskiego zabił gang „Rympałka", kolejnego bandyty, który przerażał warszawiaków.

Szefowie gangu pruszkowskiego mieli ogromne ambicje. W innych wielkich miastach wskazywali ludzi, którzy mogą uprawiać tam „gangsterkę". Jednym z protegowanych „Pruszkowa" był słynny „Oczko", który trząsł Szczecinem. Gdy jednak wyrosła mu konkurencja, do miasta nad Odrą przyjechała kilkudziesięcioosobowa „delegacja" z Pruszkowa, która pokazała konkurencji „Oczki", gdzie jest jej miejsce. „Pruszków" sięgał nawet daleko poza granice Polski. Bandyci pod wodzą „Pershinga" postanowili ściągać kokainę bezpośrednio z Kolumbii. Cała Polska dowiedziała się o skali tego procederu, gdy w styczniu 1994 r. brytyjskie służby znalazły 1,3 tony kokainy schowanej na pokładzie statku „Jurata", który płynął do Polski z Wenezueli. Tak to opisywała „Gazeta Wyborcza":

„Towar wart był ponad 300 mln zł. Do Polski nie dotarł. 24 stycznia 1994 r. brytyjscy celnicy w porcie pod Liverpoolem otworzyli 49 beczek z lepikiem, w które zapakowany był biały proszek. Wyjęli kokainę i... kontenerowiec »Jurata« popłynął dalej. W Gdyni transport odebrał oskarżony Krzysztof O., właściciel składu budowlanego pod Warszawą (został założony tylko dla tej transakcji). Stąd beczki rozeszły się do kilku firm w kraju. Policja już wówczas wiedziała, że kokaina trafić miała do gangu pruszkowskiego. Jednak śledztwo zostało zawieszone, bo z Wenezueli nie nadeszły żądane przez prokuraturę dokumenty dotyczące firmy ekspediującej lepik. Ambasada RP w Caracas informowała, że tamtejszy wymiar sprawiedliwości jest w kryzysie, a np. w 1995 r. sądy pracowały jedynie przez 52 dni w roku".



Adam Rapacki, nadinspektor policji

FOT. GRZEGORZ GOŁĘBIOWSKI/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

„Masa" twierdził po latach w rozmowie z mediami, że dla „Pruszkowa" nie był to zbyt wielki cios, ponieważ inne ogromne transporty kokainy z Kolumbii docierały do bossów w nienaruszonym stanie. Świadek koronny, który zatopił „Pruszków", twierdził, że do Kolumbii osobiście latał „Słowik", by nawiązywać kontakty z tamtejszymi kartelami.

Ten gangster szybko stał się ulubieńcem mediów, dostarczając im mnóstwa tematów. W 1993 r. okazało się, że „Słowik" załatwił sobie jakoś w Kancelarii Prezydenta ułaskawienie. Lech Wałęsa twierdził po latach, że podpisał się pod dokumentem tylko dlatego, że za „Słowika" ręczyło kilku księży.

Koledzy z półświatka charakteryzowali go jako człowieka absolutnie bezwzględnego, który nawet w ich środowisku wzbudzał lęk. Gdy w 2000 r. pętla wokół „Pruszkowa" nagle się zacisnęła, „Słowik" wyleciał za granicę. Odnaleziono go w Hiszpanii, skąd w kajdankach trafił w 2003 r. do Polski, gdzie czekał już na niego sąd. Czy opłaciło mu się takie życie? Kara nie miała tu raczej działania odstraszającego dla innych amatorów gangsterskiego „fachu".

Za kierowanie gangiem pruszkowskim „Słowik" usłyszał wyrok sześciu lat pozbawienia wolności, ale w kolejnym procesie sąd uniewinnił go od zarzutu zlecenia zabójstwa gen. Marka Papały, komendanta głównego policji, który został zamordowany przed swoim blokiem w 1998 r. (ta sprawa wciąż pozostaje niewyjaśniona).

Niedawno znów było głośno o „Słowiku". W 2022 r. ten były gangster stał się twarzą jednej z polskich organizacji MMA. Wywołało to wśród komentatorów mnóstwo negatywnych opinii. Szczególnie głośne były wypowiedzi Krzysztofa Stanowskiego, który podkreślał, że sięganie po „Słowika" to w gruncie rzeczy oswajanie bandytyzmu. A jeżeli ktoś uważał, że człowiek, który grał w „Pruszkowie" jedną z głównych ról, odpokutował dawne winy i zmienił swoje życie, to kolejne informacje mogły zweryfikować taki pogląd.

W styczniu tego roku „Słowik" znów trafił na ławę oskarżonych. Towarzyszyli mu inni starzy znajomi z „Pruszkowa", m.in. Leszek D. ps. Wańka i Janusz P. ps. Parasol. Wszyscy oni zostali oskarżeni o handel kokainą (w latach 2015—2016).

A jak potoczyło się życie „Masy" po zatopieniu przez niego „Pruszkowa"? Były gangster zrobił dużą karierę medialną, sprzedając mnóstwo książek z kolejnymi rozdziałami swojej „spowiedzi". Ćwierć wieku temu w zamian za zeznania uniknął więzienia, ale w końcu szczęście przestało się do niego uśmiechać. Równolegle ze swoją medialną karierą „Masa" rozwijał również działalność, którą nie bez przyczyny się nie chwalił. W październiku 2024 r. słynny świadek koronny usłyszał wyrok sześciu lat pozbawienia wolności, m.in. za oszustwa kredytowe i wręczanie łapówek.

W opowieści o polskiej mafii muszą się pojawić jeszcze dwa nazwiska, tym razem z drugiej strony. Nadinspektor Adam Rapacki, specjalista do spraw walki z przestępczością zorganizowaną, powszechnie uważany jest przez ekspertów za człowieka, który nadał walce z gangami odpowiednią dynamikę. Z kolei Lech Kaczyński, w latach 2000—2001 minister sprawiedliwości i prokurator generalny, swoją walką z przestępczością dorobił się wizerunku „szeryfa", co pomogło mu kilka lat później sięgnąć po prezydenturę.

Czy polskie gangi z lat 90. miały cokolwiek wspólnego z mafią, którą znamy z hollywoodzkich hitów? O ile sami gangsterzy uwielbiali takie filmy i nawiązywali do ich najsłynniejszych bohaterów, o tyle w rzeczywistości tworzyli bandycki świat bez jakichkolwiek zasad. Nasi mafiosi nie uznawali nierozerwalnych więzów lojalności i, jak podkreśla Ewa Ornacka, byli w stanie sprzedać kolegę za tira towaru. Liczyły się tylko szybki pieniądz i zabezpieczenie się wszelkimi sposobami (łącznie z donoszeniem) przed odsiadką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Japoński żołnierz i ciała Chińczyków zamordowanych podczas masakry w Nankinie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1937–1938 / Nadzieja w morzu zbrodni

Sprawiedliwi z Nankinu



Łukasz Czarnecki

Masakra nankińska to jedna z najczarniejszych kart w historii ludzkości. W sześciotygodniowej orgii mordów życie straciło ok. 300 tys. Chińczyków. Liczba ofiar byłaby o wiele większa, gdyby nie grupka bohaterskich obcokrajowców

Rozpoczęta 7 lipca 1937 r. incydentem na moście Marca Polo pod Pekinem wojna chińsko-japońska miała trwać siedem lat i przynieść Państwu Środka trudne do pojęcia cierpienia. Najkrwawsza bitwa wojny rozegrała się w Szanghaju, na który Japończycy przypuścili szturm 13 sierpnia 1937 r. Zaciekłość obrony zaskoczyła gardzących Chińczykami najeźdźców. Doborowe jednostki oddelegowane do największego portu Państwa Środka przez Czang Kaj-szeka stawiały opór przez trzy miesiące. Miasto padło dopiero w połowie listopada, ale obrońcy zapłacili straszliwą cenę – zginęło ok. 180 tys. chińskich żołnierzy.

W ostatnich dniach bitwy o Szanghaj francuski jezuita Jacquinot de Besange – profesor szanghajskiego Univeriste Aurore i przewodniczący Chińskiego Międzynarodowego Komitetu Pomocy Humanitarnej – podjął działania mające na celu zapewnienie bezpieczeństwa uchodźcom. Rozpoczął zabiegi zarówno u władz chińskich, jak i u dowództwa armii japońskiej o zgodę na utworzenie w dzielnicy Nanshi wydzielonego obszaru mogącego stanowić schronienie dla cywilów. Inicjatywa ta znalazła poparcie obu stron konfliktu i tak 9 listopada 1937 r. rozpoczęła swą działalność Szanghajska Strefa Bezpieczeństwa. Jej powstanie odbiło się szerokim echem w mediach.

Sprawiedliwy hitlerowiec

Wieści o inicjatywie francuskiego duchownego szybko dotarły do Nankinu. W mieście trwała właśnie gorączkowa ewakuacja. Rząd Republiki przeniósł się do Hankou, a w ślady za nim podążały wszystkie organy państwowe, również uczelnie, zapasy złota oraz siły zbrojne. W stolicy pozostać miał 90-tysięczny garnizon, pełniący raczej funkcję symboliczną i propagandową. Wchodzący w jego skład żołnierze byli kiepsko wyszkoleni i uzbrojeni, a dowódcom, na czele z gen. Tangiem Shengzim, brakowało ducha walki.

Idea ojca de Besange znalazła uznanie w oczach działających w Nankinie misjonarzy, którzy postanowili sko-

eprasa.pl a7c1105b6a

piować ją u siebie. 17 listopada Minnie Vautrin – pochodząca z USA nauczycielka i misjonarka z żeńskiego Ginling College – wystosowała list do ambasady amerykańskiej z prośbą o pomoc w zorganizowaniu analogicznej strefy bezpieczeństwa. Tego samego dnia Willson Plummer Mils, duchowny Kościoła prezbiteriańskiego, oraz dwóch profesorów Uniwersytetu Nankińskiego – Lewis S.C. Smythe i Miner Searle Bates – odwiedzili urzędnika ambasady USA Wilsona Pecka. Zaproponowali mu, by w północno-zachodniej części miasta, gdzie znajdowały się kampusy uniwersyteckie oraz zachodnie misje i kościoły, wyznaczyć strefę zdemilitaryzowaną, w której schronienie mogliby znaleźć uchodźcy. Dla koncepcji tej udało się pozyskać Hanga Liwu – przewodniczącego Rady Uniwersytetu Nankińskiego, który przedstawił ją ministrowi edukacji Republiki Chińskiej. Ten wyraził zgodę na wykorzystanie budynków akademickich jako tymczasowych schronień dla cywilów. Wkrótce w sprawę zaangażowali się też ambasador USA Nelson Johnson i mer Nankinu Ma Chaojun. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych zaproponował, że skontaktuje się ze swym japońskim odpowiednikiem, by uzyskać zgodę armii Kraju Kwitnącej Wiśni na respektowanie granic zdemilitaryzowanego obszaru miasta.

Niestety, szybko okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. O ile w Szanghaju, mieście z największą społecznością cudzoziemców na Dalekim Wschodzie, Japończycy postępowali tak, by nie spadło na nich potępienie międzynarodowej opinii publicznej, o tyle nie życzyli sobie, by w Nankinie ktokolwiek patrzył im na ręce. Kolejne słane do japońskiej ambasady i konsulatu generalnego wiadomości pozostawały bez odpowiedzi. W końcu zagraniczni działacze humanitarni ze stolicy Republiki Chińskiej poprosili o pomoc ojca de Besange. Władze Japonii zwlekały z odpowiedzią, aż w końcu 1 grudnia przesłały francuskiemu duchownemu wiadomość, w której poinformowały go o odmowie oficjalnego uznania Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa. Chcąc uniknąć oskarżeń o niehumanitarność, Japończycy stwierdzili jednak, że postarają się nie naruszać jej granic, o ile nie będzie ku temu powodów natury militarnej.



„Jacquinot de Besange". Rzeźba Zhanga Chongrena

FOT. COMMMONS WIKIMEDIA

Japońskie wykręty nie ostudziły entuzjazmu nankińskich działaczy. Już 18 listopada zawiązano Międzynarodowy Komitet Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa. 19 listopada w jego szeregi wstąpił Niemiec John Rabe – przedstawiciel firmy Siemens na Chiny i szef nankińskiej komórki NSDAP, ważna postać wśród niemieckiej społeczności miasta. Był on najbardziej osobliwym spośród przyszłych „Sprawiedliwych z Nankinu". Gorliwie wierzył w idee nazistowskie i wielbił Hitlera do tego stopnia, że nosił pod nosem charakterystyczny wąsik. 25 listopada, gdy Japończycy wciąż zwlekali z odpowiedzią na kolejne petycje dotyczące uznania Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa, Rabe wysłał telegram do kancelarii Rzeszy, prosząc Hitlera o interwencję. Wątpliwe, by Führer zrobił coś w tej sprawie. Zasiadający w komitecie Brytyjczycy i Amerykanie uznali jednak nazistowskie konotacje niemieckiego biznesmena za przydatne – Niemcy były wszak sojusznikiem Cesarstwa Japonii, podczas gdy do krajów anglosaskich Tokio odnosiło się coraz bardziej wrogo. Zapewne ten argument przeważył, gdy przyszło wybrać przewodniczącego Komitetu – został nim właśnie Rabe.

Orgia śmierci

Japończycy szybko zbliżali się do Nankinu i już 9 grudnia stanęli pod miastem. Generał Tang, który jeszcze niedawno zaklinał się, że nie odda ani guzika, jako pierwszy zbiegł ze stolicy, a w ślad za nim poszła większość oficerów. Pozostawieni sami sobie żołnierze masowo porzucali broń i mundury, próbując wmieszać się w tłum cywilów.

Krótko przed rozpoczęciem oblężenia miasta zagraniczne przedstawicielstwa i większość obcokrajowców ewakuowały się ze stolicy Republiki. Na miejscu zostało tylko 27 cudzoziemców związanych z Nankińską Strefą Bezpieczeństwa.

13 grudnia armia japońska wkroczyła do Nankinu. Dowodzącego nią gen. Matsui Iwane powalił akurat atak gruźlicy i siłami najeźdźców dowodził w jego zastępstwie cesarski kuzyn Asaka Yasuhiko. Najpoważniejszym problemem, przed którym stanął, było podjęcie decyzji o losie chińskich jeńców, żołnierze Kraju Kwitnącej Wiśni wzięli bowiem do niewoli takie rzesze wrogów, że ci wielokrotnie przewyższali ich liczbą. Chory Matsui, zapytany, co począć z tym problemem, udzielił wykrętnej odpowiedzi. Między wierszami można było jednak wyczytać straszliwy wyrok. A książę Asaka, jako doświadczony członek klanu cesarskiego, doskonale rozumiał rzeczy powiedziane nie wprost – jeńców należało wymordować.

Rozpoczęła się rzeź. Jednym z najstraszliwszych jej aktów było rozstrzelanie na zboczach góry Mufu 57 tys. chińskich żołnierzy. Czynu tego dokonał niewielki oddział Japończyków, który rozprawił się z ofiarami za pomocą karabinów maszynowych. Innych chińskich żołnierzy zaganiano do szop, które podpalono. Kolejnych wrzucano do ogrodzonych drutem kolczastym dołów, polewano benzyną i podpalano. Wielką popularnością



Japońskie oddziały gen. Iwane Matsui wkraczają do Nankinu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHINA INCIDENT PHOTOGRAPH ALBUM VOLUME 2

eprasa.pl a7c1105b6a



FOT. COURTESY OF MRS. HELEN SNOW, HOOVER INSTITUTION ARCHIVES, STANFORD UNIVERSITY, CALIFORNIA, SANTA BARBARA
THE ATROCITIES: JAPAN'S WAR OF TERROR IN CHINA, NANKING MASSACRE BY JAPANESE INVADERS

Zakopywanie żywcem chińskich więźniów

cieszyło się wykorzystywanie Chińczyków do trenowania pchnięć bagnetem. Jednak żądnym krwi oprawcom i ich dowódcom wciąż było mało. Na ulicach Nankinu zaczęło się regularne polowanie na ludzi. Mężczyzn zatrzymywano i sprawdzano, czy nie mają na dłoniach odcisków, a na plecach śladów od noszenia plecaków. Ci, u których wykryto takie znamiona, uznawani byli za żołnierzy w przebraniu – czekała ich śmierć.

Wkrótce ofiarami zabójczej orgii zaczęli też padać cywile mordowani z sadystyczną pomysłowością. Japończycy wpędzali nankińskich mieszczan na wyższe piętra ich domów, po czym podpalali budynki, tak by mieszkańcy mieli do wyboru zginąć w płomieniach lub rzucić się na uliczny bruk i złamać sobie karki. Sadyści zakopywali niektóre ze swych ofiar po szyję, po czym rozjeżdżali im głowy czołgami. Ludzi rozrywano żywcem, rzucano na pożarcie specjalnie tresowanym wojskowym psom lub wieszano za języki. Innych pojono benzyną i strzelano do nich, by z zachwytem patrzeć, jak eksplodują w kuli ognia.

Pomysłowość zwyrodnialców, którzy na blisko sześć tygodni przejęli władzę nad miastem, nie miała granic. Oprócz samego mordowania ich ulubioną zabawę stanowiły gwałty zbiorowe, po których ofiary zazwyczaj zabijano, a w miejsca intymne wtykano im różne przedmioty. Sadyści rozmiłowali się też w zmuszaniu członków rodzin do odbywania kazirodczych stosunków seksualnych – ojcom kazano pod groźbą śmierci gwałcić córki, a synom matki. Na blisko półtora miesiąca Nankin stał się piekłem na Ziemi.



Kadra Ginling College FOT. YALE UNIVERSITY LIBRARY

W obronie niewinnych

Nankińska Strefa Bezpieczeństwa działała na pełnych obrotach od pierwszych chwil po wejściu Japończyków do miasta. Gdy pomysłodawcy wyznaczali jej granice, przygotowywali zapasy i adaptowali budynki na obozy dla uchodźców. Zakładali, że będą w stanie zapewnić opiekę ok. 35 tys. osób. Tymczasem w grudniu, gdy miasto płonęło, a okoliczne akweny wodne spływały krwią (zupełnie dosłownie jeden z miejskich stawów zrobił się czerwony), na obszarze wielkości 3,86 km kw. ratunku przed śmiercią i torturami szukało 200 tys. uciekinierów. Oznacza to, że jeżeli w chwili upadku Nankinu w mieście tym przebywało 700 tys. ludzi, a japońscy zdobywcy wymordowali 300 tys. osób, to połowa z tych, którzy przeżyli hekatombę, zawdzięczała ocalenie pomocy obcokrajowców.

Członkowie Międzynarodowego Komitetu Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa stanęli wobec sytuacji, której się nie spodziewali. Dotychczas uważali Japończyków za ludzi cywilizowanych, a teraz zobaczyli przedstawicieli rozmiłowanego w ikebanie i haiku narodu przemienionych w dzikie bestie oddające się z rozkoszą najniższym instynktom. Jako że władze miejskie dawno już uciekły, działacze ze strefy bezpieczeństwa niespodziewanie stali się jedynym organem administracyjnym Nankinu. Mimo to dali radę i ruszyli, by nieść pomoc potrzebującym.

A rzecz nie była łatwa. Jak już wspomnieliśmy, Japończycy odmówili oficjalnego uznania Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa. Choć została ona zdemilitaryzowana, to zdobywcy raz za razem wkraczali w jej granice, uzasadniając to koniecznością pochwycenia ukrywających się chińskich żołnierzy. Próżno misjonarze, lekarze i nauczyciele starali się im przeszkodzić. Co jakiś czas odbywały się łapanki, a ci, którzy wpadli w japońskie ręce, żywi już nie wracali. Nie pomogła nawet stanowcza interwencja Johna Rabe.

Japończycy zapuszczali się na teren Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa także po to, by polować na kobiety. Szczególnie upodobali sobie Ginling College, gdzie w akademikach i salach wykładowych schronienie znalazło 10 tys. Chinek. Na straży ich bezpieczeństwa oprócz chińskiego personelu uczelni stała przede wszystkim nieugięta Minnie Vautrin, której postawa przyniosła jej przydomek Bogini Miłosierdzia. Amerykańska nauczycielka od rana do późnej nocy patrolowała kampus, raz za razem wzywana przez woźnego w kolejne miejsca, by przepędzać z nich zakradających się do college'u żołdaków. Wykazywała przy tym niezwykłą odwagę, gdyż jedynym, co mogła przeciwstawić potencjalnym gwałcicielom, była jej postawa moralna. Szczęśliwie zazwyczaj samo pojawienie się nauczycielki wystarczyło, by przepłoszyć napastnika.

eprasa.pl a7c1105b6a

Ale zdarzało się też, że grożono jej bronią. Ochrona powierzonych Minnie kobiet wymagała też pomysłowości. Pewnego dnia przed kampus zajechały ciężarówki. Japończycy planowali porwać kobiety i wywieźć je do swoich wojskowych burdeli. Na drodze pojazdom stanęła samotna postać nieulękłej misjonarki trzymającej w dłoniach amerykańską flagę. Niestety, wrogowie całkowicie ją zlekceważyli. Kilku żołdaków dopadło bramy kampusu i otworzyło ją na oścież, a kierowcy ruszyli naprzód. W tym momencie panna Vautrin, wykazując się niezwykłą przytomnością umysłu, rzuciła pod koła najeżdżających pojazdów sztandar swojej ojczyzny. Ciężarówki natychmiast się zatrzymały – Japończycy bali się znieważyć flagę zachodniego mocarstwa, przejeżdżając po niej.

Innym razem japoński oficer nakazał wszystkim członkom personelu uczelni stanąć przed jej głównym budynkiem. W tym czasie jego ludzie wdarli się na kampusu, by urządzić sobie orgię, gwałcąc ukrywające się tam kobiety. Zrozpaczona Minnie padła przed dowódcą zwyrodnialców na kolana, błagając go o opamiętanie. W odpowiedzi dostała cios w twarz.

Na terenie Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa znajdował się największy i najnowocześniejszy szpital na terenie stolicy Republiki Chińskiej, ale większość jego personelu porzuciła swoje stanowiska i uciekła z miasta. W tej sytuacji dwóch zachodnich lekarzy, wchodzących w skład Komitetu, zameldowało się w lecznicy i zajęło się opieką nad trafiającymi tam ofiarami japońskiego okrucieństwa. Robert Wilson, jedyny przebywający wówczas w Nankinie chirurg, przeprowadzał operację za operacją, nierzadko nie śpiąc po trzy doby z rzędu.



Pomnik ofiar masakry, Nankin
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

John Rabe również dawał z siebie wszystko, co mógł, byle tylko uratować jak najwięcej ludzi. W samochodzie ozdobionym chorągiewką ze swastyką krążył po płonącym mieście i dosłownie wyrywał katowanych Chińczyków z rąk ich oprawców. Za każdym razem, gdy widział sceny kaźni lub gwałtu, natychmiast wypadał z auta, podbiegał do Japończyków i urządzał im awanturę, podtykając pod nos noszoną na ramieniu opaskę z insygniami NSDAP. Żołnierze, nie mogąc zastrzelić obywatela zaprzyjaźnionego mocarstwa, w dodatku członka partii rządzącej, musieli ustępować mu pola.

Rabe udostępnił uchodźcom swoją willę, w której ogrodzie schronienie znalazło 600 uciekinierów. Całe rodziny mieszkały tam w szałasach skleconych ze słomy ryżowej. Były wśród nich kobiety z dziećmi, a gdy na świat przychodził kolejny noworodek, „dobry nazista" wypłacał im z własnej kieszeni specjalną zapomogę. Nawet noc nie przynosiła Johnowi Rabe wytchnienia. Często zamiast spać, musiał patrolować posesję, odstraszając japońskich żołdaków szukających kobiet do zgwałcenia.

Niewdzięczny Mao

Nie sposób opisać na tych czterech stronach dokonania wszystkich zagranicznych działaczy humanitarnych z Nankinu. Sprawiedliwi z Nankinu działali, narażając swe życie i spotykając się z ciągłymi szykanami ze strony Japończyków. Jeden z misjonarzy został pobity, pozostałym członkom komitetu grożono. Japońska propaganda głosiła, że obcokrajowcy, którzy pozostali w mieście, działali nie z dobroci serca, lecz by realizować ciemne interesy zachodnich mocarstw. Nawet John Rabe usłyszał, że jeśli nie zaprzestanie działalności, to on i inni Niemcy z Nankinu zostaną aresztowani (choć ujęto to w łagodniejszych słowach).

1 stycznia okupanci utworzyli kolaboracyjne władze miejskie. Od tej pory naciskali na członków Międzynarodowego Komitetu Nankińskiej Strefy Bezpieczeństwa, by zakończyli swą inicjatywę. Organizacja jednak działać miała jeszcze (choć w tym czasie zmieniła nazwę) przez sześć miesięcy, aż do lata 1938 r.


Minnie Vautrin FOT. YALE UNIVERSITY LIBRARY

Minnie Vautrin – Amerykanka, która całym sercem pokochała chińską ziemię i była gotowa ryzykować życie, by ratować jej lud – w 1940 r. wróciła do USA. Rok później nękana koszmarami tego, co doświadczyła w Nankinie, popełniła samobójstwo.

Również John Rabe powrócił do ojczyzny, zabierając ze sobą nakręcony ręczną kamerę film dokumentujący zbrodnie Japończyków. W Niemczech wygłaszał wykłady, dzieląc się ze słuchaczami swoimi doświadczeniami i prezentując im nagranie. Próbował dotrzeć do Hitlera, by prosić go o interwencję na rzecz Chin. W efekcie odwiedzili go gestapowcy, zabrali taśmę i kazali się zamknąć, bo inaczej źle skończy. Po tym wydarzeniu Rabe opuścił III Rzeszę i resztę wojny spędził jako przedstawiciel Siemensa w... Afganistanie. W Niemczech pojawił się ponownie dopiero po upadku hitlerowskiego reżimu, ale jako były wysoki rangą członek NSDAP nie mógł znaleźć pracy. Zachorował i popadł w skrajną nędzę. Aby przeżyć, wyprzedawał pamiątki przywiezione z Chin.

Po dojściu do władzy Mao Zedonga nowy chiński rząd nie zrobił nic, by uhonorować bohaterów z Nankinu, a w czasie największego obłędu czerwonego reżimu propaganda oskarżała ich wręcz o współudział w masakrze. Dopiero stopniowa liberalizacja systemu po śmierci Mao pozwoliła historykom z Państwa Środka przywrócić „Sprawiedliwym z Nankinu" należne im miejsce w historii ojczyzny Konfucjusza.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Jeffrey Dahmer w sądzie
FOT. MILWAUKEE JOURNAL SENTINEL ARCHIVES

Sagawa, Dahmer, Czikatiło / Potwory w ludzkiej skórze

Kanibale celebryci



Jakub Ostromęcki

W drugiej połowie XX w. media na całym świecie fascynowały się opowieściami o mordercach kanibalach, którzy wodzili za nos organy ścigania. Te potworne historie stały się inspiracją dla twórców słynnych thrillerów, na czele z cyklem o Hannibalu Lecterze

Issei Sagawa, Jeffrey Dahmer, Andriej Czikatiło. Historia trzech morderców, oprócz bezmiaru ludzkiego upadku, zła i cierpienia, które wyrządzili, ma jeszcze jedną cechę wspólną – tragiczne w skutkach błędy i zaniechania wymiaru sprawiedliwości. Przynajmniej kilka ofiar najbardziej znanych psychopatów mogłoby żyć, gdyby stróże prawa, sądy i biegli działali żwawiej i uważniej. Nieprawdopodobne niedomagania wymiaru sprawiedliwości zdarzały się w każdym państwie i w każdym systemie. Chore okazało się również społeczeństwo, które pozwoliło jednemu ze zwyrodnialców cieszyć się statusem celebryty.

O tym, że Issei Sagawa (ur. 1949) będzie miał w życiu ciężko, wiadomo było od podstawówki. Zachowywał się dobrze, ale był odludkiem – nie miał kolegów. W relacjach z rówieśnikami nie pomagał mu wygląd. Mówiąc wprost: Sagawa był brzydki, nieforemny, cherlawy i utykał na jedną nogę. Uciekał więc w naukę, a w tym był naprawdę dobry. Interesowała go Europa, szybko nauczył się angielskiego, francuskiego oraz niemieckiego i zaczął studia na wydziale literatury angielskiej na Uniwersytecie Wako w Tokio. W okresie dojrzewania jego obsesją stała się wysoka, dobrze zbudowana biała kobieta, którą Sagawa będzie mógł pieścić, udusić i zjeść. Obsesja ta nie opuściła go do końca życia.

O swoich chorych fantazjach opowiedział bratu. Ten zbagatelizował sprawę, twierdząc, że Issei daje w ten sposób upust swojemu czarnemu humorowi. W 1970 r. mroczne marzenia miały się jednak stać rzeczywistością. Sagawa zakradł się do lokum pewnej mieszkającej w Japonii Niemki. Na szczęście narobił przy tym rumoru. Niedoszła ofiara zaczęła krzyczeć, więc Sagawa zbiegł i trafił prosto na psychiatryczną kozetkę, gdzie otworzył się całkowicie. Specjalista – jeśli wierzyć późniejszym zeznaniom Sagawy – zamiast wdrożyć terapię, miał zrugać go srodze i tak skończyła się na pewien czas przygoda Sagawy z lekarzami. Młody Japończyk obronił wkrótce magisterium z twórczości Szekspira i w 1977 r. wyjechał na studia doktoranckie do Paryża. Jego obsesje zaczęły

eprasa.pl a7c1105b6a



Issei Sagawa. Kadr z filmu „Caniba"

tam wypuszczać trujące pędy. Niemający powodzenia u kobiet Sagawa zapraszał do siebie prostytutki. Od zabijania powstrzymywał go jednak strach. Do momentu, aż poznał Renée Hartevelt...

Strzał ostrzegawczy

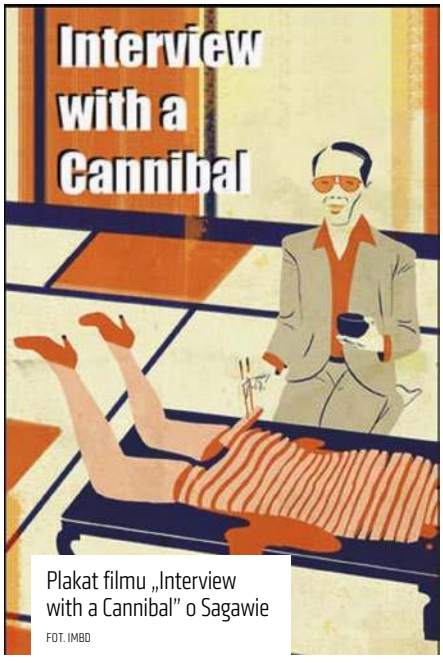
Holenderka studiowała z nim w tej samej grupie. Obudziła się w niej atawistyczna, kobieca potrzeba opieki nad słabszymi i odrzuconymi, pomieszana z intelektualną ciekawością kulturalnym bądź co bądź przybyszem z egzotycznej Japonii. Próżno jednak szukać było z jej strony pożądania. Japończyk i Hartevelt zaczęli się spotykać. Studentka potrzebowała pieniędzy, udzielała więc Sagawie lekcji niemieckiego, a on słuchał jej oczarowany, trzymając zrazu swoje ohydne żądze na uwięzi.

Japończyk zdobył broń. Pewnego wieczoru wymierzył ją w tył głowy Renée, gdy ta czytała mu wiersz, ale broń się zacięła i Sagawa schował ją szybko do szuflady. Niepomny tego ostrzeżenia od losu na następnym spotkaniu zrobił to samo. Tym razem skutecznie. Szok minął szybko i Sagawa zaczął spełniać swoje obsesje. Rozebrał ciało, odkroił kawałek pośladka, zjadł na surowo, po czym zaczął kopulować ze zwłokami. Nasyciwszy się, zaniósł ciało do łazienki, gdzie je poćwiartował i oprawił. Do zamrażarki schował „na potem" większe kawałki, a następnie w dobrym humorze poszedł z grupą studentów do kina.

Fragmenty ciała Renée leżały w mieszkaniu Sagawy przez kilka dni, aż zaczęły potwornie śmierdzieć. Japończyk kupił wtedy kilka walizek, zapakował do nich to, co pozostało z Renée, zamówił taksówkę i pojechał do Lasku Bulońskiego, by wyrzucić „bagaż" do stawu. Tam spłoszyła go jednak para spacerowiczów, odkrywając straszną zawartość walizek. W Paryżu nie było wówczas zbyt wielu kulawych Japończyków, więc znalezienie Sagawy nie nastręczało wielu trudności.

Morderca kanibal nie trafił jednak do aresztu, lecz do kliniki psychiatrycznej. Jean-Louis Bruguière, sędzia śledczy prowadzący sprawę, znany z procesów przeciwko terrorystom, poleciał do Japonii, by dowiedzieć się czegoś o przeszłości kanibala. Wizyta nie okazała się owocna. Sagawa przesiedział w klinice dwa lata, po czym sędzia, na podstawie opinii trzech biegłych lekarzy, stwierdził, że Sagawa jest chory psychicznie, a w momencie popełnienia zbrodni był niepoczytalny, „działając w stanie demencji". W tym momencie do akcji wkroczył ojciec kanibala, Akira, człowiek bardzo bogaty, którego stać było na dobrych prawników. Ci przekonali francuski sąd, że byłoby lepiej, gdyby kanibal resztę życia przesiedział w japońskim szpitalu. Francja chciała się jak najszybciej pozbyć mordercy, zwłaszcza że już wtedy media zaczęły się nim niezdrowo fascynować – jeden z japońskich pisarzy spotkał się z Sagawą w paryskiej klinice i na podstawie rozmów z nim opublikował książkę.

W 1985 r. zwyrodnialec został przetransportowany do Japonii i natychmiast trafił do psychiatryka. Tamtejsi lekarze orzekli jednogłośnie: ten człowiek nie jest chory, tylko zły, i powinien iść do więzienia! Japońska prokuratura wystąpiła więc do Francuzów o akta sprawy. Ci jednak nie zamierzali ich przekazać – być może nie chcieli wyjść na idiotów, którzy pozwolili potworowi uniknąć więzienia, ale powodem mógł być też brak odpowiedniej umowy między Francją a Japonią. Być może też prawnicy, których opłacił Akira, przewidzieli, że próba wsadzenia jego syna do japońskiego więzienia skończy się klapą, i dlatego właśnie naciskali Paryż na wydanie mordercy.



Plakat filmu „Interview with a Cannibal" o Sagawie

FOT. IMBD

Sagawa był więc zdrowy, ale z braku dokumentów nie można go było oskarżyć. Wyszedł więc na wolność w 1986 r., ku oburzeniu jednych i niezdrowemu podnieceniu innych. W Japonii szybko stał się celebrytą, udzielając wywiadów do pisemek pornograficznych i malując przerażające obrazy, w których dały znać jego kanibalistyczne i nekrofilskie upodobania. Do jego przytulnego mieszkanka zaglądali reporterzy tabloidów, ale nie tylko japońskie brukowce fascynowały się degeneratem. W grudniu 1983 r. francuski tabloid „Photo" wydrukował zdjęcia z miejsca zbrodni przedstawiające poćwiartowane ciało Renée Hartevelt. W styczniu następnego roku aresztowano w związku z tym jego redaktora naczelnego, a 200 tys. egzemplarzy pisma skonfiskowano. Sagawa umarł z przyczyn naturalnych w 2022 r., do końca ciesząc się wolnością.

Dziura Dahmera

Najsłynniejszym amerykańskim zwyrodnialcem, który dzięki głupocie policjantów i pobłażliwości sądów mógł mordować dalej, był Jeffrey Dahmer. W okresie dojrzewania Jeff odkrył, że jest homoseksualistą. Rozwód rodziców i związane z tym wzajemne przerzucanie dziecka jak gorącego kartofla wprowadziło jeszcze więcej zamętu do jego głowy. Zaczął pić. Pierwszego człowieka, autostopowicza (również homoseksualistę), zamordował w 1978 r.

Pijany Dahmer, wioząc poćwiartowane i rozkładające się już zwłoki, został

eprasa.pl a7c1105b6a



Jeffrey Dahmer po aresztowaniu
FOT. MILWAUKEE POLICE/WIKIPEDIA

zatrzymany przez patrol policji. W Ohio nie badano wówczas kierowców alkomatem, policji wystarczyło więc, że kierowca panuje nad pojazdem. Policjant zapytał, co tak śmierdzi, ale Dahmer zbył go, mówiąc, że to śmieci. W USA nie grzebie się obywatelom w bagażniku bez powodu, zwłaszcza jeśli są to spokojni ludzie pełni ogłady. Puszczono go więc wolno, pouczając tylko, aby więcej tyle nie pił.

Dahmer zaciągnął się do wojska, ale szybko wyleciał z armii za pijaństwo. Trafił więc do fabryki czekolady. W 1986 r. onanizował się na oczach dwóch nieletnich, jednak znów mu się upiekło – skończyło się tylko na nadzorze sądowym. Dwa lata później odurzył narkotykami nieletniego Laotańczyka i zgwałcił go. Chłopak powiedział o wszystkim rodzicom, a ci poszli na policję. O dziwo jednak, świetnie udający skruszonego Dahmer dostał tylko pięć lat więzienia, i to w systemie półotwartym. Za dobre sprawowanie wyszedł warunkowo po niecałym roku.

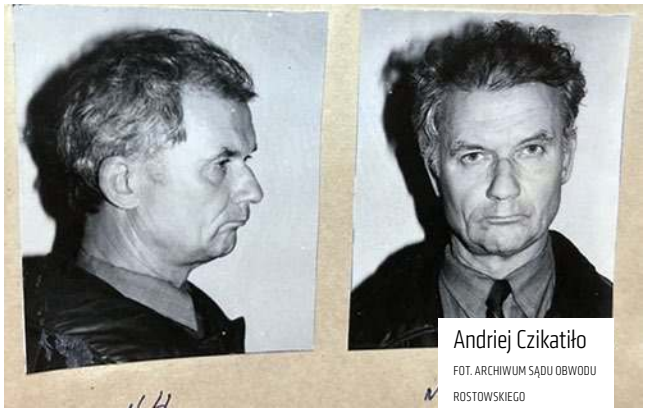
Wkrótce potem rozpoczął prawdziwą orgię mordów, kanibalizmu i gwałtów. Gustował głównie w samotnych, kolorowych i nieletnich homoseksualistach kręcących się wieczorami koło barów. Odurzonych narkotykami chłopców mordował, kopulował z ich zwłokami i patroszył. Mięso mroził, aby je potem jeść. Czaszki wygotowywał, a zrobiło się ich na tyle dużo, że Dahmer zaczął projektować z nich „ołtarz dla szatana". Genitalia utrwalał natomiast w formalinie. Wkrótce wpadł na jeszcze bardziej chory pomysł. Stwierdził, że jeżeli wywierci nieprzytomnej ofierze otwór w czaszce i wleje w niego nieco kwasu solnego, to ofiara zmieni się w uległego kochanka gotowego służyć ciałem na każde jego zawołanie. „Eksperymenty" – jak można się było spodziewać – doprowadzały do śmierci ofiar.

Dahmer niemal wpadł w ręce policji, gdy torturował w ten sposób kolejnego 14-letniego Azjatę, nawiasem mówiąc – brata zgwałconego przed laty chłopca. Ofiara z już wywierconym w czaszce otworem zdołała jednak uciec z przeklętego domu, gdy oprawca wyszedł na chwilę w poszukiwaniu kwasu. Krwawiący i otumaniony z bólu chłopak spotkał dwie dziewczyny, które natychmiast zadzwoniły z najbliższej budki po policję.

Policjanci zjawili się niemal w tym samym momencie co szukający swojej ofiary Dahmer. Wygadany zwyrodnialec przekonał jednak stróżów prawa, że Azjata jest pełnoletni i że obaj są kochankami, ale doszło między nimi do drobnej miłosnej sprzeczki zdarzającej się przecież w każdej parze (mówimy cały czas o sytuacji, gdy z głowy Azjaty ciekła krew z przewierconego otworu). Policjanci odjechali, nie sprawdzając tożsamości żadnej z osób, a Dahmer, obejmując chłopaka, odszedł z nim, aby dokończyć kaźń. Zaniepokojona matka jednej z dziewczyn wydzwaniała potem na policję, gdzie powiedziano jej, że Azjata był na pewno osobą pełnoletnią. Z zachowanych nagrań radiowych z tej interwencji wynika, że policjanci kpili z całej sytuacji, mając ją za kolejny operetkowy „spór między pedziami".

Dahmer mordował dalej, czasem łowiąc ofiary na paradach homoseksualnych w nieodległym Chicago. W lipcu 1991 r. popełnił w końcu fatalny błąd. Stwierdził bowiem, że zapoluje na dorosłego, czarnego, wysportowanego homoseksualistę. Ten przyjął ofertę, skosztował narkotyków, dał się rozebrać i założyć na jedną rękę kajdanki, ale w pewnym momencie wyczuł zamiary Dahmera, wymierzył mu solidny cios i uciekł. Nagi i przerażony natrafił w końcu na policjantów, którzy okazali się bardziej rozgarnięci niż poprzednio. Ruszyli do domu Dahmera. Ten jak zwykle przybrał swój grzeczny ton, plotąc coś o depresji i alkoholu, ale policjanci rozejrzeli się po mieszkaniu, odkrywając ohydne trofea poukrywane w szafach i w lodówce. Dahmer próbował walczyć, został jednak szybko obezwładniony.

Sąd – mimo wysiłków adwokata i części biegłych – uznał kanibala za poczytalnego w momencie popełnienia zbrodni, wymierzając mu dożywocie bez prawa do warunkowego zwolnienia. Dahmer nie doczekał końca kary. Na samym początku odsiadki został zabity przez innego więźnia, mordercę cierpiącego na schizofrenię. Dwaj policjanci, którzy nie raczyli sprawdzić przeszłości Dahmera podczas incydentu z Azjatą, zostali wyrzuceni ze służby, a miasto Milwaukee zapłaciło rodzicom chłopaka odszkodowanie. Policjanci odwołali się jednak od wyroku i wygrali – ich adwokat przekonał sąd, że choć popełnili błąd, to zastosowana kara była niewspółmierna do winy. Do służby zostali więc przywróceni, a jeden z nich, o swojskim nazwisku Balcerzak, został nawet prezesem tamtejszego związku zawodowego policjantów.


Andriej Czikatiło
FOT. ARCHIWUM SĄDU OBWODU ROSTOWSKIEGO

Wampir Andriej

System sowiecki, jeden z bardziej represyjnych na świecie, najeżony tajnymi informatorami, pełny skrajnie podejrzliwych funkcjonariuszy, przez kilkanaście lat nie był w stanie dopaść patologicznego mordercy, kanibala, nekrofila, który w czasie mordowania ofiar zostawiał na ich ciałach sporo materiału

eprasa.pl a7c1105b6a



Eksperyment śledczy, rekonstrukcja jednej ze zbrodni Czikatiły

FOT. MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH OBWODU ROSTOWSKIEGO

genetycznego, a zabijając w zagajnikach w pobliżu domostw, niespecjalnie dbał o środki ostrożności. Milicja miała go kilka razy w ręku, jednak nie potrafiła go skojarzyć z brutalnymi mordami. Mowa oczywiście o wampirze z Rostowa – Andrieju Czikatile.

Przyszły morderca urodził się na Ukrainie w 1936 r. Jako dziecko miał wodogłowie, czym często tłumaczy się jego późniejsze poczynania. W wieku dojrzewania okazało się, że jest impotentem. W kształtowaniu charakteru młodego Andrieja nie pomagała wojna, w której ojciec dostał się do niewoli, a matka, na której barki spadła opieka nad rodzeństwem, była oschła i prymitywna. Czikatiło, choć impotent, zdołał jakoś spłodzić dwoje dzieci. Żona nie miała co narzekać. Nie pił, nie palił i nie bił – co było marzeniem każdej normalnej sowieckiej kobiety.

Pierwsze kłopoty pojawiły się w latach 70., gdy Czikatiło, człowiek intelektualnie dość lotny i miły w obejściu, został nauczycielem w zawodówce pod Rostowem. W 1978 r. zaczął składać uczennicom nieprzyzwoite propozycje, potem ktoś przyłapał go na podglądaniu młodzieży w szatni. Przez kilka lat przenoszono go więc do kolejnych placówek, aż stwierdzono, że szkoła nie jest dla niego. Czikatiło z nauczyciela przekwalifikował się na zaopatrzeniowca w przedsiębiorstwie budowlanym. Zamieszkał z rodziną w leżących nieopodal Rostowa Szachtach. Tam, na skraju miasta, kupił rozpadającą się szopę.

Jelena Zakotnowa miała tylko dziewięć lat. 22 grudnia 1978 r. Czikatiło zaciągnął ją do rudery, powalił na ziemię i zaczął dusić. Jak potem zeznawał: „Leżąc na niej i naśladując ruchy frykcyjne, dobyłem noża i zacząłem zadawać jeden cios po drugim. Odczułem przy tym rozkosz jak przy normalnym akcie płciowym". Najgorsze jest to, że Czikatiłę ujęto zaraz po tym mordzie – ktoś widział, jak rozmawia ze swoją ofiarą. Żona dała mu jednak alibi i Andrieja (członka partii), nie pytając o nic więcej, zwolniono. Nikt z milicji nie pokwapił się, by zapytać o zdanie jego poprzedniego pracodawcę.

Zamiast Czikatiły do więzienia trafił niejaki Aleksander Krawczenko, złodziej, który siedział też kiedyś za morderstwo. Jemu żona też początkowo zapewniła alibi, ale milicja pragnąc odfajkować sprawę jak najszybciej, przycisnęła małżeństwo. Żonie grożono oskarżeniem o współudział, a Krawczenkę pobił inny więzień, zmuszając do przyznania się do zamordowania dziewczynki. Skazano go na śmierć, a tymczasem Czikatiło zabijał dalej.

Był coraz bardziej sadystyczny. Przedłużał agonię ofiar – chłopców, dziewczynek, prostytutek – pchając nożem płycej niż podczas pierwszych morderstw. Odgryzał sutki, wycinał genitalia i języki, które gotował potem na ogniu i zjadał. W związku z tym w 1983 r. w Rostowie zatrzymano kilku upośledzonych umysłowo homoseksualistów. Bici przyznali się do wszystkiego, łącznie z mordami popełnionymi w czasie, gdy siedzieli już w areszcie. Okazało się wtedy, że milicjanci inteligencją niewiele przewyższają swoich aresztantów. W 1985 r. podejrzanych zwolniono. A przynajmniej tych, którzy przeżyli śledztwo.

Grzybiarz w garniturze

14 września 1984 r. Czikatile upiekło się po raz drugi. Tego dnia zagadywał kolejne dziewczyny i chłopców w pobliżu dworca w Rostowie. Przespał się chwilę w poczekalni, potem nieopodal dworca dogadzała mu prostytutka, a następnie poszedł na rynek, by dalej szukać ofiar. Cały czas był śledzony przez milicjantów, którzy widząc jego natarczywość, zatrzymali go. Sprawdzili teczkę, w której były brudny ręcznik, sznur, nóż i wazelina. Dziwne przedmioty? Używa ich przecież do pakowania, w końcu jest zaopatrzeniowcem. Wsadzono go do aresztu i zbadano krew. Porównano ją z nasieniem znalezionym w ciele jednego z zamordowanych w okolicy chłopców – badanie dało różne wskazania, co tłumaczono potem mętnie jako „fenomen" lub „paradoks wydzieliny". Dopiero po wielu latach okazało się to bzdurą mającą ukryć niedbalstwo i bałaganiarstwo biegłych i laborantów, co przyznał w 2002 r. Issa Kostojew, w czasie zbrodniczej działalności Czikatiły zastępca naczelnika wydziału śledczego prokuratury RFSRS. Przestraszony Czikatiło przycichł na ponad dwa lata, po czym wznowił swój ohydny proceder. W połowie dekady miał już na koncie kilkadziesiąt ofiar.

Przez kilka lat okolice Rostowa patrolowało setki funkcjonariuszy w cywilu, pragnąc złapać mordercę. Pomagali im mundurowi różnych formacji, m.in. sowieckiego odpowiednika ORMO. Jednym z nich był… Czikatiło. Dopiero po kilu latach śledztwa milicja wpadła na pomysł, aby poprosić specjalistę o stworzenie portretu psychologicznego sprawcy.

Ta decyzja doprowadziła do przełomu w śledztwie. 6 listopada 1990 r. odkryto w Szachtach kolejną ofiarę, tym razem upośledzonego chłopaka. Jak zwykle, było to w pobliżu samotnego domostwa. Po 12 latach ponownie sięgnięto po akta Czikatiły, porównano je z portretem psychologicznym i powiązano wszystkie fakty z jego życia, licząc od oku 1978 r. Zaczęto też pytać świadków. Ci stwierdzili, że widzieli Czikatiłę myjącego przy pompie miejskiej ręce z krwi. Okazało się też, że jeden z milicjantów spisał go wcześniej niedaleko miejsca mordu, gdy kręcił się po okolicy w garniturze, twierdząc, że jest grzybiarzem. Czikatiło został aresztowany 20 listopada 1990 r. W śledztwie przyznał się do wszystkiego, choć liczył na to, że skończy w „psychuszce". Sąd uznał go jednak za poczytalnego i 15 lutego 1994 r. wykonano na nim wyrok śmierci.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Wujek Sam do Canucka: „Bierzesz skórę, a ja mięso lub ja biorę mięso, a ty skórę". Karykatura z początku XX w. dotycząca kanadyjskich surowców FOT. MEMASTER UNIVERSITY

Wieki XVIII–XXI / Spór przez miedzę

Jak Canuck z Jankesem



Piotr Semka

Wydawałoby się, że Kanadyjczycy i Amerykanie powinni żyć obok siebie jak świetnie dogadujący się kuzyni. Nic bardziej mylnego – w tej „rodzinie" od początku nie brakowało powodów do dzikich awantur

Jeśli los rzuci nas na tereny pogranicza Stanów Zjednoczonych i Kanady, to powinniśmy zachować dużą ostrożność, gdy w rozmowach pojawi się słowo „Canuck". Po stronie amerykańskiej jest to slangowe określenie Kanadyjczyka. Dawno temu, na przełomie wieków XVIII i XIX, Amerykanie nazywali tak imigrantów przybywających do Kanady z Holandii i Niemiec. Potem zaczęto tak określać wszystkich Kanadyjczyków.

Jak to często bywa, na zasadzie przekory Kanadyjczycy wykreowali w latach 60. XIX w., w kawałach rysunkowych, popularną postać, która nosiła miano Johnny Canuck. Ten bohater niezliczonych rysunków politycznych miał być symbolem odważnego Kanadyjczyka, który nie boi się amerykańskiej potęgi.

W znanym także w Polsce wojennym filmie „Diabelska brygada", o wspólnej amerykańsko-kanadyjskiej jednostce komandosów do zadań specjalnych, słowo to pojawia się w znaczeniu pejoratywnym. Gdy jeden z amerykańskich żołnierzy używa wobec wojaka z Kanady określenia „Canuck" (po polsku można byłoby to przetłumaczyć jako „Kanadyjec"), wybucha dzika awantura. Ale jednocześnie sami Kanadyjczycy, szczególnie gdy pokrzepią się swoją fantastyczną whiskey, lubią tak mówić o sobie samych.

Animozje

Obecnie, gdy stosunki amerykańsko-kanadyjskie po dojściu do władzy Donalda Trumpa znów stały się lodowate, lepiej w ogóle omijać to określenie z daleka. Kanadyjczycy i Amerykanie znów spoglądają na siebie z podejrzliwością.

Donald Trump z wdziękiem nosorożca poruszył kwestię permisywnego stosunku kanadyjskiej straży granicznej do migracji obywateli krajów Trzeciego Świata na terytorium USA. W Kanadzie działać mają też wielkie wytwórnie zabójczego narkotyku – fentanylu. W opinii administracji Trumpa Kanada robi niewiele, aby je zlikwidować i zablokować przerzut narkotyku na teren USA. W związku z tym Trump zagroził znaczącą podwyżką ceł na import z Kanady. Z kolei w odpowiedzi na ten krok część kanadyjskich polityków wezwała do bojkotu amerykańskich towarów konsumpcyjnych, na czele z alkoholami.

Sytuacja robi się coraz bardziej napięta. Krewcy Kanadyjczycy wygwizdują amerykański hymn w czasie meczów to-

eprasa.pl a7c1105b6a

warzyskich drużyn z obu krajów. A dość brutalne żarty Trumpa, że problemy z cłami same by się rozwiązały, gdyby Kanada została kolejnym stanem USA, nikogo na Północy nie rozbawiły. Symbolem gniewnych reakcji na takie deklaracje stały się czapki z dumnym napisem: „Canada is not for sale", czyli „Kanada nie jest na sprzedaż".

Dla polskiego obserwatora ten wybuch animozji po obu stronach granicy może być nieco zaskakującym spektaklem. Ale blisko 250 lat współżycia Jankesów i „Kanadyjców" to ciągłe fluktuacje między animozjami a świadomością, że współpraca obu państw przynosi znaczne korzyści.

Dzieci tego samego króla

Począwszy od lat 70. XVIII w., w amerykańskich koloniach Korony biali mieszkańcy zaczynają protestować przeciwko traktowaniu ich w zupełnie inny sposób od tego, jak Korona podchodzi do mieszkańców Wysp Brytyjskich. Na tle bardzo szybko rozwijających się 13 kolonii (przyszłych stanów USA) tereny, które należą dziś do Kanady, były znacznie uboższe. Gdy w 1775 r. wybuchła amerykańska wojna o niepodległość, ojcowie założyciele USA dość naiwnie wierzyli, że naturalnym sojusznikiem Jankesów będą francuscy Kanadyjczycy z Quebecu i bretońscy koloniści z Nowej Szkocji. Nadzieje na otwarcie drugiego frontu na północy były tak duże, że ojcowie założyciele zagwarantowali francuskim wspólnotom dołączenie do USA na tych samych zasadach, co terytoriom na południu.

Kiedy jednak w 1776 r. wojska Waszyngtona wkroczyły do Quebecu, pojawiło się rozczarowanie. Owszem, kilka tysięcy ochotników przyłączyło się do wojsk rewolucyjnych, ale jednak większość ludności pochodzenia francuskiego pozostała neutralna – a niektórzy wręcz wsparli Brytyjczyków. Była to także zasługa szybkiej reakcji Londynu, który pospieszył z zapewnieniami o uznaniu części praw francuskiej ludności. Dokument ten nazwano „Quebec Act" i był on przykładem – jednym z niewielu – tego, że władze w Londynie potrafiły wyciągać



Amédée Forestier „Podpisanie traktatu gandawskiego"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SMITHSONIAN ART MUSEUM

wnioski z rewolucyjnego wrzenia.

Nadzieja, że francuskojęzyczni mieszkańcy Kanady wesprą wojska Waszyngtona, na nowo pojawiła się, gdy w 1777 r. Francja króla Ludwika XVI przystąpiła do wojny po stronie amerykańskich niepodległościowców. Ale nawet wtedy francuscy Kanadyjczycy pozostali w ogromnej większości bierni. Traktat paryski z 1783 r., który położył kres wojnie, stanowił, że wszyscy mieszkańcy nowych kolonii amerykańskich, którzy uważali się za lojalnych poddanych króla Jerzego III, będą mogli opuścić USA wraz z dobytkiem ruchomym i udać się do Kanady. Na taki krok zdecydowało się ok. 70 tys. amerykańskich rojalistów. Część z nich udała się do Nowej Szkocji, gdzie aby przetrwać, trzeba było się „przebranżowić" na rybaków, budowniczych kutrów czy zwykłych rolników.

Korona była bardzo lojalna wobec swoich najwierniejszych synów. Już w czasie wojny wysyłano na północ pod strażą rodziny walczących rojalistów. Ocenia się, że kraj opuściło wtedy 100 tys. ludzi. Bardzo ciekawy był też przykład 15 tys. wolnych czarnoskórych Amerykanów, którzy wykazali wierność wobec Korony i udali się na wygnanie na kanadyjską prowincję. Skarb królewski uczciwie wypłacał im odszkodowania za stracone majątki i przyznawał środki na budowanie nowego życia.

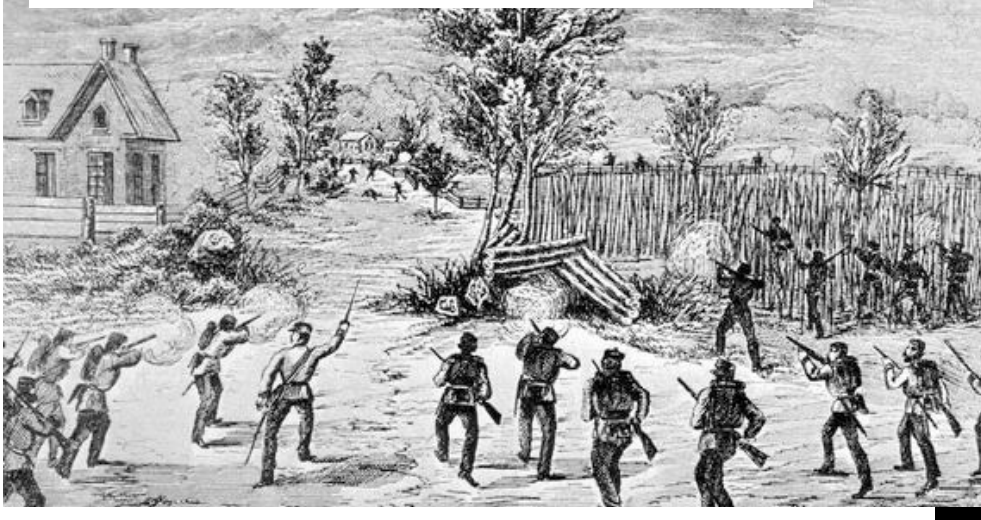
Ta geneza relacji między dwoma olbrzymimi państwami Ameryki Północnej tłumaczy też, dlaczego w kanadyjskiej tradycji zawsze przewija się lęk przed inwazją z południa (USA i Kanadę łączy najdłuższa na świecie granica lądowa, która liczy dokładnie 8891 km).

W cieniu starszego brata

W latach 1814–1815 miała miejsce kolejna wojna amerykańsko-brytyjska, która dzisiaj z perspektywy czasu robi dziwaczne wrażenie. Imperium brytyjskie, walczące wówczas na śmierć i życie z cesarzem Napoleonem III, uznało za stosowne powrócić do – zdawało się – zakończonej wojny z północnoamerykańskimi kolonistami. Konflikt potrwał dwa lata i został zakończony w 1815 r. podpisaniem traktatu w Gandawie. Wtedy to ustalona została z grubsza granica, co nie znaczy oczywiście, że w późniejszych latach nie było konfliktów.

Obie strony powoli przyglądały się swoim systemom politycznym. Kanadyjczycy chwalili solidność instytucji monarchii i pokpiwali sobie z nieco szalonego amerykańskiego systemu politycznego, w którym co kilka lat

Rajd Bractwa Fenian na terytorium kanadyjskim w 1870 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CANADIAN MILITARY HERITAGE



eprasa.pl a7c1105b6a

dochodziło do gorących kampanii wyborczych. Statecznych Kanadyjczyków raziły one swoją hałaśliwością, a niekiedy i brutalnością. Z kolei w Amerykanach spod znaku gwiaździstego sztandaru niezachwiana wierność wobec władcy zza oceanu budziła ironiczne uwagi o genie niewolnictwa, który miał odróżniać Kanadyjczyków od Jankesów.

Ciekawie wyglądał wpływ tego wielkiego podziału na życie religijne. W Kanadzie przetrwała dominacja Kościoła anglikańskiego, którą uratowała silna i władcza postać biskupa anglikańskiego Johna Strachana. Hierarcha lansował tezę, że nie można być lojalnym Kanadyjczykiem, jeśli się nie jest członkiem Kościoła anglikańskiego.

Tacy ludzie jak Strachan z ogromną podejrzliwością patrzyli na niezwykle demokratyczne w swoich strukturach Kościoły metodystów czy baptystów, które uważano za potencjalną piątą kolumnę zaborczego sąsiada z południa. Dlatego Kanadą rządzono twardą ręką. Bunty na rzecz demokratyzacji życia publicznego wszczęte w Ontario i Quebecu w 1837 r. zostały brutalnie zmiażdżone przez gubernatora królowej. Fakt, że wielu przywódców tych ruchawek uciekło do USA i znalazło tam azyl polityczny, stał się dla prawowiernych Kanadyjczyków dodatkowym dowodem, iż była to „impreza" sterowana z Waszyngtonu.

Jak to często bywa, obawy te były jednak formułowane na wyrost. Ameryka nie myślała o żadnej inwazji na Północ. Nastawiona była raczej na zagospodarowanie swoich własnych ogromnych zachodnich terenów aż do Pacyfiku. Nie znaczy to jednak, że Kanada nie potrafiła irytować USA. Potrafiła, i to na wiele sposobów.

Denerwujący sąsiedzi

Przed zniesieniem niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych Kanada była naturalnym kierunkiem ucieczek zbiegłych Murzynów. Abolicjoniści wybudowali podziemne tunele pod granicą amerykańsko-kanadyjską i czarnoskórzy zbiegowie z głębokiego Południa mogli przedostać się nimi do krainy wolności.



John Strachan FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Kanada irytowała też Amerykanów swoim stosunkiem do wojny secesyjnej. Formalnie imperium brytyjskie było neutralne, ale z portów kanadyjskich wyruszały szmuglerskie statki z bronią dla konfederatów. Dla kontrastu Kanadyjczycy dosyć często zgłaszali się do armii Unii, natomiast rzadkością było zaciąganie się do armii Konfederacji. Dyplomacja w Londynie wspierała, jak mogła, południowców, co było dla części polityków w Waszyngtonie dowodem na to, że „perfidny Albion" nie traci nadziei na rozbicie, a potem odzyskanie USA. Była to oczywista przesada, ponieważ premierzy brytyjscy mieli po prostu imperialne interesy ekonomiczne, które kazały im wspierać rolnicze Południe przeciw uprzemysłowionej Północy.

A już zupełnym graniem na nosie Amerykanom była praktyka przyjmowania przez Kanadę tych Amerykanów, którzy po otrzymaniu kart powołania do armii Północy uciekali za granicę. Zapoczątkuje to jednocześnie „tradycję" wybierania kanadyjskiej ziemi przez wszystkich tych, którym nie uśmiechała się groźba utraty życia pod flagą Ameryki.

Ambicją Londynu było wyposażenie marynarki konfederatów w brytyjskie okręty. Amerykanie uważali, że takie hojne obdarzanie konfederatów bronią i okrętami daje im prawo, by po zmiażdżeniu rebelii południowców żądać odszkodowań. Sprawa ta podzieli znowu na blisko dekadę Londyn i Waszyngton. Senator Charles Sumner – szef senackiej Komisji Spraw Zagranicznych – wyliczył, że Londyn powinien przekazać Ameryce 2 mln dol. w ramach reparacji wojennych. W końcu obie strony odwołały się do arbitrażu międzynarodowego. Ostatecznie sędziowie nakazali Wielkiej Brytanii wypłatę znacznie mniejszego odszkodowania za szkody spowodowane przez okręty konfederatów. Londyn nie był drobiazgowy i zapłacił zasądzone pieniądze – na pewien czas stosunki po obu stronach granicy się uspokoiły.

Kanada na swoim

W 1867 r. Kanada stała się suwerennym dominium. Zyskała tym samym pełną swobodę w spawach wewnętrznych, oddając Wielkiej Brytanii jedynie prowadzenie polityki zagranicznej i obronnej. Sąsiedztwo z USA pobudzało do rozwoju kraju. Gdy Amerykanie rozpoczęli budowę linii kolejowej łączącej oba wybrzeża, Kanada po pewnym czasie poszła ich śladem. Od Jankesów uczono się rozmachu, praktyczności i zdobywania zagranicznych rynków. I w ślad za nimi „importowano" tanią siłę roboczą z Chin i Japonii.

Powstawały kanadyjsko-amerykańskie konsorcja biznesowe, a więzy na linii Ottawa – Waszyngton jeszcze mocniej budowały zręby „specjalnych relacji" imperium królowej Wiktorii z republiką spod znaku gwiaździstego sztandaru.

Ale znów znaleźli się tacy, którym nie zależało na stabilizacji relacji obu państw. Na czoło awanturników wysunęło się amerykańskie bractwo Fenian, które chciało wymusić na Koronie brytyjskiej wolność dla Irlandii poprzez przeprowadzanie rajdów terrorystycznych na miejscowości po kanadyjskiej stronie granicy. Rząd USA, chcąc zemścić się za kanadyjskie wsparcie dla konfederatów w czasie wojny secesyjnej, przymykał na to oko. Oddziały złożone z Irlandczyków urodzonych już na ziemi amerykańskiej atakowały forty armii Jej Królewskiej Mości i posterunki celne. Wystarczyło jednak, że władze w Ottawie rozbudowały i dobrze uzbroiły lokalną milicję kanadyjską, a ataki Irlandczyków szybko przestały być problemem. Kanadyjczycy jednak dobrze zapamiętali, że amerykańskie władze nie zrobiły zbyt wiele, by powstrzymać agresorów.

Wielka finansjera w Londynie zaczęła powoli naciskać na Kanadę, aby wyciszać lokalne spory, ponieważ uznano, że najważniejsza dla biznesu jest stabilność. Szybko domknięto wszystkie otwarte jeszcze spory graniczne i kontrowersje dotyczące wód terytorialnych, a także

eprasa.pl a7c1105b6a



Kapitan Canuck (niczym Kapitan Ameryka) jako komiksowy kanadyjski superbohater

FOT. WIKIPEDIA, AUTOR: RICHARD COMELY

załagodzono przy pomocy międzynarodowego arbitrażu konflikty wokół połowu wielorybów czy polowań na foki. Także kanadyjski wielki biznes zrozumiał, że koordynowanie działań z wielkimi magnatami z USA jest korzystne i zwiększa zyski obu stron.

Ale jak to często bywa, życie przynosiło nowe zadrażnienia. Jednym z nich było odkrycie w 1897 r. złota na kanadyjskim Jukonie. Około 100-tysięczna rzesza Amerykanów, która parła z Alaski w kierunku złotodajnej rzeki, wzbudziła na nowo obawy, że Amerykanie zechcą anektować atrakcyjny teren. Zażądano więc od Ameryki przydzielenia Kanadzie eksterytorialnego portu u brzegów Alaski, w którym obsługiwane miały być ruch migracyjny i eksport bogactw naturalnych Jukonu. Znowu jednak zwyciężył zdrowy rozsądek i spór rozwiązano za pomocą międzynarodowego arbitrażu.

Brothers in arm

Dwie wojny światowe to czas wielkiej przyjaźni przypieczętowanej braterstwem broni. Zarówno Kanada, jak i Stany Zjednoczone w pełni akceptowały wysłanie wojsk do Europy i na fali wzajemnego poczucia solidarności oba państwa zaczęły koordynować swoje działania militarne na terenie północnej hemisfery. Symbolem tego braterstwa była wspomniana już wspólna jednostka komandosów, która wsławiła się w czasie zdobywania Włoch w latach 1944–1945.

Okres 1914–1960 był w Kanadzie epoką rządów konserwatystów. Gdy w latach 60. zaczęły dąć wiatry kulturowej rewolty, do władzy doszedł lider kanadyjskich liberałów – Pierre Trudeau. Po objęciu rządów w kwietniu 1968 r. zaczął on wchodzić w rolę kogoś, komu drażnienie Amerykanów sprawia przyjemność. Kanada zaczęła demonstracyjnie potępiać wojnę w Wietnamie. Wiązało się to z niejawną instrukcją dla służb granicznych Kanady, aby nie przeszkadzać amerykańskim poborowym w ucieczce na Północ.

Ta arogancja zaczęła się jeszcze przed przejęciem władzy przez Trudeau. W 1965 r. Lester B. Pearson, jego poprzednik na fotelu premiera, będąc gościem prezydenta USA Lyndona B. Johnsona, pozwolił sobie na bardzo arogancki wyskok. Przemawiając w Filadelfii, ostro zaatakował Amerykanów za wojnę w Wietnamie. Zrobił to w tak napastliwym stylu, że jego amerykański gospodarz miał podobno wziąć go na bok i wybuchnąć: „Nie przychodź do mnie i nie sikaj na mój dywan". Oczywiście Amerykanów dodatkowo irytowało to, że postępowa prasa wielu krajów europejskich rozpływała się w zachwytach nad tolerancją Kanadyjczyków, którzy przyznawali amerykańskim dezerterom status uchodźców politycznych.

Jeszcze większą irytację wywołała triumfalna wizyta w Kanadzie przywódcy Kuby Fidela Castro. Przybysz z Karaibów oczywiście wykorzystał tę okazję, aby przedstawić Amerykę jako wspólnego wroga obu narodów: Kanadyjczyków i Kubańczyków. W kręgach kanadyjskich konserwatystów do dziś krąży pogłoska, jakoby to Fidel Castro był biologicznym ojcem syna Pierre'a Trudeau – Justina, który wiele lat później sam miał stanąć na czele rządu kanadyjskiego. Pojawiające się czasem w mediach zdjęcia porównujące urodę Fidela Castro i Justina Trudeau zdają się przekonywać wielu Kanadyjczyków, że coś może być tu na rzeczy...

Trump jak Nixon

Polityka grania na nosie Waszyngtonowi musiała oczywiście zakończyć się ochłodzeniem relacji. W 1971 r. nastąpił tzw. Nixon shock. Waszyngton rządzony przez Richarda Nixona wprowadził 10-procentowe cło na cały import z Północy. Gospodarka Kanady była w tym czasie tak zależna od relacji handlowych z USA, że tamtejszy wielki biznes wpadł w panikę. Teraz to gospodarz Białego Domu sprawiał wrażenie, jakby się świetnie bawił. W czasie wizyty w Ottawie w 1972 r. Nixon twardo ogłosił: „Specjalne stosunki gospodarcze między Kanadą a USA są martwe". Ochłodzenie we wzajemnych relacjach zakończyło się w latach 90., kiedy to przywódcy Ameryki, Kanady i Meksyku wynegocjowali układ o wolnym handlu (NAFTA). Ten podpisany w 1994 r. pakt przyczynił się do utworzenia wielu milionów miejsc pracy, ale jego znaczenie okazało się jednak mniejsze, niż to sobie wtedy obiecywano.

Epoka Billa Clintona – a potem Baracka Obamy – to z kolei ujednolicanie się Ameryki i Kanady pod kątem poprawności politycznej. I to Kanada występowała tutaj jako lider progresywnych przemian. To właśnie tamten okres przyczynił się do szykowania przez Donalda Trumpa swoistej odpłaty m.in. za tolerowanie przez władze kanadyjskie nielegalnej imigracji do USA.



Justin Trudeau i Donald Trump. W 2025 r. stosunki amerykańsko-kanadyjskie bardzo się zaostrzyły

FOT. DONALD J. TRUMP PRESIDENTIAL LIBRARY/WIKIPEDIA

Nowy gospodarz Białego Domu nie ma ochoty na żadną taryfę ulgową dla liberalnej Kanady. Pytanie: Jaką cenę zapłaci za to gospodarka USA? Po raz kolejny tak bliskie, wydawałoby się, narody zaczynają robić sobie nawzajem na złość. Jak pokazuje ten tekst, nie jest to pierwszy raz w ich zagmatwanej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Mikołaj Iwanow

Ognista miłość do Polaka stała się niesamowitą inspiracją dla twórczości czołowej rosyjskiej poetki

Konstanty Rodziewicz / Biało-czerwony ślad w poezji rosyjskiej

Polskie natchnienie Cwietajewej

Marina Cwietajewa – najwybitniejsza przedstawicielka rosyjskiej poezji XX w., symbol tragicznego losu tamtejszej inteligencji. Odrzucała bolszewizm, ale jednocześnie nie mogła ostatecznie zerwać związków z własnym narodem. Zarówno ona, jak i jej mąż, Siergiej Efron, po rewolucji bolszewickiej znaleźli się na emigracji w Pradze. Tu w stolicy międzywojennej Czechosłowacji narodził się wśród białych emigrantów ruch o nazwie „Smienowiechowstwo", do którego przyłączył się Siergej Efron.

Nazwa ta pochodzi od tytułu pracy zbiorowej „Smiena Wiech" (Zmiana drogowskazów), która wyszła w Pradze w 1921 r. Główni ideolodzy tego nieformalnego ruchu, przeważnie wybitni naukowcy, literaci i ludzie kultury (Aleksandr Bobriszczew-Puszkin, Jurij Kliucznikow, Jurij Potiechin, Nikołaj Ustriałow, Siergiej Czachotin i inni), traktowali rewolucję bolszewicką jako „znak Boży", jako karę dla inteligencji rosyjskiej za grzech ulegania wpływom zachodnich idei marksistowskich.

Bolszewizm i jego zbrodnie uważali za niezbędny element pokuty prowadzącej do odrodzenia narodu. Wzywali swych zwolenników do powrotu do kraju i pracy w komunistycznej Rosji. Wierzyli, że Rosja odrodzi się wcześniej czy później w postaci zdrowego imperialnego organizmu państwowego. Rewolucja bolszewicka, według Nikołaja Ustriałowa, to unikatowe zjawisko historyczne łączące „wielki rosyjski duch państwowości z szerokim ludowym protestem społecznym". Ten protest wkrótce powinien „przeistoczyć się z pozapaństwowego i antypaństwowego w państwowy, a przez to państwo

FOT. DOM-MUZEUM MARINY CWIETAJEWEJ

eprasa.pl a7c1105b6a

rosyjskie nareszcie będzie tym, czym powinno być – »państwem Bożym na ziemi«".

Ułaskawiony

Miejsce Mariny Cwietajewej w poezji rosyjskiej jest unikatowe. Wiele autorytetów ze świata literatury nie bez podstaw uważa ją za pierwszą poetkę „wszech czasów", założycielkę tzw. poezji kobiecej. Nie wszyscy jednak wiedzą, jaką rolę odegrały polskość i Polacy w jej twórczości.

Po pierwsze, jej babcia, Maria Biernacka, była Polką. Po drugie, najlepsze utwory Cwietajewej narodziły się pod wpływem jej wieloletniej miłości do Polaka – Konstantego Rodziewicza. Kim był ten człowiek i jaką rzeczywiście rolę odegrał w życiu poetki?

Konstanty Bolesław Rodziewicz urodził się w 1895 r. w polskiej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec, Bolesław Rodziewicz, był szefem służby zdrowia w całej carskiej armii i dosłużył się stopnia generała. W 1913 r. Konstanty Rodziewicz ukończył gimnazjum w Lublinie. Kontynuował naukę, studiując matematykę, a następnie prawo na uniwersytetach w Warszawie, Kijowie i Piotrogrodzie. Zmobilizowany do armii rosyjskiej w czasie pierwszej wojny światowej w 1917 r. ukończył szkołę oficerską marynarki wojennej. Skierowano go jako miczmana (pierwszy stopień oficerski) do Floty Czarnomorskiej.

W czasie wojny domowej początkowo przyłączył się do bolszewików i dowodził jednostkami Flotylli Dnieprzańskiej. Dostał się do niewoli białych i – jak sam pisał w swej autobiografii – został skazany na śmierć. Jednak w tym momencie los zagrał z nim w „rosyjską ruletkę". Dowódcą białych na tym odcinku frontu był słynny generał Jakow Słaszczow, legendarny bohater Wielkiej Wojny i późniejszy filar Smienowiechowstwa (w 1921 r. wrócił do Rosji sowieckiej i w Moskwie wystąpił z apelem do wszystkich antybolszewickich uczestników wojny domowej, by przybyli z powrotem do ojczyzny. Prawdopodobnie ta postawa odegrała pewną rolę w późniejszej fascynacji Rodziewicza smienowiechowcami).

Siergiej Efron ze zrozumieniem odnosił się do romansu żony. Uważał, że ten wybuch namiętności pozwalał jej osiągnąć ogromną twórczość

Jakow Słaszczow uchylił mu karę śmierci i zaproponował młodemu Polakowi przyłączenie się do białych. Kolejne lata wojny domowej Rodziewicz spędził w szeregach białej armii gen. Wrangla, walcząc z bolszewikami. Nic nie zapowiadało wtedy, że jego późniejsza życiowa droga będzie tak kręta.

Klęska białych w wojnie domowej i ewakuacja armii gen. Wrangla do Turcji pod koniec 1920 r. oznaczały dla Rodziewicza początek emigracyjnej tułaczki. Wraz z innymi młodymi białymi oficerami otrzymał od rządu Republiki Czechosłowackiej kuszącą propozycję podjęcia studiów na tamtejszych uniwersytetach. Rodziewicz wybrał Uniwersytet Karola w Pradze i w 1923 r. uzyskał licencjat w dziedzinie prawa.

Wróżka na pomoc

W tym okresie Rodziewicz zbliżył się do kolegi ze studiów – Siergieja Efrona – i został jego przyjacielem. Jednak odwiedziny w domu Efrona przyniosły niespodziewany efekt. Romans 31-letniej wówczas Mariny, matki dwojga dzieci, z młodszym o trzy lata Rodziewiczem wyszedł w końcu na jaw i spowodował kryzys w małżeństwie Efronów. Sama Marina nie była w stanie ukrywać swojej miłości. Pisała o tym w liście do Borysa Pasternaka: „Przez pierwsze dwa tygodnie od poznania Konstantego miotałam się między nim a mężem, który niczego nie podejrzewał, biegałam od jednego zajęcia do drugiego. Byłam zdesperowana, schudłam i nawet poszłam do wróżki".



Siergiej Efron i Marina Cwietajewa

FOT. DOM - MUZEUM MARINY CWIETAJEWEJ

Co ciekawe, Siergiej Efron ze zrozumieniem odnosił się do romansu żony. Uważał, że ten wybuch namiętności pozwalał jej osiągnąć ogromną twórczość, która nie mogłaby zaistnieć w warunkach normalnego, szarego życia rodzinnego. Dlatego wiedząc o wszystkim, przymykał oko na zdradę i nawet wyjechał na miesiąc z Pragi, zabierając ze sobą córkę Ariadnę. Oto jak sam Efron w liście do Maksymiliana Wołoszyna opisywał zachowanie żony: „Marina jest przepełniona pasją. Całkowite poddanie się własnym namiętnościom stało się dla niej

eprasa.pl a7c1105b6a



Konstanty Rodziewicz
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

koniecznością, powietrzem jej życia. Kto jest sprawcą tego huraganu pasji, nie jest teraz istotne... Wszystko zbudowane jest na samooszukiwaniu się... Ogromny piec, do ogrzewania którego potrzebne jest drewno na opał, drewno na rozpalenie jej pasji poetyckiej. Niepotrzebny popiół wyrzuca się, a jakość drewna opałowego nie jest aż tak ważna... Nie muszę chyba mówić, że od dłuższego czasu nie nadawałem się do palenia w piecu... Jestem dla niej jednocześnie kołem ratunkowym i kamieniem młyńskim u szyi".

Siergiej Efron rozumiał własną żonę jak nikt inny. Jej kobiecość była dla niej zjawiskiem tajemnym. Ciało poetki, jej duch, serce i erotyzm stanowiły harmonijną jedność. Poezja Cwietajewej zawiera zarówno tę „harmonijną jedność", jak i poszukiwanie „cudu" w płci przeciwnej. Właśnie takiego „cudu" oczekiwała ona od Konstantego Rodziewicza. On natomiast po latach przyznawał, że Marina po prostu wymyśliła go sobie.

Cwietajewa nie była osobą, która mogła ukrywać swą nową miłość. Romans był niezwykle burzliwy. Wiedziała o nim prawie cała rosyjska Praga. O tej niezwykłej poetyckiej miłości świadczą listy Mariny do Konstantego.

„Po raz pierwszy w życiu kocham szczęśliwie – pisała Cwietajewa. – Po raz pierwszy szukam szczęścia, a nie straty, chcę brać, a nie dawać, chcę istnieć, a nie zginąć. Czuję w Tobie siłę, coś, co nigdy wcześniej mi się nie przydarzyło [...]. Nigdy nie dawałam człowiekowi prawa wyboru: albo wszystko, albo nic, ale w tym wszystkim – jak w pierwotnym chaosie – jest tak wiele, że nie ma się co dziwić, że człowiek ostatecznie gubił się sam, a w rezultacie gubił mnie... Dokonałeś dla mnie cudu, po raz pierwszy poczułam jedność nieba i ziemi. O, kochałam ziemię przed Tobą, kochałam drzewa! Kochałam wszystko, potrafiłam kochać wszystko – oprócz innej żywej istoty. Ta druga zawsze mi przeszkadzała, to była ściana, w którą waliłam głową, nie wiedziałam, jak sobie radzić z żywymi istotami! Stąd świadomość: nie jestem kobietą, lecz duchem kobiety! Nie chciało się żyć – umrzeć...

Drogi przyjacielu. Przywróciłeś mi prawdziwe życie, którego próbowałam zasmakować tak wiele razy, a mimo to nie potrafiłam przeżyć nawet godziny w szczęściu. Teraz wiem: Ty mnie po prostu kochasz... Uwielbiam twe oczy, kocham twe dłonie, szczupłe i lekko zimne w moich rękach. Nagłość twojego podniecenia, nieprzewidywalność twojego uśmiechu. O, jakże głęboko jesteś szczery! Jakiż jesteś prosty, przy całym swoim wyrafinowaniu! Gracz, który uczy mnie człowieczeństwa. Och, Ty i ja być może nie byliśmy ludźmi, zanim się poznaliśmy! Powiedziałam ci: Dusza istnieje. Powiedziałeś mi: Życie istnieje".

Dzikie psy

W innym liście Marina oświadcza o podjęciu stanowczej decyzji, aby być razem: „Oczywiście to dopiero początek. Piszę do Ciebie w sprawie mojego pragnienia (decyzji) życia. Bez Ciebie i poza Tobą nie mogę tego zrobić. Dzięki Tobie mogę kochać życie. Puść mnie – odejdę znowu, tylko z jeszcze większą goryczą. Jesteś moim pierwszym i ostatnim ratunkiem. Jeśli się cofniesz, dzikie psy mnie rozerwą... Ty jesteś moim zbawieniem od śmierci i życia, Ty jesteś Życiem (Panie, przebacz mi to szczęście!).

Mój Arlekin, mój Poszukiwacz przygód, moja Noc, moje szczęście, moja namiętność. Teraz położę się i zabiorę cię do siebie. Na początku będzie tak: moja głowa będzie na twoim ramieniu, Ty coś powiesz, zaśmiejesz się. Biorę twoją dłoń do moich ust – zabierasz ją – nie zabierasz – twoje usta są na moich, głęboki dotyk, penetracja – śmiech cichnie, słowa – nie – i bliżej, i głębiej, i goręcej, i bardziej czułą – i zupełnie nie do zniesienia błogość, którą tak pięknie przekazujesz, tak umiejętnie kontynuujesz.

Przeczytaj i zapamiętaj. Zamknij oczy i zapamiętaj. Pamiętaj, że twoja ręka jest na mojej piersi... Przyjacielu, jestem cała twoja".

Ten okres gorącego romansu z Rodziewiczem trwał stosunkowo krótko: od sierpnia do grudnia 1923 r. Był to jednak najbardziej twórczy okres w życiu poetki. Właśnie wtedy powstały dwa najlepsze dzieła Cwietajewej: „Poemat góry" i „Poemat końca". Pierwszy poświęcony był początkowi ich miłości, drugi rozstaniu. W tym okresie spod jej pióra wyszło także 90 wspaniałych wierszy. Nigdy wcześniej ani później Marina Cwietajewa nie przeżywała takiego twórczego wzlotu.

Koniec miłosnej przygody poetka odreagowała niezwykle dramatycznie. W swoim dzienniku pod datą 23 grudnia napisała: „Koniec mojego życia. Chcę umrzeć w Pradze, chcę, aby mnie spalono".



Na pierwszym planie: Marina Cwietajewa (z lewej), Konstanty Rodziewicz. Na drugim planie z lewej: Siergiej Efron, Czechosłowacja, 1923 r. FOT. DOM - MUZEUM MARINY CWIETAJEWEJ

Dramatyzmu całej tej sytuacji dodawał fakt, że Marina była w ciąży. Siergiej Efron uznał później nowo narodzone dziecko za swoje, jednak prawdziwym ojcem jedynego syna Cwietajewej był prawdopodobnie Rodziewicz. W 1980 r. w wywiadzie dla francuskiego czasopisma Polak skomentował to następująco: „Źle przyjąłem narodziny syna Mariny. Nie chciałem brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Uważam,

eprasa.pl a7c1105b6a

że Marina popełniła błąd, pozostawiając tę niejasność. Ale nigdy nie powiedziała mi prawdy. Podjąłem najłatwiejszą decyzję dla siebie, zgodziłem się, że Mur [tak Marina nazwała syna – przyp. red.] jest dzieckiem Siergieja".

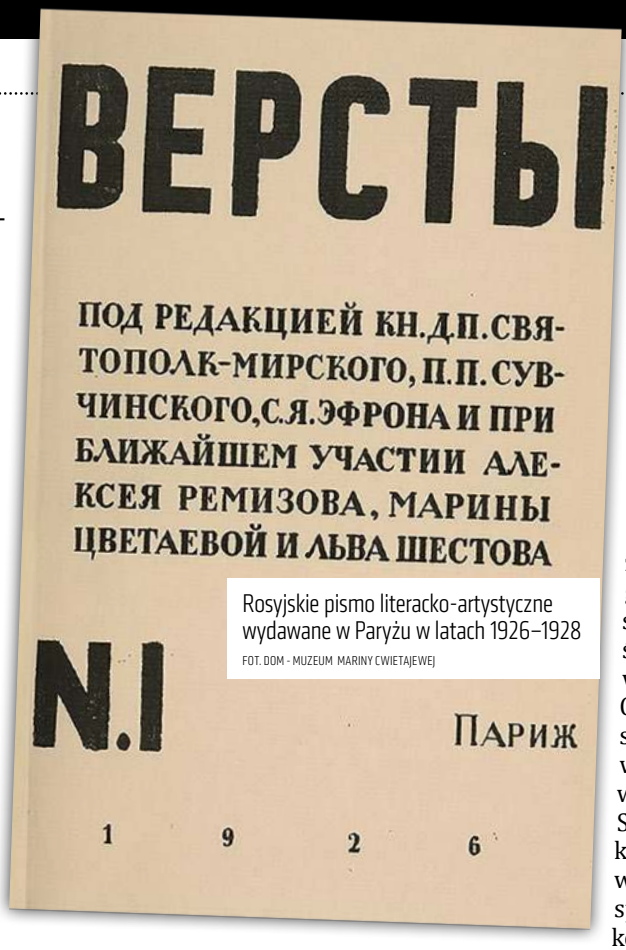
A jednak ten burzliwy praski romans nie odbił się negatywnie na stosunkach rodziny Efronów z Rodziewiczem. Już w 1926 r. wszyscy oni razem zamieszkali w jednym domu w Paryżu. Konstanty studiował na Sorbonie, natomiast Siergiej, coraz bardziej znajdujący się pod wpływem idei komunistycznych, został zwerbowany przez wywiad sowiecki i wziął udział w kilku akcjach dywersyjnych zorganizowanych przez NKWD w Europie Zachodniej.

Ścigany listem gończym przez francuską policję Siergiej uciekł w 1937 r. do ZSRS. Wcześniej do Moskwy wyjechała jego starsza córka, Ariadna. Marina z synem Gieorgijem (Murem) i młodszą córką miała dołączyć do męża i Ariadny w 1939 r. Wydawało się, że rodzina wreszcie może żyć spokojnie. W warunkach sowieckiego stalinizmu bezpieczeństwo było jednak iluzją.

Pierwszą wolność straciła Ariadna. Oskarżono ją o szpiegostwo i skazano na 15 lat łagru. Po miesiącu enkawudziści przyszli po męża. Jego los był o wiele bardziej tragiczny. Rozstrzelano go w sierpniu 1941 r. jako agenta obcego wywiadu. Na początku wojny sowiecko-niemieckiej Marinę wraz z 17-letnim synem ewakuowano do Jełabugi, zapadłej miejscowości w Tatarstanie. Praktycznie pozbawiona środków do życia nie wiedząc nic o losie męża i córki, popełniła samobójstwo.

Ślepy zaułek

Przed śmiercią napisała list do syna: „Mruczek! Wybacz mi, ale sytuacja nie mogła być gorsza. Jestem poważnie chora, to już nie ja. Kocham cię bez miary. Zrozum, że nie mogę już dłużej żyć. Powiedz tacie i Ariadnie – jeśli ich zobaczysz – że kochałam ich aż do ostatniej chwili i wyjaśnij, że doszłam do ślepego zaułka".



Rosyjskie pismo literacko-artystyczne wydawane w Paryżu w latach 1926–1928

FOT. DOM - MUZEUM MARINY CWIETAJEWEJ

Los Mura również był tragiczny. Chłopak wychowany we Francji nie rozumiał i nie przyjmował sowieckiej rzeczywistości. Rok po śmierci matki został zmobilizowany do Armii Czerwonej i w lipcu 1944 r. zginął na froncie właściwie w pierwszym starciu z wrogiem. Zostawił po sobie przejmujący opis swojego życia w Związku Sowieckim, pisany w większości po francusku.

A co się wtedy działo z Polakiem, który zawładnął sercem Mariny? Konstanty Rodziewicz mimo swej aktywności we francuskich organizacjach lewicowych na swoje szczęście nie pojechał do stalinowskiego ZSRS. W 1936 r. jako doświadczony oficer wyjechał do Hiszpanii i został tam dowódcą batalionu w armii republikańskiej. Czy był związany w tym okresie z NKWD? Nigdy do tego się nie przyznał, ale jego działalność na frontach hiszpańskiej wojny domowej rodzi takie przypuszczenia. Po klęsce sił republikańskich wrócił do Francji. Nie wiemy, czy spotkał się jeszcze z Mariną przed jej wyjazdem do ZSRS. Wiemy natomiast, że cały czas podczas jego pobytu w Hiszpanii korespondowali ze sobą.

Na początku 1940 r. Konstanty Rodziewicz znów był w szeregach wojska, tym razem w armii francuskiej. Po porażce w wojnie z Niemcami nie złożył broni i walczył w szeregach ruchu oporu. W 1943 r., wytropiony przez gestapo, trafił do obozu koncentracyjnego. W 1945 r. Armia Czerwona wyzwoliła obóz, w którym był przetrzymywany. Po odzyskaniu wolności wrócił do Francji.

Konstanty Rodziewicz miał długie życie – zmarł w Paryżu w wieku 92 lat – w związku z czym udało mu się dożyć czasów, gdy utwory jego ukochanej zyskały światową sławę. Miał pełną świadomość, jaką rolę odegrał w kwestii spuścizny literackiej Cwietajewej i jej pośmiertnej sławy. Prawdopodobnie dlatego w okresie tzw. odwilży chruszczowowskiej przyjechał do Związku Sowieckiego i spotkał się z Ariadną, która 15 lat swego życia spędziła w więzieniach i obozach. Po tym spotkaniu Ariadna tak opisała kochanka swojej matki w książce „Strony pamięci": „Bohater poezji mej matki obdarzony był rzadkim darem uroku, łączącym odwagę z duchową gracją, uczucie z ironią, wrażliwość z beztroską, namiętność (pasję) z lekkomyślnością, młodzieńczy egoizm z bezinteresownością, łagodność z porywczością. Ten urok w warunkach rosyjskiej Pragi nie pasował do nieokrzesanego, bezceremonialnego i gadatliwego tłumu emigrantów [...]. Dla Mariny wydawał się nie z tej ziemi [...]. Spotkałam go po latach tylko dlatego, aby przekonać się: nie, lata nie mają władzy nad urokiem; nie mają władzy nad szlachetną pamięcią serca i nadmierną odwagą. Powiem też, że Sierioża [Efron – przyp. red.] kochał go jak brata".

Sam Konstanty Rodziewicz w swym krótkim eseju biograficznym, napisanym na prośbę biografa Cwietajewej, podkreślał: „Wspomnienie o tej miłości starannie niosę ze sobą przez stale rosnący gąszcz czasu. Nasza miłość i nasze rozstanie znajdują żywe odzwierciedlenie w wierszach i poematach samej Cwietajewej. W związku z tym powstrzymuję się od jakichkolwiek komentarzy. Czy można wyrazić zwykłymi słowami to, co stało się własnością poezji?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Tomasz Stańczyk

1863–1865 / Od Łukowa do Sokołowa Podlaskiego

Ostatni powstaniec

Stanisław Brzóska zamierzał zostać lekarzem, ale ostatecznie przyjął święcenia kapłańskie. A potem stał się księdzem dowódcą oddziału walczącego w powstaniu styczniowym, stawiając opór jeszcze długo po klęsce zrywu

W swojej pracy „22 stycznia 1863" Józef Piłsudski opisał pierwszy dzień powstania. Rosjanie zostali zaatakowani wówczas w wielu miejscach Królestwa Polskiego, lecz nie przyniosło to znaczących sukcesów. Jednym z celów ataku był garnizon w Łukowie. Piłsudski pisze we wspomnianej pracy o ks. Stanisławie Brzósce, który na czele swojego oddziału w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. opanował miasteczko. Przyszły Marszałek nazwał księdza dowódcę „ostatnim partyzantem Polski".

Ksiądz Stanisław Brzóska faktycznie był – używając dzisiejszych pojęć – ostatnim walczącym Żołnierzem Wyklętym. I to nie tylko przez rosyjską władzę zaborczą nad Wisłą. Choć o powstaniu styczniowym myślimy jako o wielkim zrywie narodowym, to przecież także wielu Polaków wyklinało powstańców. Jedni dlatego, że powstanie przerwało im spokojną, konformistyczną egzystencję pod rosyjskim panowaniem. Inni dlatego, że przegrane powstanie przekreśliło pewną poprawę sytuacji społeczeństwa polskiego, wynegocjowaną w Petersburgu przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i spowodowało przyspieszenie rusyfikacji. A także administracyjne zdegradowanie Królestwa Polskiego do prowincji nazwanej Nadwiślańskim



Ksiądz Stanisław Brzóska po aresztowaniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl a7c1105b6a

Krajem. Poza tym bardzo niewielka część chłopów identyfikowała się z narodem polskim, a byli i tacy, którzy czynnie pomagali Rosjanom w wyłapywaniu powstańców. Im oraz innym Polakom kolaborantom nadawano w podziękowaniu rosyjskie medale „Za uśmierzenie polskiego buntu".

Wprawdzie Rząd Narodowy w swoim manifeście wydanym na początku powstania ogłosił koniec pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów, jednak nie był w stanie tego prawa wprowadzić w życie. W odczuciu wsi to car obdarował ją wolnością i ziemią na mocy swojego ukazu z marca 1864 r. Miało to podciąć poparcie chłopów dla powstania i w dużej mierze tak się stało. Ale jednak nie do końca i nie wszędzie, o czym przypomina powstańcza historia ks. Stanisława Brzóski, w którego oddziale znajdowali się także chłopi, a jego żołnierze mogli liczyć w wiejskich chatach na pomoc.

Lekarz dusz

Stanisław Brzóska urodził się w 1834 r. w Dokudowie na Podlasiu w rodzinie drobnej szlachty. Rozpoczął studia na wydziale medycznym uniwersytetu w Kijowie, porzucił je jednak na rzecz seminarium duchownego. „Zamiast być lekarzem ciała, Brzóska postanowił być lekarzem dusz" – stwierdził Tadeusz Krawczak, jego biograf (T. Krawczak, „Ksiądz generał Stanisław Brzóska").

W 1858 r. Brzóska otrzymał święcenia kapłańskie. Był wikarym w Sokołowie Podlaskim, a później w Łukowie. W 1860 r. w Królestwie Polskim rozpoczęły się – od pogrzebu wdowy po gen. Józefie Sowińskim, poległym na szańcach warszawskiej Woli bohaterze powstania listopadowego – manifestacje patriotyczne, niektóre krwawo tłumione przez Rosjan. W listopadzie 1861 r. wydarzył się incydent podczas mszy sprawowanej przez ks. Brzóskę: do kościoła weszli rosyjscy oficerowie, zachowywali się skandalicznie, śmiejąc się, głośno rozmawiając, przeszkadzając modlącym się wiernym. Tamtego dnia podczas sumy ks. Brzóska przytoczył biblijną przypowieść o zbożu i kąkolu oraz złych nasionach tego ostatniego rzuconych przez szatana. Rosjanie wzięli to do siebie i w rezultacie ksiądz został skazany na rok twierdzy, lecz ostatecznie wyrok został złagodzony do trzech miesięcy na skutek starań biskupa podlaskiego Piotra Beniamina Szymańskiego.



Ksiądz Stanisław Brzóska

FOT. SP4.EDU.PL

Po powrocie do Łukowa ksiądz związał się z organizacją spiskową „czerwonych", przygotowującą powstanie. Został naczelnikiem powiatu łukowskiego i stanął na czele oddziału, z którym pamiętnej nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. opanował miasteczko. „Około godziny 2-giej w nocy powstańcy, przeważnie włościanie, w sile około 350 ludzi, dowodzeni przez ks. Stanisława Brzózkę i Gustawa Zakrzewskiego, zaatakowali 5-tą kompanię kostromskiego pułku. W walce, która toczyła się głównie na ulicy Międzyrzeckiej, poległo 4 moskali, a 20 było rannych; powstańcy stracili 3 zabitych i tyluż rannych. Nad ranem przybyła moskalom w pomoc 8-ma rota, przed którą powstańcy cofnęli się, zabrawszy znaczną ilość broni i amunicyi" – pisał Stanisław Zieliński w „Bitwach i potyczkach 1863–1864".

Ksiądz Brzóska przystąpił następnie wraz ze swoim oddziałem do powstańczego zgrupowania płk. Walentego Lewandowskiego, naczelnika wojennego województwa podlaskiego. Był kapelanem, lecz – jak pisał Edward Ruciński – „gdy potrzeba, z rozwianą czupryną i pałającymi oczami, chwytając do ręki karabin, rzuca się w wir bitwy i jako prosty żołnierz, pędzi naprzód, zagrzewając do boju".

4 marca 1863 r. zgrupowanie Lewandowskiego zaatakowało Sosnowicę, gdzie żołnierze rosyjscy zatrzymali się na nocleg. Rosjanie musieli uciekać. Ksiądz Brzóska został ranny w tej potyczce i opuścił zgrupowanie, by się leczyć. Nieco ponad trzy miesiące później znów był w szeregach, tym razem w oddziale płk. Marcina Borelowskiego „Lelewela". 10 czerwca powstańcy „Lelewela" zaatakowali pod Korytnicą rosyjski konwój przewożący pieniądze, ponosząc porażkę i tracąc prawie 20 zabitych. Wśród poległych był Kalikst Ujejski, brat poety Kornela Ujejskiego, znanego z pamiętnej, posępnej pieśni „Z dymem pożarów...". Ksiądz Brzóska zebrał wówczas część rozproszonych powstańców. Dzień później wziął udział w ataku na dwie rosyjskie roty. „Oddziałek Łaskiego śmiało rzucił się na kozaków i dwa razy szarżując, dwukrotnie odpędził, ustępując dopiero przed piechotą, która ukryta w życie poczęła go obsypywać gradem kul. W szarży tej, z której Łaski nie poniósł żadnych strat, odznaczyli się szczególnem męstwem Michał Krakowski (Krukowski), pocztylion z Warszawy i Antoni Oziemek. Odpędziwszy kozaków, Łaski podążył za Borelowskim, aby się z nim połączyć" (S. Zieliński, dz. cyt.).

Po kilkunastu dniach (23 czerwca) powstańcy Borelowskiego starli się z Rosjanami pod Różą, gdzie ponieśli porażkę i się rozproszyli. Ksiądz Brzóska, nie tracąc ducha, ponownie zebrał część rozbitego oddziału i przyłączył go do oddziału Karola Krysińskiego. Dowódca ten postanowił wywabić Rosjan z Parczewa do lasów i tam zorganizować zasadzkę, ale jego plan się nie powiódł.

Naczelny kapelan

Rząd Narodowy mianował ks. Brzóskę w lipcu 1863 r. naczelnym kapelanem wojsk powstańczych w randze generała. Po przegranej bitwie pod Fajsławicami



Walenty Lewandowski na czele swojego oddziału

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl a7c1105b6a

24 sierpnia 1863 r., gdzie walczyły oddziały dowodzone przez gen. Michała Kruka-Heydenreicha, ks. Brzóska ciężko zachorował na tyfus i długo się leczył. Na przełomie lat 1863 i 1864 stanął na czele własnego oddziału. W jego skład wchodzili m.in. powstańcy z „partii" Krysińskiego (on sam wyjechał za granicę). Brzóska „jak meteor lub błyskawica ukazuje się raptownie, rąbie, strzela, ginie zaraz, by się niezwłocznie ukazać w innym miejscu" – pisał Edward Ruciński w jednodniówce wydanej 100 lat temu, z okazji odsłonięcia pomnika księdza powstańca.

Istnienie oddziału byłoby niemożliwe, gdyby nie wydatna pomoc ludności Podlasia – szlachty zaściankowej i chłopów – która organizowała dla powstańców kryjówki i dostarczała żywność. Jednak oddział Brzóski systematycznie topniał. Tadeusz Krawczak tak to opisywał: „Późną jesienią [1864 r. – przyp. red.] przy księdzu pozostali najbardziej wytrwali, którzy nie dali się skusić amnestią". A także nadanym przez cara uwłaszczeniem chłopów. Rosjanie naciskali na biskupa podlaskiego Piotra Beniamina Szymańskiego, by publicznie, z ambony, potępił księdza jako buntownika i pozbawił go praw kapłańskich. Biskup odmówił i choć przyznał w odpowiedzi, że ks. Brzóska winien jest uczestnictwa w rebelii, to jednak nie ma dowodów, że jest rozbójnikiem i podpisywał wyroki śmierci. Stwierdził przy tym, że Brzóska jako kapłan zyskał sobie szacunek i miłość ludu.

W listopadzie 1864 r. specjalny oddział rosyjski rozpoczął tropienie i osaczanie nielicznego już oddziału Brzóski. Ksiądz dowódca, mimo braku wieści i rozkazów Rządu Narodowego, po aresztowaniu i straceniu Romualda Traugutta w sierpniu 1864 r. działał na własną rękę, nie zamierzając schodzić z pola walki. Nawet wtedy, gdy kurierka Antonina Konarzewska przywiozła mu w końcu 1864 r. wiadomość od nowego rządu, na którego czele stał Bronisław Brzeziński, że ksiądz dowódca nie może liczyć na żadną pomoc.

„Ogół Brzóskę podziwiał i czcił – pisał Krawczak – szlachta i chłopi widzieli w nim swego opiekuna, stawali po jego stronie".



Medal „Za uśmierzenie polskiego buntu" FOT. ONEBID.PL

Za Polskę...

W ostatnich dniach grudnia 1864 r. Rosjanie zorganizowali we wsi Przewózki obławę na oddziałek Brzóski. Dwaj powstańcy zginęli, ale księdzu dowódcy udało się zbiec. Po tym wydarzeniu Brzóska stwierdził, że dalsza walka jest bezcelowa, i rozpuścił swoich żołnierzy do domów. Dla niego samego nie było jednak powrotu do normalnego życia. W pierwszych miesiącach 1865 r. już tylko ukrywał się wraz ze swoim adiutantem Franciszkiem Wilczyńskim, mieszczaninem z Łukowa. Proponowano Brzósce potajemny wyjazd do Galicji, w przebraniu służącego jednej z rodzin ziemiańskich. Miał już nawet wyrobiony fałszywy paszport, ale odmówił.

Jego pojmanie związane było bezpośrednio z tragedią dwudziestoparoletniej szlachcianki Antoniny Konarzewskiej, która służyła jako kurierka Rządu Narodowego i jednocześnie ks. Brzóski. Zbierała pieniądze dla jego żołnierzy, organizowała broń. Była dzielną, odważną kobietą. Zdradzona przez jednego z mieszkańców Kałuszyna dostała się w ręce Rosjan. Bardzo brutalnie przesłuchiwana i katowana przez rosyjskich oficerów załamała się i wskazała w końcu miejsce ukrycia się Brzóski i jego adiutanta w zaścianku szlacheckim Krasnodęby-Sypytki. Mimo to Konarzewska została skazana na dożywotnie zesłanie na Syberię, skąd już nie powróciła do kraju.



Brzóska i Wilczyński zostali ujęci w kwietniu 1865 r. Tak opisał to Stanisław Zieliński: „Sztabskapitan Czygrin udali się na czele 10 kozaków i 2 żandarmów do Krasnodębów Sypytek, gdzie podczas dokonywania rewizji w domu Bielińskiego przywitani zostali strzałami. Obaj rycerze drapnęli na dziedziniec, a w tej chwili we drzwiach chaty ukazał się ks. Brzózka z rewolwerem w ręku, a za nim Wilczyński, który nabijał i podawał swemu dowódcy broń. Ciągle strzelając, Brzózka począł biec do lasu, ale nieszczęściem potknął się i upadł. Tu schwycił go wachmistrz żandarmów, a choć Brzózka przytknął mu do czoła pistolet, ten jednak spalił na panewce".

Na mocy wyroku sądu rosyjskiego ks. Brzóska i jego adiutant zostali powieszeni w publicznej egzekucji – na którą Rosjanie spędzili ludność – w Sokołowie w maju 1865 r. Ostatnie słowa ostatniego powstańca brzmiały: „Żegnajcie, bracia i siostry, i wy, małe dziatki. Ginę za naszą ukochaną Polskę, która przez naszą krew i śmierć...". Wtedy zagrały werble, by zagłuszyć dalszą część słów Brzóski. Ciała straconych Rosjanie wywieźli i ukryli prawdopodobnie na terenie twierdzy w Brześciu. W 1925 r. staraniem społecznym odsłonięto w Sokołowie Podlaskim pomnik Brzóski. W 2008 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył księdza Orderem Orła Białego. Na początku 2024 r. historię ostatniego oddziału i jego dowódcy przypomniał film fabularny „Powstaniec 1863" Tadeusza Syki, a w rolę ks. Brzóski wcielił się Sebastian Fabijański.

„Kryjaki" i strzelcy

W 1913 r., w 50. rocznicę powstania – gdy ukazała się także praca Piłsudskiego „22 stycznia 1863" – pisarka Maria Jehanne Wielopolska wydała powieść „Kryjaki". Jest to dramatyczna elegia na koniec istnienia ostatniego oddziału powstania styczniowego i na śmierć jego dowódcy. To opowieść o topniejącej garstce ludzi, ubranych nie w mundury, lecz niemal w łachmany, tropionych przez wojsko rosyjskie, ukrywających się, robiących wypady na wroga.

Autorka skończyła pisać „Kryjaki" w kwietniu 1913 r., w rocznicę pojmania ks. Brzóski i jego adiutanta, ostatnich zbrojnych powstańców. „Ostatnich – wówczas" – jak znacząco podkreśliła w zakończeniu książki.

eprasa.pl a7c1105b6a



Józef Piłsudski z weteranami powstania styczniowego, 1933 r. FOT. NAC

Tamtego 1913 r. – pół wieku po powstaniu styczniowym – po ulicach Lwowa, miasta będącego kolebką polskiego zbrojnego ruchu niepodległościowego, maszerowali strzelcy Józefa Piłsudskiego. Wkroczyli też do Zakopanego. Właśnie tam, pod Tatrami, zostało zrobione zdjęcie na miarę symbolu: kolumna umundurowanych strzelców w maciejówkach i pod bronią zbliża się do stolicy Tatr, a w tle widnieje majestatyczna sylwetka Giewontu. Góry, z którą wiąże się legenda o śpiących w jej wnętrzu rycerzach, którzy pewnego dnia, na dany znak, przebudzą się i rozpoczną walkę o Polskę.

Społeczeństwo Galicji w większości patrzyło na strzelców Józefa Piłsudskiego albo z pobłażaniem – uważając, że jest to zabawa młodzieży w wojsko – albo ze zgrozą, bojąc się, że wywołają awanturę o nieobliczalnych skutkach dla Polaków, czyli kolejne antyrosyjskie powstanie. Piłsudski, wychowany w kulcie powstania styczniowego – nie martyrologii, tylko podziwu dla bohaterstwa walczących o wolność i niepodległość – nie był jednak szalony. Nie marzył o kolejnym przegranym powstaniu i laurze męczennika. Czekał na wielki konflikt europejski, starcie między zaborcami, podczas którego – jak powiedział – nie może zabraknąć polskiego miecza, gdy będą wyrąbywane nowe granice i ustalany nowy ład międzynarodowy.

Piłsudski ubolewał i wówczas, i później, że poparcie Polaków dla jego niepodległościowego ruchu jest tak małe, a pieniądze na rozwój związków strzeleckich nie płyną strumieniem, a jedynie się sączą. Jednocześnie uważał, że każde pokolenie Polaków musi zademonstrować swoją wolę walki o niepodległość i poprzeć to czynem.

A „Kryjaki" Wielopolskiej służyły temu wychowawczemu celowi, choć dla niejednego czytelnika mogła być to jedynie ponura opowieść o beznadziejnej, skazanej na porażkę agonii oddziału ks. Brzóski. Jednak młodzież poruszona „agitacją militarną" Piłsudskiego – według jego własnego określenia – i garnąca się do szeregów związków strzeleckich inaczej odczytywała „Kryjaki". Dla niej była to książka o trwaniu wbrew wszystkiemu, w imię wierności idei walki o niepodległość Polski, za cenę ofiar, a nawet za cenę życia. Natomiast sam Piłsudski brał pod uwagę i to, że gdy łamiąc austriackie rozkazy, wymaszeruje do Krakowa przez Ulinę Małą w listopadzie 1914 r., zaszyje się z częścią legionistów ze swojego 1. Pułku gdzieś w lasach Podhala i będzie walczył do końca – niczym ks. Brzóska. Wierzył bowiem, że kolejna zagłada wiernych do ostatka idei walki o Polskę zainspiruje następne pokolenia.



Pomnik ks. Stanisława Brzóski w Sokołowie Podlaskim FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JMLYNIK

Piłsudski, obserwując niedostateczne poparcie społeczeństwa polskiego dla idei „agitacji militarnej" przed pierwszą wojną światową, uważał, że Polacy generalnie chcą niepodległości, choć gorzko przy tym stwierdzał: „Byleby jednak kosztowała tylko jeden grosz i jedną kroplę krwi".

Na końcu drogi ostatnich powstańców oddziału Brzóski było dużo krwi i wreszcie śmierć w bitwie lub na szubienicy. Wielopolska pisała jednak: „Nie o męczeńską śmierć chodziło, w tych czasach najłatwiejszą, ale o nierównie bardziej męczeńskie trwanie w głodzie, bólu, zamieci zdarzeń". Wbrew wszystkiemu, wbrew rozsądkowi nawet, ale dla idei niepodległości, dla jej trwania.

Taką wytrwałość, taką moc charakteru jak ks. Stanisław Brzóska – rzecz jasna, nie w tak tragicznych warunkach jak on – jednak przełamując wszelkie przeciwności losu, w tym sprzeciw współtowarzyszy z PPS-Frakcji Rewolucyjnej, wykazał właśnie Józef Piłsudski, rozpoczynając „agitację militarną", organizując związki strzeleckie. Dały one impuls do powstania Legionów Polskich, wykształciły oficerów biorących udział w wojnie z Rosją w 1920 r. i z Niemcami w latach 1939–1945. A jednym z nich był gen. Stefan Rowecki „Grot", dowódca Armii Krajowej, o którym pisze w tym numerze „Historii Do Rzeczy" Marek Gałęzowski.

Po wznowieniu Orderu Virtuti Militari w 1921 r. marszałek Piłsudski dekorował grupę weteranów powstania styczniowego tym najwyższym odznaczeniem wojennym. Gdyby Stanisław Brzóska był wówczas wśród żywych, Piłsudski z pewnością przypiąłby ten order do kombatanckiego munduru dobiegającego dziewięćdziesiątki księdza dowódcy ostatniego oddziały powstańczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CYTATY W TEKŚCIE POCHODZĄ Z PUBLIKACJI:
„Ku czci ks. Stanisława Brzóski, Franciszka Wilczyńskiego i powstańców poległych na Podlasiu. Jednodniówka na uroczystość odsłonięcia pomnika w Sokołowie Podlaskim dnia 23 maja 1925", *Sokołów Podlaski 1925;*
Krawczak T., ***„Ksiądz generał Stanisław Brzóska",*** *Pruszków–Sokołów 1995;*
Wielopolska M.J., ***„Kryjaki",*** *Warszawa 1962.*

eprasa.pl a7c1105b6a



Kibice z Soweto podczas mundialu w 2010 r. w RPA

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARCELLO CASAL JR ABR

1994–2024 / RPA po apartheidzie

Zrujnowany sen Mandeli



Anna Szczepańska

Republika Południowej Afryki po upadku apartheidu miała szansę stać się wzorem do naśladowania. Zamiast tego, kiedy tylko zabrakło Mandeli, pogrążyła się w chaosie

Szczególnie wyrazistym symbolem rozkładu instytucji państwowych w RPA były dwie kadencje Jacoba Zumy (2009–2018). Ten zuluski polityk rządzący państwem prawie przez dekadę został ze stanowiska usunięty niemal siłą, a następnie aresztowany za wielomilionowe łapówki i niejasne kontakty ze światem biznesu. Rządy Zumy na dobre zdemoralizowały południowoafrykański świat polityki i w sporej mierze także społeczeństwo.

Od ponad 30 lat Republika Południowej Afryki mierzy się z ogromnymi problemami, a konflikty społeczne zdają się narastać z każdym rokiem. Nie lepiej jest z polityczną sceną RPA.

Jednak RPA nie od razu stała się państwem dysfunkcyjnym. W 1994 r., kiedy rządy obejmował Nelson Mandela, wiele wskazywało na to, że bogate państwo na południu Afryki może osiągnąć wielki sukces i stać się inspiracją dla innych afrykańskich krajów, jeżeli chodzi o pokojowe współistnienie różnych grup społecznych i budowę silnej gospodarki.

W wyniku wyborów, które odbyły się 27 kwietnia 1994 r., władzę w RPA przejął Afrykański Kongres Narodowy (ANC). Prezydentem został Nelson Mandela, który mianował dwóch wiceprezydentów. Byli to: Thabo Mbeki oraz Frederik de Klerk, ostatni „apartheidowski" przywódca kraju, który kilka lat wcześniej, mimo sprzeciwu części rządu, postanowił podjąć dialog z partią Mandeli.

Lata zamętu

„Niezapomniane obrazy z wyborów w 1994 r. to wijące się kolejki wyborców oraz tłumy wiwatujące na inauguracji Nelsona Mandeli jako pierwszego powszechnie wybranego prezydenta kraju – pisze Rod Alence w artykule »South Africa after Apartheid: The first decade«. – Ale zaledwie kilka tygodni wcześniej takie bajkowe zakończenie wydawało się nieprawdopodobne. Wiele grup sprzeciwiających się nowemu porządkowi było zdeterminowanych, aby zakłócić wybory w RPA. Na przykład rząd byłego bantustanu Bophuthatswana blokował przygotowania do wyborów i zgodził się je przeprowadzić, dopiero gdy na ich teren wysłano wojsko. Jeszcze bardziej zło-

eprasa.pl a7c1105b6a



Kolejka do głosowania w wyborach w 1994 r.
FOT. PETER TURNLEY/CORBIS/VCG/GETTY IMAGES

wieszcza sytuacja pojawiła się w regionie KwaZulu, gdzie półtora tygodnia przed planowanymi wyborami partia Inkatha (IFP) odmawiała współpracy. W związku z plotkami o magazynach broni, które miały być rozsiane po całym regionie, wielu obawiało się krwawej konfrontacji militarnej. Ponadto w przededniu wyborów biali ekstremiści zdetonowali bombę na międzynarodowym lotnisku w Johannesburgu". A jednak, pomimo tak ogromnych emocji i rozchwiania politycznego, same wybory odbyły się w nadzwyczaj spokojnej atmosferze.

Niemniej zbrodnie popełniane przez białych przywódców RPA w czasach apartheidu były faktem i w końcu trzeba było się z nimi zmierzyć. Czarni przez kilka dekad byli dyskryminowani i poniżani. Nawet w drugiej połowie lat 80., kiedy wydawało się, że system segregacji rasowej lada chwila upadnie, na terenie RPA wciąż dochodziło do mordów i represji na tle rasowym. Wiele zbrodni popełniono za cichym pozwoleniem najwyższych władz, co wypominał de Klerkowi sam Mandela (pisaliśmy o tym w poprzednim numerze „HDR").

W 1995 r. rząd powołał Komisję Prawdy i Pojednania pod kierownictwem anglikańskiego arcybiskupa Desmonda Tutu, która miała wysłuchać zarówno ofiar reżimu apartheidu, jak i ofiar bojówek „czarnych" partii. Nie wszystkim powstanie tego organu się podobało. Niektórzy czarni widzieli w niej ugięcie się pod presją „białych rasistów", z kolei część białych była zdania, że czarni chcą się na nich mścić. Komisja starała się jednak działać sprawiedliwie. Świadczy o tym choćby to, że skazani zostali np. były premier Pieter Willem Botha i żona Nelsona Mandeli – Winnie Mandela, jako jedna z odpowiedzialnych za sianie terroru przez zbrojne ramię ANC – tzw. Włócznię Narodu.

Komisja otrzymała prerogatywy sądu. Zajmowała się sprawcami wszystkich zbrodni, a także udzieliła amnestii tym, którzy działali z przymusu lub wyjawili przed komisją wszystkie winy, składając pełne zeznania. Na 7 tys. wniosków o amnestię pozytywnie rozpatrzono 1,5 tys. Jak zauważył później Desmond Tutu, samo przyznawanie amnestii przez komisję było pomysłem tak nowatorskim, jak ryzykownym. Początkowo obawiano się reakcji społeczeństwa, lecz z czasem okazało się, że jest to dobre rozwiązanie, które sprzyja narodowemu pojednaniu. Objęcie amnestią sporej liczby osób sprawiło, że biali odczuli, iż nie stosuje się wobec nich odpowiedzialności zbiorowej. Kluczowy był także fakt, że przed komisją stanęły również osoby czarnoskóre, które po 1960 r. dopuściły się przestępstw na białych mieszkańcach RPA.

Prace komisji przebiegały bez większych zakłóceń. Wiele zbrodni z czasów segregacji rasowej ujrzało światło dzienne, winni zostali skazani (choć nie wszyscy odbyli karę), a wiele ofiar mogło poczuć, że sprawiedliwość w końcu stanęła po ich stronie. Z perspektywy czasu widać, że komisja, mimo początkowej krytyki, zrealizowała wiele założeń.

Za symbol okresu przemian można uznać turniej Pucharu Świata w Rugby, którego RPA była gospodarzem w 1995 r. Wydarzenie to zostało nawet przeniesione na ekrany kin w filmie Clinta Eastwooda pt. „Invictus – Niepokonany", gdzie w głównych rolach wystąpili Morgan Freeman i Matt Damon. Turniej stał się okazją do ścisłej współpracy między niedawnymi wrogami. RPA wystawiła „mieszaną" drużynę, a wszyscy mieszkańcy zjednoczyli się, kibicując swoim rodakom. Był to bez wątpienia duży sukces Mandeli, który osobiście zaangażował się w sprawę, a na meczu finałowym pojawił się w koszulce „Springboksów" (tak nazywa się w RPA drużynę narodową w rugby).

Postawa ludzi takich jak Mandela czy Tutu, nawołujących do pojednania i porzucenia zemsty oraz przemocy, sprawiła, że proces „transformacji", czyli pierwsze miesiące po dojściu do władzy ANC, upłynął dość spokojnie. Obaj otrzymali zresztą Pokojowe Nagrody Nobla: Tutu już w 1984 r. za bezkrwawe przeciwstawianie się apartheidowi, a Mandela w 1993 r. za podjęcie rozmów z Partią Narodową i próbę pojednania mieszkańców RPA.

Zmarnowane szanse

W roku 1994 wybrano pierwszy „postapartheidowski" parlament składający się ze Zgromadzenia Narodowego i Narodowej Rady Prowincji. Równolegle rozpoczęto prace nad konstytucją. Do czasu jej uchwalenia (wiele zastrzeżeń wysuwała zwłaszcza zuluska partia Inkatha, co sprawiło, że ustawę zasadniczą przyjęto ostatecznie dopiero pod koniec 1996 r.) obowiązywała konstytucja tymczasowa. Na jej mocy prawo wyborcze przyznano wszystkim obywatelom RPA powyżej 18. roku życia, a także m.in. zlikwidowano bantustany, przyznano szerokie uprawnienia władzom prowincji oraz wdrożono przepisy, dzięki którym czarni mogli odzyskać część ziemi zabraną im w czasach apartheidu.

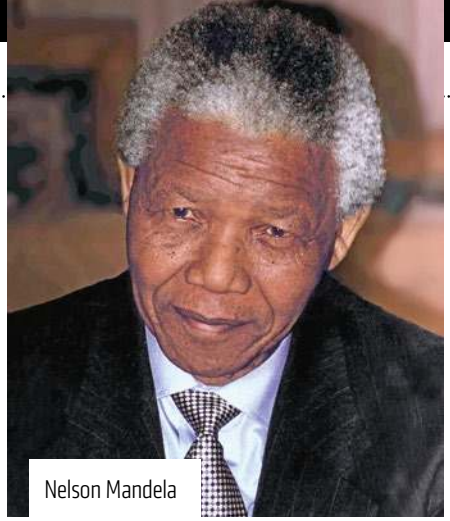
Nie sposób wymienić wszystkich wyzwań, przed którymi stanął nowo wybrany parlament. Kraj, w którym do niedawna większość czarnych mieszkała w bantustanach, musiał zostać zbudowany na nowo. Biali i czarni musieli nauczyć się żyć obok siebie i działać wspólnie dla dobra kraju. Była to zupełnie inna sytuacja niż w przypadku państw kolonialnych, kiedy metropolia wycofywała się z kolonii, zostawiając władzę w rękach czarnoskórych mieszkańców. RPA

eprasa.pl a7c1105b6a

była i jest dla Afrykanerów taką samą ojczyzną, jak dla czarnej większości. Przodkowie milionów Burów osiedlali się na południu Afryki już w wiekach XVII–XVIII. Ich żyjący pod koniec wieku XX potomkowie nie znali innego miejsca do życia. Jednak i tak, z obawy przed zemstą czarnych sąsiadów, w ciągu pierwszej dekady z RPA wyjechało ok. 250 tys. białych, co bardzo negatywnie wpłynęło na sytuację gospodarczą.

Szczególnie trudna była koegzystencja niedawnych śmiertelnych wrogów. Czarnoskórzy, którzy walczyli w bojówkach ANC czy innych partiach, po 1994 r. mieli dołączyć do wojska, policji i innych południowoafrykańskich służb, które były filarami apartheidu. To naturalnie rodziło wiele napięć.

Państwo borykało się też z wieloma problemami gospodarczymi. Chociaż kraj na tle Afryki był dobrze rozwinięty, to nowa sytuacja generowała problemy, np. przygotowanie nowych miejsc pracy dla czarnych. W 1994 r. w 40-milionowym wtedy kraju bezrobocie przekraczało 30 proc. Ponad połowa ludzi nie miała dostępu do energii elektrycznej, a jedna czwarta do czystej wody. Powszechny był analfabetyzm; większość czarnych dzieci nie uczęszczała do szkoły. Aby sytuacja ekonomiczna zaczęła się poprawiać, ANC zrezygnowała z części wcześniejszych socjalistycznych postulatów, stawiając na gospodarkę wolnorynkową i starając się o pomoc zagraniczną.



Nelson Mandela

FOT. JOHN MATHEW SMITH 2007/WIKIPEDIA/CC BY-SA 2.0

Wraz z otwarciem demokratycznego rozdziału swoich dziejów RPA stanęła wobec zagrożenia, które wcześniej było pomijane – epidemii wirusa HIV. W 1994 r. aż 10 proc. obywateli było zarażonych HIV lub chorowało już na AIDS. Za czasów Mandeli problem ten został niemal zupełnie zbagatelizowany, przez co liczba zarażonych osób tylko wzrastała. Bez większych rezultatów mierzył się z tym problemem kolejny prezydent – Thabo Mbeki. Jego opieszałość spotkała się nawet z międzynarodową krytyką.

Nelson Mandela wycofał się częściowo z życia politycznego w 1996 r. Wtedy szefem ANC został Mbeki, który przejął de facto obowiązki głowy państwa. Trzy lata później jego partia umocniła się w parlamencie, a on został wybrany na prezydenta. Mbeki był zręcznym politykiem, który umiał dogadać się z różnymi partiami opozycyjnymi. Za jego rządów kontynuowano wcześniejsze reformy, udało się też obniżyć bezrobocie. Była to jednak krótkotrwała poprawa. Ludziom, szczególnie czarnym, z wyjątkiem małej grupy beneficjentów „systemu", wcale nie żyło się dużo lepiej. Nierówności społeczne wciąż wzrastały. Choć pojawiały się nowe miejsca pracy i nowe możliwości edukacyjne, a ludzie z prowincji zaczęli napływać to miast, to nie mieli tam gdzie mieszkać. Zbyt małe pensje nie pozwalały im na zakup mieszkania czy budowę domu. Na obrzeżach dużych ośrodków miejskich zaczęły więc powstawać slumsy, gdzie do dziś miliony ludzi wegetują, próbując związać koniec z końcem za niewielkie wynagrodzenia.

80 proc. kapitału państwowego w RPA po 1994 r. znalazło się w rękach bardzo wąskiej, kilkuprocentowej grupy ludzi. Podobnie było z ziemią. Większość gruntów należała do 10 proc. mieszkańców kraju. Niewiele lepiej jest zresztą dzisiaj.

„Tęczowy naród", jak Południowoafrykańczycy sami siebie nazwali po 1994 r. (w kraju obowiązuje 11 języków urzędowych), dzięki bogatym złożom surowców, korzystnemu położeniu geograficznemu (porty) i turystyce prosperuje i tak lepiej niż zdecydowana większość afrykańskich społeczeństw. Biorąc jednak pod uwagę powyższe czynniki, poziom życia mieszkańców RPA powinien być dużo wyższy. Winę za to, że tak się nie dzieje, ponosi m.in. korupcja. Ten problem zaczął narastać, szczególnie gdy na szczytach władzy jako wiceprezydent (za rządów Thabo Mbekiego) znalazł się Jacob Zuma.



Biskup Desmond Tutu oraz członkowie Komisji Prawdy i Pojednania FOT. BENNY GOOL - ORYX MEDIA/DESMOND TUTU PEACE CENTRE

Zachować pozory

Dekadę po pokojowej transformacji w RPA zostało bardzo niewiele z marzeń i ideałów, które przyświecały Nelsonowi Mandeli.

Kraj mógł się „pochwalić" jednym z największych wskaźników przestępstw na świecie. „Łatwiej tu zostać zabitym, niż zginąć w wypadku samochodowym" – pisał dla „The Guardian" Chris McGreal, korespondent gazety w Johannesburgu. Szczególnie głośne było zabójstwo byłej pierwszej damy, Marike de Klerk, którą w 2001 r. udusił 21-letni czarnoskóry ochroniarz. Przez pierwsze 10 lat po transformacji co roku dochodziło w RPA do ok. 21 tys. zabójstw i 50 tys. gwałtów.

eprasa.pl a7c1105b6a



Drużyna rugby z RPA, zdobywcy Pucharu Świata w 1995 r.
FOT. TONY HENSHAW/REUTERS/FORUM

Ofiarami gwałtów były także dzieci, głównie dlatego, że ktoś rozpuścił chorą plotkę, jakoby seks z dziewicą mógł uleczyć z AIDS.

Coraz bardziej palącym problemem stawała się kwestia odebrania ziemi białym. W 1994 r. wyjęto tę sprawę z negocjacji między ANC i Partią Narodową. Tylko część gruntów trafiła wtedy w ręce czarnoskórych. Z czasem czarni obywatele RPA coraz głośniej zaczęli domagać się zabrania białym ich farm. Ta sprawa nabrała szczególnej mocy, kiedy w sąsiednim Zimbabwe prezydent Robert Mugabe zdecydował się wywłaszczyć niemal wszystkich białych. Część radykalnie nastawionych czarnych domagała się od władz RPA podjęcia takiej samej decyzji. Niektórzy egzekwowali swoje żądania na własną rękę, napadając na farmy należące do białych i mordując ich właścicieli (w ciągu pierwszej dekady zabito ok. 1,5 tys. białych farmerów). Rząd bagatelizował te problemy i wiele śledztw nie przyniosło żadnych ustaleń.

W 2005 r. wiceprezydent Jacob Zuma został odwołany ze stanowiska przez Mbekiego. Zumie postawiono zarzuty korupcyjne, w tym przyjmowanie łapówek od przemysłu zbrojeniowego. Ponadto był on oskarżony o gwałt.

Jego sprawa ciągnęła się kilka kolejnych lat. Oskarżenia o gwałt zostały szybko wyciszone (na marginesie dodajmy, że Zuma praktykuje wielożeństwo i chwali się posiadaniem wielu partnerek seksualnych), a sprawa związana z korupcją została po czasie oddalona jako „motywowana politycznie". W tym czasie Zuma wciąż był członkiem ANC i zasiadał w Zgromadzeniu Narodowym, a jego notowania w partii – to nie żart – znacząco wzrosły. Był to przecież człowiek z ludu. Może niewykształcony i rubaszny, ale tym bardziej „swój".



Jacob Zuma
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ETIENNE ANSOTTE

W końcu parlament RPA zmusił Mbekiego do rezygnacji z urzędu. „Tymczasowym" przywódcą, do czasu kolejnych wyborów parlamentarnych, został wybrany, z namaszczenia Zumy, Kgalema Motlanthe. W 2009 r. już oficjalnie głową państwa został Zuma, a jego ludzie szybko obsiedli wszystkie ministerstwa.

Rok 2010 minął pod znakiem mistrzostw świata w piłce nożnej. RPA pokazała się jako kraj ludzi tolerancyjnych i otwartych. Prawda nie była jednak tak kolorowa i radosna, jak wuwuzele na południowoafrykańskich stadionach. Zuma stworzył w kraju sieć mało transparentnych powiązań, związał się z bogatą indyjską rodziną Guptów, która wybudowała mu pałac na Półwyspie Arabskim, podejrzewano go o przyjmowanie wielomilionowych łapówek. Odchodził ze stanowiska niemal dekadę później w atmosferze skandalu, choć nadal miliony ludzi go uwielbiały: „Może i kradł, ale był »nasz«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Protest przeciw prezydentowi Zumie, Kapsztad, 2017 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DISCOTT

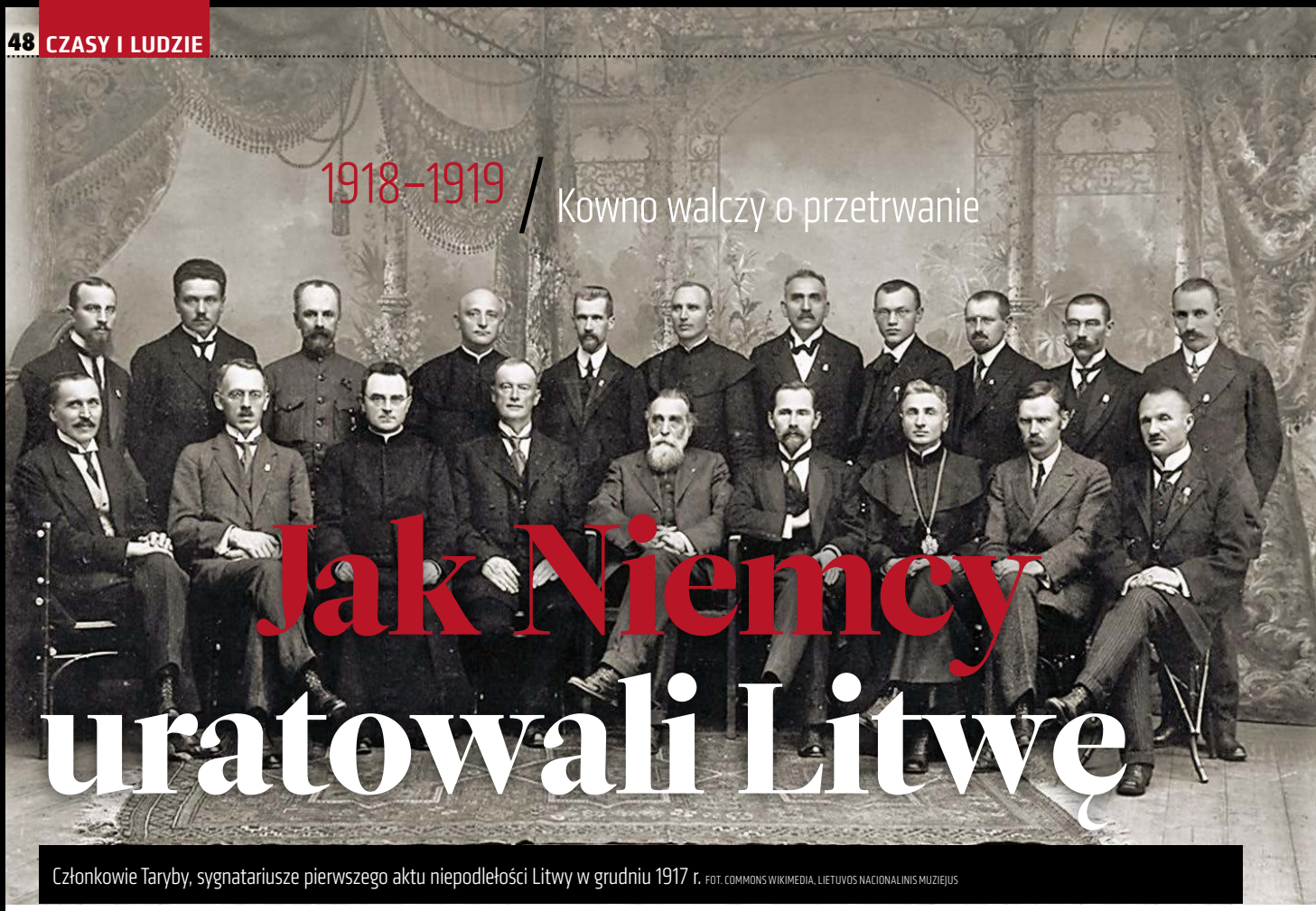
WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Alence R., ***„South Africa after Apartheid: the first decade"***, *„Journal of Democracy" 2004, nr 15; McGreal C.*, ***„How South Africa's former first lady met a violent, lonely and bitter end"***; *Wright R.*, ***„Mandela's dream for South Africa is in ruins".***

eprasa.pl a7c1105b6a

1918–1919 / Kowno walczy o przetrwanie

Jak Niemcy uratowali Litwę



Członkowie Taryby, sygnatariusze pierwszego aktu niepodległości Litwy w grudniu 1917 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIETUVOS NACIONALINIS MUZIEJUS



Arkadiusz Karbowiak

Bolszewicy byli bliscy zgniecenia odradzającej się Litwy. Niemcy udzielili wówczas Litwinom bezcennej pomocy, ale Kowno szybko odcięło się od swoich zbawców

Zajęcie ziem litewskich w 1915 r. przez oddziały armii niemieckiej spowodowało w tamtejszym społeczeństwie wzrost nastrojów patriotycznych. Coraz powszechniejsze stawało się wśród Litwinów oczekiwanie, że powstanie ich własne państwo. Mimo początkowego dystansu wobec tych nastrojów niemieckie władze okupacyjne doszły do przekonania, że warto, w dobrze pojętym interesie Rzeszy, je wykorzystać. Dlatego wyrażono zgodę na zorganizowanie w dniach 18–22 września 1917 r. zjazdu przedstawicieli środowisk niepodległościowych w Wilnie, na którym powołano do życia 25-osobową Lietuvos Taryba, czyli Radę Litewską. Na przewodniczącego tego gremium wybrano późniejszego prezydenta Litwy Antanasa Smetonę.

14 grudnia 1917 r. Taryba ogłosiła deklarację o przywróceniu Litwie niepodległości. W dokumencie wspominano także o ustanowieniu wiecznych więzów sojuszniczych pomiędzy Litwą a Niemcami. Nie u wszystkich działaczy ta formuła budziła akceptację, stąd 16 lutego 1918 r. Taryba ogłosiła po raz drugi Akt niepodległości Litwy, tym razem bez passusu dotyczącego sojuszu z Niemcami. To z kolei wywołało negatywną reakcję ze strony niemieckiej, która nie dopuściła do opublikowania dokumentu w prasie. Ostatecznie pod presją Niemców Litwini potwierdzili, że obie deklaracje mają równorzędny charakter i 23 marca 1918 r. cesarz Wilhelm II w imieniu Rzeszy uznał de iure państwo litewskie. W lipcu 1918 r. Tarybę przekształcono w Radę Państwową Litwy, która ogłosiła kraj monarchią konstytucyjną. Na jej czele, jako Mendog II, stanął książę wirtemberski Wilhelm von Urach.

Nowy władca nie zdążył pojawić się na Litwie, ponieważ ponoszone przez Niemców klęski militarne na froncie zachodnim zmusiły Tarybę do zmiany dotychczasowego kierunku polityki zagranicznej i wewnętrznej. Postanowiono zdystansować się od upadającej Rzeszy, a 2 listopada 1918 r. wprowadzono republikańską konstytucję. 11 listopada, w dniu ogłoszenia rozejmu kończącego pierwszą wojnę światową, utworzony został rząd pod wodzą Augustinasa Voldemarasa. Starał się on objąć swą kontrolą całość obszaru, do którego Litwini wysuwali roszczenia terytorialne.

Te działania szybko zderzyły się z realiami powojennej Europy – państwa

eprasa.pl a7c1105b6a

narodowe tworzone na gruzach upadających imperiów zaczęły toczyć między sobą zmagania o nowe granice. Dla Litwy sporym wyzwaniem okazała się rywalizacja z odrodzoną Polską, jednak najpoważniejsze zagrożenie dla młodej państwowości litewskiej widać było na Wschodzie. Bolszewicy postanowili utworzyć w ościennych krajach rządy komunistyczne, które w chwili zagrożenia mogłyby wezwać na pomoc oddziały Armii Czerwonej. Taki scenariusz rozegrał się również na Litwie, gdzie 8 grudnia 1918 r. działacze Komunistycznej Partii Litwy i Białorusi powołali Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Robotniczo-Włościański. Na jego czele stanął litewski bolszewik Vincas Mickevičius-Kapsukas.

Powstały gabinet tworzyło ośmiu członków: dwóch Żydów, jeden Polak i pięciu Litwinów. Czerwony rząd wydał 16 grudnia 1918 r. manifest, w którym ogłosił powstanie Litewskiej Republiki Rad, następnie przekształconej w Sowiecką Socjalistyczną Republikę Litwy i Białorusi (Litbieł), oraz podkreślił ścisłe więzy łączące ją z Rosją bolszewicką. Władze leninowskie zdecydowały o udzieleniu republice militarnego wsparcia. Tego dnia złożona w znacznej mierze z Polaków Dywizja Zachodnia Armii Czerwonej wkroczyła na dzisiejszą Litwę, zajmując Święciany i Jeziorosy, a dzień później Utenę. Do akcji weszła także 6. Dywizja Pskowska przemianowana później na Litewską Dywizję Strzelecką. Liczyła ona 2473 bagnetów i 65 szabel, wspieranych ogniem 78 karabinów maszynowych, 9 dział artyleryjskich i 8 samolotów. Wspomagała ją Międzynarodowa Dywizja Strzelecka, w której służyła duża grupa czerwonych Łotyszy.

Saksońscy ochotnicy

Państwo litewskie początkowo nie posiadało własnych sił zbrojnych, choć 23 listopada 1918 r. ministerstwo obrony wydało rozporządzenie w tej sprawie. Proces tworzenia armii nabrał tempa w grudniu 1918 r., po objęciu funkcji premiera Litwy przez Mykolasa Sleževičiusa. Wydał on 29 grudnia 1918 r.



Mendog II – książę Wilhelm Karl von Urach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KAEMMER. DE

odezwę zachęcającą mieszkańców Litwy do wstępowania w szeregi nowo powstającej armii.

Początkowo werbunek ochotników szedł bardzo opornie. O sukcesie można było mówić tylko w kilku większych miastach. Do końca stycznia w szeregi wojska wstąpiło ok. 3 tys. wolontariuszy. Największe braki kadrowe zanotowano w korpusie oficerskim, ponieważ zgłosiło się do niego tylko 400 ludzi (na planowaną liczbę 1 tys. oficerów). Posiadali oni w większości doświadczenie bojowe zdobyte podczas Wielkiej Wojny w służbie armii rosyjskiej. Była to jednak kropla w morzu potrzeb. Widząc małe zainteresowanie służbą w armii, rząd ogłosił 13 lutego 1919 r. powszechny pobór. Żołnierzy dodatkowo starano się zmotywować, ogłaszając dekret o reformie rolnej. Ziemia miała być odebrana dotychczasowym właścicielom – często



Mykolas Sleževičius

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, URM LT

Polakom – i przyznana po wojnie żołnierzom walczącym w obronie ojczyzny.

Początkowe niskie stany osobowe wojska litewskiego spowodowały, że znajdująca się w fazie tworzenia armia nie była w stanie stawić czoła liczącym 20 tys. żołnierzy oddziałom bolszewickim. Do końca stycznia 1919 r. opanowały one dwie trzecie terytorium Litwy. Naród litewski był zbyt słaby, by uratować swój niepodległy byt, więc potrzebował wsparcia z zewnątrz. Rząd kowieński postanowił wrócić na ścieżkę współpracy z Niemcami. Berlin jako jedyny dysponował pewnymi możliwościami militarnymi w tej części Europy. Rozumiały to państwa ententy i w obawie przed rozlaniem się „bolszewickiej zarazy" na resztę kontynentu zmusiły stacjonującą na Wschodzie armię niemiecką do stworzenia swoistego antybolszewickiego wału ochronnego.

Jednak znajdujący się pod wpływem bolszewickiej propagandy żołnierze niemieccy marzyli wyłącznie o powrocie do domu. Notowano nawet przypadki przekazywania broni komunistycznym bojówkom. Dowódca niemieckiej 10. Armii gen. Erich von Falkenhayn 22 grudnia 1918 r. raportował do Berlina, że stopień demoralizacji osiągnął taką skalę, iż nie ma szans na przeciwstawienie się bolszewikom. Generał sugerował przysłanie nowych jednostek z Rzeszy.

Wystąpienie rządu kowieńskiego z prośbą o udzielenie pomocy spotkało się ze strony socjaldemokratycznych władz w Berlinie z przychylną reakcją. 3 stycznia 1919 r. Niemcy ogłosili, że wspomogą Litwinów bronią i amunicją oraz pożyczką w kwocie 3 mln marek.

28 stycznia zawarto w tej sprawie stosowne porozumienie. Jednocześnie za aprobatą ministra obrony Gustava Noskego powstało tzw. Anwerbestelle Baltenland, czyli biuro rekrutacyjne. Saksońscy ochotnicy stali się główną siłą uderzeniową rządu litewskiego. Początkowo wcielono ich do 46. Dywizji Landwehry, którą dowodził gen. Walter von Eberhardt, a potem od kwietnia służyli w trzypułkowej Brigade Süd-Litauen. Wszyscy ochotnicy otrzymywali 4 marki dziennego żołdu. Najkrótszy okres, na jaki się można było zaciągnąć, wynosił trzy miesiące. Jednostki saksońskie, choć dowodzone były przez niemieckich

eprasa.pl a7c1105b6a



Józef Piłsudski w Mińsku, sierpień 1919 r.
FOT. LIBRARY OF CONGRESS

oficerów, jednak podlegały dowódcy armii litewskiej.

Bez wątpienia pomoc niemiecka w początkowej fazie wojny litewsko-bolszewickiej, gdy oddziały litewskie znajdowały się w fazie powstawania, przesądziła o uratowaniu litewskiej niepodległości. Jeszcze w pierwszych dniach lutego 1919 r. wydawało się, że los Litwy jest przesądzony. Armia Czerwona rozpoczęła wówczas ofensywę na Kowno. Doszło wtedy do kilku przełomowych bitew. Jedną z nich było starcie pod miejscowością Jezno stoczone w dniach 9–11 lutego 1919 r. Ostatecznie zakończyło się ono zwycięstwem Litwinów, ale początkowo nic na to nie wskazywało – na skutek zdrady jednego z dowódców do niewoli bolszewickiej dostało się 33 żołnierzy, a 18 zginęło. Dopiero przybycie Niemców zmieniło sytuację i doprowadziło do wyparcia bolszewików z miasta. Podobnie pozytywny rezultat miała dla obrońców bitwa pod Kiejdanami (8–10 lutego), w której walczyły oddziały litewskich ochotników.

Bardziej przełomowe znaczenie miały walki o miasto Alytus. Bolszewicy zdobyli je 13 lutego 1919 r. Tego dnia poległ na miejskim moście por. Antanas Juozapavičius, pierwszy oficer armii litewskiej, który zginął podczas zmagań z Armią Czerwoną. Dwa dni później Litwini wspierani przez niemiecki pociąg pancerny odbili dawną Olitę, przekreślając ostatecznie sowieckie plany opanowania Kowna. Od tego momentu bolszewicy zaczęli ponosić na froncie systematyczne klęski. Osłabiły one znacznie morale Armii Czerwonej, jej żołnierze utracili wiarę w zwycięstwo.

Kołchozowe plany

Nie tylko na froncie, lecz także na zapleczu Litbiełu sytuacja systematycznie ulegała pogorszeniu. Litewscy komuniści, których liczba oscylowała na poziomie 1,3 tys. osób (reszta, ok. 3 tys., przybyła z Rosji), nie potrafili zaspokoić oczekiwań litewskiego społeczeństwa. Zasadniczym punktem zapalnym była kwestia reformy rolnej i przekazania ziemi w ręce rolników. Taka koncepcja lansowana przez rząd kowieński spotkała się ze zdecydowanym oporem ze strony komunistów litewskich, którzy – choć ziemię upaństwowili – nie zamierzali jej rozdzielać pomiędzy chłopów, próbując stworzyć coś na kształt późniejszych kołchozów. Takie postępowanie wywołało oczywiście niezadowolenie. Było ono potęgowane przez głód wynikający z nieumiejętnego zarządzania gospodarką rolną. Plagą na wsi były ciągłe kontrybucje i konfiskaty. Brak zrozumienia dla spraw związanych z rolnictwem i poruszanie problematyki robotniczej w kraju, gdzie większa część społeczeństwa żyła z uprawy ziemi, spowodowały, że komuniści ponieśli klęskę na polu propagandowym. Skutkowało to koniecznością ciągłego opierania się na bolszewikach, co pozwoliło litewskim środowiskom antykomunistycznym zaprezentować Litbieł jako obcy twór narzucony przez Moskwę.

Dodatkowo sami komuniści litewscy nie wykazywali dostatecznego zrozumienia dla kwestii narodowej i nie widzieli powodów dla podkreślania konieczności budowania państwa niezależnego od Rosji bolszewickiej. Nie oznacza to jednak, że władze komunistyczne na terytorium Litwy ustanawiane były wyłącznie przez bolszewików z Rosji. W wielu miejscowościach utworzone zostały komitety rewolucyjne złożone z przedstawicieli miejscowej społeczności. Na północy Litwy doszło nawet do prób siłowego przejmowania ziemskiej własności prywatnej. Zdarzały się też, choć rzadko, napady i zabójstwa właścicieli ziemskich oraz zabójstwa bogatych rolników. Komitety tworzyły na ogół swoje struktury paramilitarne.

Podobnie rzecz wyglądała po stronie rządowej. Na obszarze Litwy Północno-Zachodniej działało ok. 30 oddziałów partyzanckich. Ze względu na ograniczone kontakty z Kownem (albo i zupełny brak komunikacji z centralą) prowadziły one działalność autonomiczną. Jednym z bardziej znanych był oddział braci Povilasa i Aleksandrasa Plechavičiusów, działający w okolicach Możejek i Sedy. Jego członkowie uzbrojenie otrzymali od Niemców i bronili miejscowej ludności zarówno przed bolszewikami, jak i przed



Generał Pawieł Bermondt-Awałow ze sztabem, Mitawa, czerwiec 1919 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl a7c1105b6a



Samoloty armii Bermondta-Awałowa zdobyte przez Litwinów pod Radziwiliszkami FOT. COMMONS WIKIMEDIA

bandami rabunkowymi. Co ciekawe, por. Povilas Plechavičius formalnie posiadał upoważnienie do reprezentowania władz rządowych wydane przez Tarybę w 1918 r. Jego grupa zaciekle walczyła z bolszewikami, wyzwalając pod koniec lutego 1919 r. Możejki i Sedę. „Plechowcy" wspomagani przez Niemców wypychali systematycznie bolszewików ze Żmudzi. Sukcesy Povilasa Plechavičiusa spowodowały, że zaczęto go nazywać Władcą Żmudzi. Ciągnęła się za nim sława okrutnego dowódcy. Według różnych danych z ręki jego podwładnych śmierć miało ponieść w egzekucjach od 50 do 60 bolszewików, ich sympatyków, a także członków ich rodzin. Nie zablokowało to jednak Plechavičiusowi kariery wojskowej, ponieważ w 1927 r. został szefem sztabu armii litewskiej.

Nie tylko Plechavičius słynął z twardej ręki wobec bolszewików. Innym znanym z tego dowódcą był płk Vincas Grigaliūnas-Glovackis. Sąd polowy w Rokiszkach (z dowodzonego przez niego 2. Pułku Piechoty) skazał na karę śmierci 130 osób. Wśród skazanych znaleźli się także dwaj politycy socjaldemokratyczni. Wątpliwości co do słuszności wydawanych wyroków doprowadziły do aresztowania pułkownika, choć jego podwładnym udało się go uwolnić. Formalnie dopiero po interwencji Antanasa Smetony wycofano akt oskarżenia wobec niego. Ogółem oblicza się, że terror antybolszewicki na Litwie pochłonął ok. 300 ofiar. Natomiast czerwony terror na Litwie był incydentalny i pociągnął za sobą śmierć ok. 100 osób. Nieznana jest za to liczba ofiar egzekucji dokonanych przez oddziały niemieckie. Wiadomo, że Saksończycy rozpędzili wiele komunistycznych komitetów, uciekając się czasami do represji. Tak stało się w Mariampolu i Kiejdanach, gdzie doszło do egzekucji 34 bolszewików.

Rozrost litewskiej armii i odnoszone przez nią zwycięstwa, a także rekwizycje dokonywane przez Niemców oraz pojawienie się na Litwie wojskowych misji alianckich skłoniły władze litewskie do kolejnej rewizji swej dotychczasowej polityki opartej o pomoc niemiecką. O ile relacje litewsko-niemieckie na najwyższym szczeblu dowódczym były poprawne, a wręcz przyjacielskie, o tyle już na niższych poziomach dowodzenia były one raczej chłodne. Napięcia szczególnie wzmagały wspomniane niemieckie rekwizycje, na które negatywnie reagowała litewska ludność cywilna.

Złe emocje pogłębiły się w chwili przybycia wojskowych i humanitarnych misji alianckich. Pojawienie się w Kownie 15 marca 1919 r. delegacji amerykańskiego Czerwonego Krzyża wywołało niezwykły entuzjazm wśród Litwinów. Amerykanów ulokowano w hotelu Metropolis, który udekorowano flagami USA. Podobny entuzjazm towarzyszył przyjazdowi delegacji francuskiej. Litewscy żołnierze pełnili warty przed budynkami, gdzie wisiały flagi państw ententy. Irytowało to Niemców, którzy zniszczyli w końcu te flagi oraz dopuścili się zabójstwa litewskiego wartownika Pranasa Eimutisa. W efekcie rząd kowieński poprosił Niemców o wycofanie swoich oddziałów z linii frontu, co nastąpiło na początku czerwca 1919 r. (w połowie lipca całkowicie opuściły one Litwę, przemieszczając się do Prus Wschodnich i na Łotwę).

Polskie ciosy

Ostateczne ciosy militarne, które spowodowały kres istnienia Litbiełu, zadały oddziały Wojska Polskiego prowadzące działania ofensywne na terenach Białorusi – Polacy 8 sierpnia 1919 r. wkroczyli do Mińska. W tym samym czasie armia litewska całkowicie wyparła bolszewików z Litwy Kowieńskiej.

Ostatnim poważnym zagrożeniem dla niepodległości Litwy po wyparciu Armii Czerwonej były białogwardyjskie formacje podporządkowane mieszczącemu się w Berlinie zachodniorosyjskiemu rządowi gen. Wasilija Biskupskiego. Na czele tych jednostek stał płk Paweł Bermondt-Awałow. Bermontowcy pojawili się na Litwie 26 lipca 1919 r. Dowodził nimi płk Jewgienij Wirgolicz.

Obok jednostek bermontowców na terytorium Litwy przybyli również Niemcy (przeszli z terytorium Łotwy), choć relacje między nimi a białymi Rosjanami nie zawsze były idylliczne. Początkowo płk Wirgolicz w obliczu protestów próbował załagodzić sytuację, rozpoczynając rozmowy ze stroną litewską. Jednak zbrojna konfrontacja była nieunikniona. 9 września 1919 r. doszło do pierwszych walk na stacji kolejowej w Radziwiliszkach, gdzie Rosjanie rozbroili litewskich wartowników. Po długich negocjacjach 15 listopada 1919 r. Litwę opuściły współpracujące z bermontowcami oddziały niemieckie.

W dniach 21–22 listopada Litwini zaatakowali Rosjan pod Radziwiliszkami. Szef Komisji Międzysojuszniczej gen. Henri Niessel wymusił na dowódcach armii litewskiej wstrzymanie działań wojennych, obawiając się, że zajęcie tego punktu spowoduje przecięcie linii Szawle – Taurogi i zastopuje proces wycofywania się wojsk niemieckich z Łotwy. Bermontowcy w poczuciu bezkarności dokonywali w miejscach swego postoju licznych zbrodni. W Szawli rozstrzelali dziewięć osób, a 17 powiesili. Przeciw plądrującym grabieżcom wystąpiły litewskie oddziały partyzanckie. Ostatecznie 15 grudnia armia litewska wyparła z Litwy ostatnie jednostki bermontowców.

W lipcu 1920 r. Litwa podpisała traktat pokojowy z Rosją bolszewicką. Jego zapisy dotyczące przejęcia przez Litwinów Wilna przekreśliły tzw. bunt Żeligowskiego i zajęcie Wileńszczyzny przez oddziały Wojska Polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Balkelis T., ***„Deutsche Freiwilligenverbände in Litauen 1919"****, „Annaberger Annalen" 2019, nr 27; Balkelis T.,* ***„War, Revolution, and Nation-Making in Lithuania. 1914–1923"****; Vitkus G. (red.),* ***„Wars of Lithuania".***

eprasa.pl a7c1105b6a



Giovanni Battista Tiepolo „Wenecja przyjmuje hołd Neptuna" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC DOŻÓW W WENECJI

VIII–XVIII w. / Potęga dożów

Imperium z lagun



Sławomir Koper

Wenecjanie przez stulecia dominowali we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Ich państwo było najdłużej trwającą republiką w dziejach

Rzymianie nie myśleli na poważnie o stałym zasiedleniu malarycznej laguny, a ci, którzy tam przybywali, uciekając przed hordami barbarzyńców, wracali do domów natychmiast po ustąpieniu zagrożenia. Sytuacja zmieniła się w 452 r., gdy północna Italia padła ofiarą najazdu Hunów. Część uchodźców z Akwilei założyła na lagunach stałe osady. Z czasem połączyły się one w jedno miasto.

Za rządów Justyniana (527–565) Wenecja oficjalnie uznawała zwierzchnictwo Konstantynopola i jeszcze 100 lat później stacjonował tam garnizon bizantyjski. W 697 r. miasto wyodrębniło się w samodzielny okręg administracyjny uznający władzę cesarza, a miejscowi kupcy rozpoczęli penetrację handlową wschodniej części Morza Śródziemnego. Podczas wojen z Arabami Republika Świętego Marka wspomagała Konstantynopol, stanęła też po stronie Bizancjum w sporze z Karolem Wielkim. W zamian władze znad Bosforu zagwarantowały sojusznikom przywileje handlowe, a przywódcy weneccy przyjmowali honorowe tytuły dworskie. Arystokracja z lagun chętnie odwiedzała stolicę cesarstwa i nawiązywała tam cenne kontakty.

W 726 r. po raz pierwszy wybrano w mieście dożę – dożywotniego księcia Wenecji. Pomimo splendoru związanego z tytułem było to wyjątkowo niebezpieczne stanowisko. Żaden z pierwszych siedmiu władców nie zakończył panowania w sposób naturalny: trzech zamordowano, trzech wygnano, a jednego oślepiono. W 803 r. rozpoczęto budowę kościoła św. Marka, a w 892 r. oddana została do użytku jego słynna dzwonnica. Te daty można umownie określić jako narodziny niezależnego państwa weneckiego.

Narodziny potęgi

Przez długie lata Wenecjanie nie mieli ambicji, by stać się potęgą militarną – od samego początku stawiali na handel. Umiejętnie lawirowali pomiędzy cesarstwem niemieckim i bizantyjskim, a ich najważniejszym celem był rozwój floty. Unikano niepotrzebnych wojen, ważniejsze były dla nich przywileje handlowe. Wenecjanie kierowali się trzeźwym pragmatyzmem i doskonale potrafili kalkulować zyski i straty.

W drugiej połowie X w. republika zaczęła się uniezależniać od Konstantynopola. Pewne formy podległości przetrwały wyłącznie z powodu weneckiego pragmatyzmu, ponieważ sprytni kupcy nie zamierzali tracić zysków z handlu dla drobiazgów bez większego znaczenia. Jedynie w dziedzinie kultury miasto pozostawało pod faktycznymi wpływami Bizancjum. We wschodnim stylu wznoszono pałace i kościoły, budowle ozdabiano bizantyjskimi mozaikami. Według wzorów z Konstantynopola powstawały okręty, a w magazynach składowano bizantyjskie towary. Wenecja przestała być jednak wasalem cesarza, przechodząc do roli partnera oraz cennego (słono liczącego sobie za pomoc) sojusznika.

Coraz większym problemem stawali się piraci z Dalmacji, których działalność groziła paraliżem szlaków handlowych. W walkach z nimi w 887 r. zginął doża Pietro Candiano i od tego czasu władze miasta składały korsarzom coroczną daninę, by zapewnić bezpieczeństwo swoim statkom i okrętom. Ostatecznie zdecydowano się na siłowe rozwiązanie, a przy okazji postanowiono też podporządkować miasta z Dalmacji, co miało zabezpieczyć interesy kupców z Rialto (centralny obszar Wenecji) na wschodnim wybrzeżu Adriatyku.

eprasa.pl a7c1105b6a



Pałac Dożów i kampanila bazyliki św. Marka FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIDIER DESCOUENS

Wyprawa morska zorganizowana w 1000 r. przez dożę Pietra Orseolo zakończyła się ogromnym sukcesem. Wenecką zależność uznały: Poreč, Zadar, Biograd, Trogir i Split oraz wyspy: Cres, Rab, Krk i Hvar. Dzieła Orseolo dokończyli jego następcy, ostatecznie poskramiając piratów z ujścia Neretwy, dzięki czemu Wenecja stała się na Adriatyku dominującą siłą, a dożowie przyjęli tytuł książąt Dalmacji.

Wschodnie wybrzeże Adriatyku odgrywało zresztą ogromną rolę w życiu miasta na lagunach. Dalmacja była zasobna w konopie i len, a od wieków słynęła jako producent wina i oliwy. Dla Republiki Świętego Marka specjalne znaczenie miały tamtejsze lasy, gdyż budynki w Wenecji wznoszono na fundamentach z drewnianych pali, które woda morska znakomicie konserwowała. Do dziś pałace nad Canal Grande stoją na pniach z czarnego dębu pochodzącego z Dalmacji.

Czas krucjat

Pod koniec XI w. coraz większego znaczenia dla Republiki Świętego Marka nabierało pośrednictwo w handlu. Korzystne umowy gwarantowały powstawanie weneckich faktorii i targowisk, kupcy z lagun przejmowali całe dzielnice nadmorskich miast. Rywalizację handlową wygrywali dzięki niewielkim marżom – nastawiali się na duży obrót. Za sprawą kupców z Rialto na zachód płynęły luksusowe produkty orientalnych rzemieślników, wyrafinowane przyprawy i biżuteria. W zamian wywożono wytwory weneckiego rzemiosła: wyroby ze szkła, skór i wełny. Ważną rolę w eksporcie odgrywała produkcja uzbrojenia ze szczególnym uwzględnieniem budownictwa okrętowego.



Pietro II Orseolo. Rzeźba Pietra Bearzi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ISTITUTO VENETO DI SCIENZE, LETTERE ED ARTI, LUIGI BALDIN

Pierwsza wyprawa krzyżowa zapewniła Wenecji dominującą rolę w handlu bliskowschodnim, a po zwycięstwie pod Askalonem w 1123 r. nad flotą egipską żeglarze weneccy zdobyli prymat we wschodniej części Morza Śródziemnego. Wenecjanie nigdy nie przejawiali fanatyzmu religijnego, zawsze cechował ich chłodny i praktyczny zmysł handlowy. Nie interesowała ich walka o Jerozolimę, dążyli jedynie do zdobycia przywilejów ekonomicznych. Podczas pierwszej krucjaty dowództwo floty udało się do grobu Jezusa dopiero po zawarciu pomyślnego traktatu handlowego. Nie protestował przeciw temu nawet biskup Wenecji biorący udział w wyprawie! Kiedy muzułmanie ponownie opanowali Jerozolimę, nie wzruszyło to kupców z lagun. Miasto Chrystusa nie miało znaczenia handlowego, a dla Republiki Świętego Marka porty na wybrzeżu były ważniejsze niż Jerozolima, Betlejem czy Nazaret.

Najjaskrawszym przypadkiem pragmatyzmu Wenecjan było pewne wydarzenie z czasów III krucjaty. Saladyn – sułtan Egiptu – uwolnił kilka tysięcy jeńców chrześcijańskich, ale nieszczęśnicy nie posiadali środków na powrót do Europy. Wenecjanie zażądali horrendalnych opłat za transport, aż wreszcie zirytowany Saladyn polecił odstawić wyzwoleńców do Europy na własny koszt. Na handlowcach z lagun nie zrobiło to żadnego wrażenia... Jednak do znacznie gorszych wydarzeń miało dojść przy okazji IV krucjaty.

Jej wodzowie (Tybald, hrabia Szampanii, Szymon z Montfort, Ludwik, hrabia Blois) zdecydowali się udać na Bliski Wschód drogą morską. Nie posiadając własnej floty, zwrócili się o pomoc do Wenecjan i szybko zawarto porozumienie. Kiedy jednak okazało się, że wodzowie krucjaty nie posiadają środków na opłacenie zobowiązań, politycy z lagun odcięli ich oddziałom zaopatrzenie. W zamian za odroczenie spłaty wymusili na nich zgodę na pomoc w opanowaniu dalmackiego Zadaru, który niedawno usunął weneckich urzędników i oddał się pod władzę króla Węgier.

Informacje o zawartym porozumieniu szybko dotarły do Rzymu i papież Innocenty III zakazał pod groźbą ekskomuniki ataku na Zadar. Nikt się jednak tym nie przejął i na początku listopada 1202 r. oznakowana krzyżami flota opuściła Wenecję, by dwa dni później zakotwiczyć pod dalmatyńskim miastem.

Władze Zadaru odmówiły bezwarunkowej kapitulacji i krzyżowcy przypuścili szturm. Decydujący atak nastąpił 15 listopada – napastnicy ostatecznie złamali obronę. Wenecjanie pozwolili jednak na rabunek tylko w ograniczonym zakresie. Nie zamierzali niszczyć miasta, nie chcieli również, by krzyżowcy zdobyli zbyt bogate łupy. Pilnowali, aby pozostały w nich niedosyt i chęć do dalszej grabieży. Niebawem w Zadarze pojawił się wysłannik papieża, który uroczyście

eprasa.pl a7c1105b6a

wyklął wszystkich uczestników szturmu na miasto.

Śmierć Konstantynopola

Zdobywcy Zadaru nie przejęli się papieską ekskomuniką. Doża Enrico Dandolo nienawidził z całego serca Bizancjum i podporządkował swoje życie walce z cesarstwem. Nie przeszkadzały mu w tym podeszły wiek (miał ponad 80 lat) i to, że był ociemniały. W Zadarze pojawił się pretendent do tronu w Konstantynopolu (Aleksy Angelos) i „armia krzyżowa" wyruszyła na kolejne chrześcijańskie miasto. Łacinnicy bez większych problemów osadzili na tronie własnego kandydata i w oczekiwaniu na zaspokojenie żądań finansowych obozowali pod Konstantynopolem. A kiedy ich protegowany został zamordowany, ruszyli do szturmu na stolicę.

12 kwietnia 1204 r. Konstantynopol został zdobyty i przez trzy dni trwał nieskrępowany rabunek. Sceny, do których doszło nad Bosforem, przeszły wszelkie granice wyobraźni: barbarzyńskie hordy rabowały, mordowały i gwałciły. W bazylice Mądrości Bożej (słynna Hagia Sophia) rozpasane żołdactwo rozbiło i przetopiło srebrny ikonostas, a także korzystało z naczyń liturgicznych, by pić z nich wino. Motłoch deptał po świętych



„Enrico Dandolo". Obraz Domenica Tintoretta

FOT. COMMONS WIKIMEDIA



RYS. MARZENA WŁÓCZYK/ARIEL196/WIKIMEDIA COMMONS

REPUBLIKA WENECKA I JEJ POSIADŁOŚCI W BASENIE MORZA ŚRÓDZIEMNEGO (W LATACH 697–1797)

księgach i ikonach, a nagie ladacznice tańczyły na tronie patriarchy. W tym tragicznym zamieszaniu jedynie Wenecjanie zachowali spokój i prowadzili zorganizowaną grabież. Wiele zabytków, którymi do dzisiejszego dnia szczyci się miasto dożów, zostało zrabowanych właśnie wówczas w Konstantynopolu. Należą do nich słynne cztery konie z brązu przypisywane greckiemu rzeźbiarzowi Lizypowi, ozdabiające przez wieki fasadę bazyliki św. Marka (w latach 70. XX w. oryginały trafiły do Museo Marciano, gdzie znajdują się do dziś). Wenecjanie zrabowali również ogromną liczbę relikwii świętych, którymi później hojnie obdarzali kościoły na całym kontynencie.

Wraz ze zdobyciem Konstantynopola ogłoszono upadek Cesarstwa Bizantyjskiego, powołując w jego miejsce cesarstwo łacińskie. W istocie w rękach najeźdźców znalazła się tylko niewielka część terytorium podległego Konstantynopolowi. Pojawiły się nowe ośrodki władzy bizantyjskiej – tamtejsze elity polityczne dążyły do odzyskania stolicy. Rządy katolickie przetrwały nad Bosforem niespełna 60 lat, po czym powróciły tam porządki greckie.

Z perspektywy czasu jedynym zwycięzcą pozostała Rzeczpospolita Wenecka. Kiedy przywódcy krucjaty kłócili się o ziemie bizantyjskie, Wenecjanie zadowolili się kilkoma dzielnicami Konstantynopola, Kretą, Eubeą i kilkoma portami. Co więcej, pomimo udziału w zdobyciu miasta potrafili zachować przywileje ekonomiczne na ocalałych z pogromu terenach greckich, co dobrze świadczy o ich umiejętnościach dyplomatycznych.

Symbolem powodzenia republiki było bicie własnej złotej monety o wartości jednego dukata (nazywanej cekinem). Emisję rozpoczęto w 1284 r. i trwała ona nieprzerwanie do upadku państwa weneckiego. Obok dukata z Florencji (florena) była to najwyżej ceniona waluta Europy tamtych czasów.

Włoskie sprawy

Wenecja była nietypowym organizmem państwowym na terenie Italii. Wprawdzie jak wiele innych miast była republiką oligarchiczną, a doża był władcą elekcyjnym, jednak pozostawała poza głównym nurtem wydarzeń politycznych na Półwyspie Apenińskim. Nigdy w mieście nie powstały stronnictwa gwelfów i gibelinów, nie angażowano się specjalnie w rywalizację papiestwa z cesarstwem niemieckim. Nie doszło też do dziwacznych wynaturzeń związanych ze sprawowaniem najwyższego urzędu, jak w Sienie czy we Florencji, gdzie podestę i członków signorii (rady miejskiej) wybierano na dwumiesięczną kadencję i w tym czasie zakazywano opuszczania siedziby.

Wenecja w ograniczonym zakresie brała udział w wydarzeniach w Italii. Kupców z lagun interesował przede wszystkim handel morski i z tego powodu doszło do wieloletniego konfliktu z Genuą. Wojny rozpoczęły się jeszcze pod koniec XIII w. Toczono je ze zmiennym szczęściem, a ostatecznie zakończono po zwycięstwie Wenecjan w bitwie pod Chioggią w czerwcu 1380 r. Od tej

eprasa.pl a7c1105b6a



„Wypłynięcie galery dożów »Bucentaur«". Obraz Francesca Guardiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM LUWR

pory Genua przestała się liczyć jako realny przeciwnik Republiki Świętego Marka.

Być może gdyby nie konflikt z Genuą, nigdy nie poznalibyśmy Marca Polo. Podróżnik był bowiem weneckim patriotą i podczas jednej z wojen z Genuą wyposażył na własny koszt galerę. Po bitwie pod Korčulą we wrześniu 1298 r. dostał się jednak do niewoli i właśnie tam podyktował swoją słynną relację z podróży na dwór wielkiego chana. Czy pozostając na wolności i będąc zajętym interesami handlowymi, znalazłby czas na spisywanie swoich wspomnień?

Chociaż w Wenecji zawsze bardziej interesowano się sprawami morza i handlu, to jednak doszło do rywalizacji zbrojnej z Mediolanem. Republika Świętego Marka wzięła też w ograniczonym zakresie udział w wojnach włoskich. W efekcie przyłączono tzw. Terrafermę stanowiącą zaplecze lądowe miasta. W jej skład weszły: Padwa, Vicenza, Werona, Brescia, Bergamo, Rawenna, Cremona i Friuli. Terraferma pozostała w granicach republiki aż do końca jej istnienia.

Wojny z Turcją

Kilka lat po IV krucjacie sułtan zdecydował się na podbój Peloponezu, którego porty znajdowały się w rękach weneckich. Turcy odnieśli zwycięstwo i zawarty niebawem traktat pokojowy odbierał republice niewielkie terytoria w Grecji, ale równocześnie rozszerzał przywileje ekonomiczne.

Niebawem jednak po raz pierwszy w dziejach władze Republiki Świętego Marka nie wykazały się zwyczajowym pragmatyzmem. Pod koniec XV w. na Cyprze wygasła dynastia królewska, a posiadanie wyspy było marzeniem wielu pokoleń polityków z lagun. Cypr miał zbyt duże znaczenie strategiczne, aby sułtan mógł to zaakceptować, i od tej chwili starcie z Turcją było już tylko kwestią czasu.

W obronie wyspy republika stoczyła dwie wojny. W wyniku pierwszej (1537–1540) straciła wiele posiadłości na Morzu Egejskim i niektóre w Dalmacji, ale zachowała zwierzchnictwo nad Cyprem. Jednak gdy 30 lat później Turcy ponownie zaatakowali, Wenecja nie mogła już obronić wyspy. Po półtoramiesięcznym oblężeniu padła Nikozja, jej komendant został ścięty, a jego głowę wykorzystywano jako rekwizyt w trakcie dalszych walk.

W czerwcu 1645 r. Turcy zaatakowali Kretę. Walki o nią trwały ponad 20 lat i ostatecznie wyspa przeszła pod panowanie osmańskie. Nie zmieniła tego stanu kolejna wojna z Turcją, podczas której jedyny raz w dziejach Wenecja została oficjalnym sprzymierzeńcem Polski. Kiedy Jan III Sobieski zwyciężał pod Wiedniem, Wenecjanie walczyli na morzach. W trakcie oblężenia Aten doszło do jednej z największych zbrodni na kulturze europejskiej – ostrzał Akropolu w 1687 r. przez flotę wenecką zniszczył kompletnie Partenon. To, co obecnie można oglądać w stolicy Grecji, jest zaledwie resztką dawnej świetności, częściowo zresztą zrekonstruowaną w XX w.

Traktat pokojowy z 1699 r. przyznawał Wenecji Peloponez, natomiast Ateny powróciły pod władzę sułtana. Był to ostatni triumf republiki na arenie politycznej. Kilkanaście lat później Turcja ponownie zajęła półwysep i od tej chwili imperium weneckie do końca swojego istnienia nie zmieniło już granic.

Koniec epopei

Wieloletnie wojny wyczerpały finanse państwa, a nowe pokolenia obywateli nie dorównywały poprzednim. Wenecjanie pragnęli wygodnie żyć i się bawić, a nie umierać za imperium. Narodziła się doktryna neutralności, ukrywająca apatię i zastój w polityce zagranicznej. Wenecja była jeszcze potęgą handlową na Adriatyku, ale i tutaj nie radzono sobie z piractwem.



Flaga i herb Republiki Weneckiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FLANKER

Ostatnie kilkadziesiąt lat istnienia państwa to okres szalonej zabawy. Już w XVII stuleciu Wenecja była uważana za wyjątkową atrakcję turystyczną, zamożni goście z całego kontynentu przybywali na laguny, aby wziąć udział w słynnym karnawale. Domy gry i przybytki seksualnych rozkoszy uchodziły za najlepsze w Europie, a weneckie kurtyzany cieszyły się powszechnym uznaniem. Miasto sprawiało wrażenie, że jedynym powodem jego istnienia jest zapewnienie mieszkańcom i przyjezdnym wszelkich przyjemności. Przybywali tutaj myśliciele (Goethe, Monteskiusz, Wolter), artyści (Mozart, Händel) i koronowane głowy. Niektórzy woleli odwiedzić laguny incognito, aby z większą swobodą oddawać się uciechom życia (robili tak m.in. cesarz Austrii Józef II i przyszły car Rosji Paweł I).

Wenecja miała do zaoferowania swoim gościom różnego rodzaju rozrywki. W mieście działały doskonałe sceny teatralne, na ich potrzeby tworzyli komediopisarze tej miary co Carlo Goldoni. Dla teatrów operowych komponowali z kolei Monteverdi i Galuppi. Pamiętniki Casanovy (rodowitego Wenecjanina) dobrze ilustrują, co działo się w teatralnych lożach. W XVIII w. w Wenecji tworzyli różni muzycy, ale największym kompozytorem pozostał genialny Antonio Vivaldi.

Dalsze istnienie państwa było jednak możliwe wyłącznie w warunkach równowagi politycznej, a po wybuchu rewolucji francuskiej dni republiki były już policzone. 12 maja 1797 r. odbyło się ostatnie posiedzenie Wielkiej Rady – najwyższego organu władzy w państwie. Po kilku godzinach obrad niemal jednogłośnie (515 głosów do 30) władze miasta podały się do dymisji. Ostatni, 118. doża Ludovico Manin zdjął urzędowe nakrycie głowy i oddał je służącemu, mówiąc, że nie będzie już nikomu potrzebne. Po kilku dniach do Wenecji wkroczyli Francuzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a

1939–1945 / 83. rocznica przekształcenia Związku Walki Zbrojnej w Armię Krajową



FOT. IPN

AK w służbie narodu



Marek Gałęzowski

Dla gen. Stefana Roweckiego wierność idei niepodległościowej symbolizowanej przez marszałka Piłsudskiego nie była żadnym dowodem upolitycznienia ZWZ

Jeżeli poszukiwać zasady łączącej żołnierzy armii podziemnej w okupowanym kraju ponad podziałami społecznymi i politycznymi, przytłumionymi przez wojnę, ale przecież nie przezwyciężonymi, to chyba najlepiej oddawałyby ją słowa pierwszego dowódcy Armii Krajowej, gen. Stefana Roweckiego: „Nie służymy żadnym osobom ani grupom politycznym czy społecznym. Jesteśmy w służbie sprawy nadrzędnej, wspólnej dla Narodu Polskiego. W szeregach naszych jest miejsce dla wszystkich Polaków, którym poczucie patriotyzmu wskazuje na konieczność wzięcia czynnego udziału w zbliżającej się walce. Prawdziwy żołnierz, zachowując swe przekonania, musi pamiętać, że wojsko nie jest terenem zdobywania zwolenników dla przekonań politycznych swego ugrupowania”.

Najofiarniejsza konspiracja

Jedna z decydujących zmian w tworzeniu wojska podziemnego w okupowanym przez Niemcy i Związek Sowiecki kraju nastąpiła po upadku Francji i ewakuacji rządu polskiego gen. Władysława Sikorskiego do Wielkiej Brytanii. Jeszcze w tym samym miesiącu, 30 czerwca 1940 r., gen. Rowecki został mianowany komendantem Związku Walki Zbrojnej na cały okupowany kraj. W myśl Instrukcji nr 2 z początku roku ZWZ stanowił „część składową Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej podległą przez Komendanta Głównego Naczelnemu Wodzowi Wojsk Polskich”. 3 września 1941 r. gen. Sikorski uznał ZWZ za główną część Polskich Sił Zbrojnych, co znalazło wyraz w formalnym nazewnictwie – Siły Zbrojne w Kraju – i wprowadzeniu dla ZWZ kryptonimu Polski Związek Powstańczy.

Dotychczasowa komenda ZWZ na czele z gen. Kazimierzem Sosnkowskim po upadku Francji została przeniesiona do Londynu i jako Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza WP miała wspierać

eprasa.pl a7c1105b6a

podziemie w kraju. Sikorski już 25 lipca 1940 r. pozbawił stanowiska szefa oddziału gen. Sosnkowskiego, w którym widział politycznego rywala, a jego funkcję przejął osobiście. Nie mógł mu jednak odebrać licznych zasług związanych z kierowaniem ZWZ. Wówczas to bowiem – jak pisał znawca dziejów ZWZ-AK Marek Ney-Krwawicz – „przyjęte zostały zasadnicze założenia dotyczące zarówno struktury organizacyjnej, jak i strategii działania Sił Zbrojnych w Kraju w czasie wojny. Wysyłane do Kraju przez generała kolejne instrukcje nadawały ton pracom niepodległościowym ZWZ, ukierunkowując je w zależności od sytuacji międzynarodowej na mniej lub bardziej aktywne działania, mając zawsze na uwadze polską rację stanu. Wyznaczone zaś przez generała uwarunkowania akcji zbrojnych pozostały aktualne do końca istnienia podziemnego Wojska Polskiego".

Warto na marginesie tej charakterystyki zauważyć, że Sosnkowski bardzo cenił pracę gen. Roweckiego, pisząc doń jesienią 1941 r., zresztą za wiedzą gen. Sikorskiego: „Przede wszystkim dzięki Waszym trudom, Waszemu męstwu i poświęceniu powstała potężna organizacja ZWZ. Te trzy litery będą zapisane w pamięci rodaków jako największa, najtrudniejsza i najofiarniejsza konspiracja w dziejach Polski".

Najofiarniejsza konspiracja po krótkotrwałym zastoju w chwili klęski Francji stale powiększała swoje szeregi. Jednym z najważniejszych przedsięwzięć w tej mierze było kontynuowanie prowadzonej od początku 1940 r. akcji scaleniowej, której celem było wchłonięcie wszystkich organizacji konspiracyjnych o charakterze wojskowym powstałych w okupowanej Polsce. Było to następstwem zasady wyrażonej we wspomnianej Instrukcji nr 2, że „na terenie kraju może działać jako wojskowy ośrodek dyspozycji jedynie i wyłącznie ZWZ", oraz wydanego niedługo po niej rozkazu gen. Sosnkowskiego, w którym nakazano wszystkim organizacjom istniejącym na obszarze okupacji niemieckiej podporządkowanie się komendantowi ZWZ.

Pomyślne przeprowadzenie akcji scaleniowej było priorytetem gen. Roweckiego. Cel „Grota" dobrze charakteryzował prof. Eugeniusz Duraczyński, pisząc, że „przyświecała mu idea stworzenia



Kazimierz Sosnkowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

w konspiracji takiej siły zbrojnej, która by następnie – w sprzyjających warunkach – zdolna była do przeprowadzenia zwycięskiego powstania zbrojnego i stała się realną podstawą odtwarzania regularnych sił zbrojnych państwa […]. Mogłaby [także] stać się skutecznym narzędziem przeciwdziałania tendencjom odśrodkowym w zróżnicowanym pod względem politycznym społeczeństwie".

W warunkach tak tragicznych

Generał Rowecki nie miał skuteczniejszego narzędzia do scalenia innych organizacji wojskowych niż nakaz władz na uchodźstwie, który jednak umożliwiał wywieranie presji, odwołującej się do poczucia obowiązku, odpowiedzialności i przekonania, że tylko zjednoczenie wysiłków w walce jest warunkiem jej skutecznego przeprowadzenia i przywrócenia Polsce niepodległości.

Działania te prowadził z podziwu godną konsekwencją i stanowczością. To dlatego też jemu przypadła zasługa stworzenia Armii Krajowej, w którą 14 lutego 1942 r. przekształcono ZWZ – podziemne wojsko w okupowanym kraju podlegającego konstytucyjnym władzom Rzeczypospolitej na uchodźstwie. 1 września 1942 r. na mocy dekretu prezydenta RP Władysława Raczkiewicza, zwierzchnika PSZ, dowódca AK otrzymał uprawnienia Naczelnego Wodza PSZ na terenie kraju do chwili jego przybycia do Polski. Wynikało to z wysokiej oceny pracy gen. Roweckiego, wcześniej już sformułowanej przez gen. Sikorskiego. „Stwierdziłem z wielką radością wspaniałe wyniki, jakie Pan Generał osiągnął w pracy prowadzonej w warunkach tak tragicznych. Nadał Pan Generał działalności wojskowej w Kraju kierunek właściwy, zmierzający do zjednoczenia całokształtu poczynań wojskowych nad odbudową Sił Zbrojnych dla wywalczenia Niepodległości. Wasze raporty wywiadowcze stanowią gros wiadomości o przeciwniku posiadanych przez Sprzymierzonych. Pracą rozkładową w terenie potrafił Pan Generał zadać przeciwnikowi duże straty materialne i moralne […]. Za tak owocny wysiłek organizacyjny przesyłam Panu Generałowi w imieniu Służby wyrazy głębokiego mojego uznania. Ofiary ponoszone przez Armię Krajową na ziemi ojczystej posiadają wielkie znaczenie dla wkładu w tę wojnę Polski Walczącej".

Po przekształceniu ZWZ w Armię Krajową kontynuowano akcję scaleniową. 15 sierpnia 1942 r., w święto Wojska Polskiego, gen. „Grot" wydał rozkaz, w którym żądał podporządkowania się wszystkich niewłączonych jeszcze do AK organizacji: „Organizacje wojskowe, uchylające się od podporządkowania Dowódcy Armii Krajowej, nie będą uznane przez Władze Polskie. Udział żołnierzy AK w takich organizacjach jest zakazany". Zapowiadał ponadto, że ci spośród nich, którzy mimo zakazu będą nadal należeć do formacji nieuznanych przez dowódcę AK, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.



Medal wybity z okazji 80. rocznicy przekształcenia ZWZ w AK

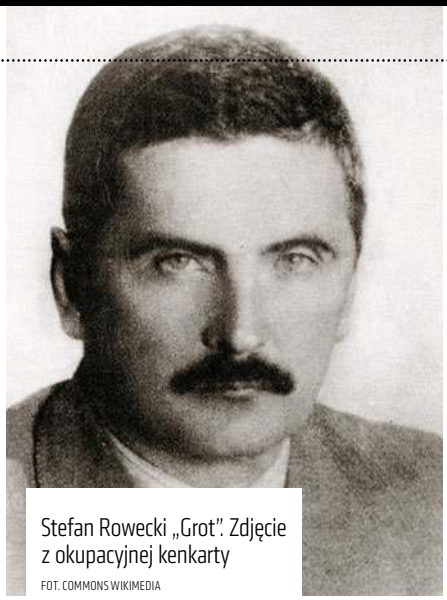
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LOWDOWN

Włączanie innych organizacji, zwłaszcza tworzonych przez największe ugrupowania polityczne, nie było procesem łatwym. Te bowiem znalazły sobie wygodny argument służący utrudnianiu akcji scaleniowej w twierdzeniu o rzekomym upolitycznieniu ZWZ, mającym

eprasa.pl a7c1105b6a

polegać na obecności w jego dowództwie oficerów wywodzących się z obozu piłsudczykowskiego. Rowecki i jego oficerowie byli w większości dawnymi legionistami i piłsudczykami, ale nie politykami autorytarnego obozu rządzącego Polską po przewrocie majowym. Innymi słowy – jak pisał Andrzej Friszke – ich identyfikowanie się z piłsudczykami „oznaczało raczej pewien etos i stosunek do tradycji niż afirmację przedwojennego systemu sprawowania władzy".

Dla gen. Roweckiego wierność idei niepodległościowej symbolizowanej przez marszałka Piłsudskiego nie była żadnym dowodem upolitycznienia ZWZ. On sam zdecydowanie odrzucał kierowane wobec siebie i swoich ludzi zarzuty jako oskarżenia pozbawione słuszności, pisząc, że podległa mu organizacja „jest wyłącznie prawdziwym wojskiem w konspiracji, całkowicie apolitycznym i apartyjnym, służącym całej Polsce oraz przeznaczonym jedynie do walki z okupantami i z wrogami o przyszłe jej granice".



Stefan Rowecki „Grot". Zdjęcie z okupacyjnej kenkarty

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Celem – powstanie

Wszystkie działania przygotowawcze do walki z Niemcami o oswobodzenie kraju skupiały się w podlegającej dowódcy AK Komendzie Głównej. Dzieliła się ona na oddziały, powstałe jeszcze w okresie istnienia ZWZ: organizacyjny, wywiadu, operacyjny, kwatermistrzowski, łączności, Biuro Informacji i Propagandy oraz kilka odrębnych jednostek. Z tych należy wymienić przede wszystkim Związek Odwetu, przekształcony następnie w Kierownictwo Dywersji (Kedyw), który prowadził walkę bieżącą z Niemcami. Jesienią 1942 r. powstało Kierownictwo Walki Konspiracyjnej (w którego skład poza dowódcą AK wchodzili szef sztabu KG AK, szef BIP, szef Wydziału Kontrwywiadu Oddziału II KG AK oraz szef Kedywu), które decydowało o najbardziej strategicznych akcjach bieżących podziemnego wojska.



Przysięga żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji AK

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IPN

Dążeniem KG AK było przygotowanie wojskowe do wystąpienia zbrojnego przeciw okupantom w dogodnym momencie wojny, czyli „przygotowanie podziemnej siły zbrojnej i całego społeczeństwa do zaskoczenia nieprzyjaciela w stosownej chwili jawnym działaniem orężnym, pobicia go, obalenia wrogiej okupacji i wywalczenia w wojnie z Niemcami zwycięskiego dla nas rozstrzygnięcia. Tym działaniem zbrojnym jest dla nas powstanie". Tak pisał gen. Tadeusz Komorowski „Bór", następca aresztowanego przez Niemców gen. Stefana Roweckiego „Grota".

Temu też służył Plan Odtwarzania Sił Zbrojnych o strukturze zbliżonej do Ordre de bataille przedwojennego Wojska Polskiego, czym zajmował się jeden z wydziałów oddziału I organizacyjnego. Celem wspomnianego zamierzenia było „zorganizowanie w jak najkrótszym czasie, od chwili opanowania terenu, wojska, które będzie zdolne przeciwstawić się nplowi i wytyczyć granice państwa", przyjmując jako podstawowe zasady jak najszybsze odtworzenie pewnej liczby wielkich jednostek, niezbędnych oddziałów broni specjalnych i służb, a także zorganizowanie „doborowych oddziałów, zwłaszcza pod względem dowódców, pełnych poświęcenia i zdolnych do samodzielnego wykonania zadań bojowych, zasadniczo przypadających im regulaminowo, niemniej gotowe do podjęcia i wykonania większych zadań".

Uwzględniano w tym projekcie realia działalności podziemnej, wiedząc, że możliwe jest jedynie stworzenie pewnego fundamentu kadrowego, częściowo tylko rozbudowanego w regularne wojsko. W warunkach konspiracji nie było bowiem możliwe osiągnięcie stanów liczebnych, nie mówiąc już o pełnym uzbrojeniu jak w przedwojennej armii. Mimo to w ramach poszczególnych oddziałów KG AK powstało wiele wydziałów poszczególnych rodzajów broni, takich jak artyleria, broń pancerna, marynarka, lotnictwo, służba saperska, a także w ich ramach służb wojskowych, często o daleko idącej specjalizacji. Zajmowały się one szkoleniem specjalistów i opracowaniem instrukcji dla tych rodzajów broni, na potrzeby odtworzenia wojska i planowanego wyzwolenia kraju spod okupacji.

eprasa.pl a7c1105b6a



Powstańcy warszawscy, żołnierze AK
FOT. NAC, STEFAN BAŁUK

Jak poważna była to praca, świadczą liczne służby specjalistyczne odtwarzane w ramach wspomnianych rodzajów broni. Przykładowo: w Oddziale IV Kwatermistrzowskim dużym osiągnięciem było stworzenie Służby Geograficznej (kryptonim Schronisko) na czele z ppłk. Mieczysławem Szumańskim. Odpowiadała ona za zabezpieczenia topograficzne planowanych działań wojennych. Jak pisał jej znawca Bogusław Krassowski, „wiązało się to również z zabezpieczeniem pracy sztabów, jak i wojsk liniowych działających w polu [...], przygotowaniem odpowiednio wyszkolonej kadry do prac polowo-geodezyjnych, matematycznych i kartograficznych oraz reprodukcyjnych, przygotowanie odpowiedniej liczby map potrzebnych w pierwszym okresie walk; uruchomienie zakładów graficznych reprodukujących mapy, zorganizowanie zawiązku WIG-u" (czyli istniejącego przed wojną Wojskowego Instytutu Geograficznego, którego jednym z wykładowców był ppłk Szumański). Do zadań „Schroniska" należało również prowadzenie wywiadu topograficznego instytucji i obiektów niemieckich: węzłów kolejowych, lotnisk, mostów, poligonów, obozów wojskowych oraz ich ochrony wojskowej. Dane dotyczące tych obiektów nanoszono następnie na mapy i przesyłano szefostwu Oddziału IV KG AK. Do wybuchu powstania warszawskiego utworzono trzy zakłady graficzne, w którym reprodukowano mapy oraz osiem składów map. Sporządzono wiele map obrazujących poszczególne części ziem polskich, zaopatrując w nie oddziały AK w terenie, a osobistym sukcesem ppłk. Szumańskiego było wykonanie, wraz z Czesławem Śniecińskim i Stanisławem Twardowskim, mapy Warszawy i okolic z zaznaczonymi obiektami niemieckimi.

Innym przykładem osiągnięć organizacyjnych tajnego wojska polskiego było stworzenie służby meteorologicznej w Wydziale Lotnictwa Oddziału III Operacyjnego KG AK, którą zorganizował kpt. Wiktor Dobrzański „Władł", przedwojenny oficer lotnictwa, ciężko ranny w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. Utworzył on konspiracyjne stacje meteorologiczne w Warszawie oraz w ośmiu innych miastach, w tym również na ziemiach wcielonych do Rzeszy – w Gdyni i w Poznaniu. Ich personel stanowili oficerowie i podoficerowie polskiego lotnictwa oraz naukowcy specjalizujący się w meteorologii i astronomii. Stacje przekazywały zebrane informacje drogą radiową do Londynu aż dwa razy dziennie. Wykorzystywano je w planowaniu nalotów lotnictwa brytyjskiego na III Rzeszę, a także zrzutów broni dla AK – niestety, jak wiadomo, niezbyt licznych. Tym, co stanowi ewenement w działalności konspiracyjnej tej służby, jest to, żadna z komórek meteorologicznych nie uległa dekonspiracji. Niestety, nie doczekał końca wojny ich twórca kpt. Dobrzański, który poległ w powstaniu warszawskim, broniąc Starego Miasta.



Krzyż Armii Krajowej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRZEGORZ CHLADEK

*

Tak w najtrudniejszych warunkach bezwzględnej, okrutnej, niemającej precedensu w dziejach Polski okupacji powstało wojsko w podziemiu. Armia Krajowa i Związek Walki Zbrojnej, z którego się wyłoniła, bez fałszywego patosu zawsze będą przedmiotem narodowej dumy jako – powtórzmy – „największa, najtrudniejsza i najofiarniejsza konspiracja w dziejach Polski". Jej żołnierze służyli sprawie, którą tak dobitnie wyrażały słowa jej pierwszego dowódcy, przywołane na początku niniejszego artykułu. Zakończmy go odwołaniem do przysięgi, której słowa powinny należeć do kanonu polskich lektur, nakazując refleksję nad tym, czym kierowali się składający ją żołnierze armii podziemnej: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl a7c1105b6a



Jan Kiepura odbiera gratulacje od Josepha Goebbelsa FOT. NAC

Lata 30. / Propolskie gesty Berlina

Hitlerowskie zaloty



Piotr Kitrasiewicz

Niemcy wychwalali naszych pisarzy i kompozytorów, kręcili z Polakami filmy, pokazywali naszą kulturę w bardzo pozytywnym świetle. Hitler przez kilka lat przymilał się do Polaków, starając się przeciągnąć Warszawę na swoją stronę

Dojście do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera postawiło Europę w stan alarmu. Wszyscy, a najbardziej sami Niemcy, spodziewali się, że nowy kanclerz siłą doprowadzi do zerwania „dyktatu" traktatu wersalskiego. Hitler był jednak zbyt przebiegłym graczem, by od razu porywać się z motyką na słońce. III Rzesza była jeszcze zbyt słaba i nieprzygotowana do wojny. Aby ją wzmocnić i uzbroić, trzeba było cierpliwości i uspokojenia zagranicznej opinii publicznej.

Brunatny kanclerz dokonał rzeczy niewiarygodnej: przyodział się w skórę pacyfisty pragnącego rozwoju swojego kraju oraz budowania relacji z innymi krajami wyłącznie pokojowymi środkami. Świat przyjął to za dobrą zapowiedź.

Stojące na straży pokoju w Europie Wielka Brytania, Francja, a do pewnego momentu również Włochy przymykały oczy na pracujące pełną parą wielkie zakłady przemysłowe produkujące rzekome maszyny rolnicze i samoloty do użytku gospodarczego. Kamuflaż budowy bomb, pocisków, armat ciężkiego kalibru, czołgów i samolotów bojowych był jednak tak powierzchowny, że dociekliwym dziennikarzom ze światowych gazet nie sprawiało wielkich trudności wytropienie tych knowań. Jednak ich artykuły niczego nie zmieniały, bo rządy państw zachodnich, zaznawszy po pierwszej wojnie światowej ulgi życia w pokoju, chciały zachować go za wszelką cenę.

W marcu 1933 r. Hitler ogłosił w Reichstagu założenia nowej polityki. Przyjęte one zostały z pewnym rozczarowaniem, acz ze zdyscyplinowaną akceptacją przez członków NSDAP, marzących o szybkim pozbyciu się Francuzów z Zagłębia Ruhry oraz przyłączeniu Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy. Zamiast tego kanclerz zaoferował Polsce pokój i dobrosąsiedzkie relacje, na co rząd RP przystał, zmęczony ciągłymi konfliktami z zachodnim sąsiadem (demokratyczne Niemcy Weimarskie prowadziły przecież politykę otwarcie wrogą naszemu krajowi).

Nie rozumiano, że niemiecki dyktator w swoich planach przewidywał dla Rzeczypospolitej miejsce u swojego

eprasa.pl a7c1105b6a

boku jako sojusznika – a raczej wasala – w przyszłej wojnie. W tym celu władze Rzeszy zaleciły budowanie przyjaznego stosunku Niemców do Polaków, a żeby to osiągnąć, odpowiednio sterowano środkami masowego przekazu. Ważną rolę w tym procesie odgrywały osobiste kontakty pomiędzy dostojnikami z obu krajów, m.in. kilkakrotny udział Hermanna Göringa w polowaniach w Białowieży razem z prezydentem RP Ignacym Mościckim, jak również wizyty w Warszawie i Krakowie Josepha Goebbelsa, Hansa Franka i Heinricha Himmlera. Bodaj najbardziej znanym elementem zbliżenia III Rzeszy do Polski był udział Hitlera w nabożeństwie żałobnym odprawionym w berlińskiej katedrze po śmierci Józefa Piłsudskiego, ale był to jednak tylko symboliczny moment. Dużo ważniejsze okazały się kontakty kulturalne, w które strona niemiecka bardzo się zaangażowała, nie szczędząc kosztów i energii.

Chopin w Dreźnie

Inauguracją tego przełomu były oficjalne obchody 125. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, które odbyły się w Berlinie, Monachium, Norymberdze, Kolonii, Lipsku i Dreźnie. To ostatnie miasto, uchodzące za stolicę kulturalną Rzeszy, przygotowało się wyjątkowo starannie ze względu na osobiste związki z polskim kompozytorem. Chopin bywał w nim kilkukrotnie. Tutaj poznał Marię Wodzińską, z którą się zaręczył (jej rodzina nie wyraziła zgody na ślub). W Dreźnie skomponował zadedykowanego jej „Walca As-dur", a ona namalowała jego portret.

Trwające dwa dni uroczystości zorganizowały władze miejskie, z burmistrzem Ernstem Zörnerem na czele, przy wsparciu Ministerstwa Propagandy. Wśród polskich gości znajdowali się m.in. ambasador RP w Berlinie Józef Lipski, prezydent Warszawy Stefan Starzyński i muzykolog prof. Zdzisław Jachimecki. Zörner, Lipski i Starzyński odsłonili tablicę pamiątkową na ścianie hotelu Berlin, w którym Chopin nocował. W renomowanych punktach koncertowych miasta, takich jak Dom Artystów czy Ogród Palmowy, odbywały się recitale chopinowskie artystów niemieckich i polskich. Urzędowa część jubileuszu miała miejsce w budynku ratusza, gdzie z długim przemówieniem wystąpił Zörner, sławiąc w nim przede wszystkim Hitlera jako miłośnika muzyki i inicjując na jego cześć zbiorowe „Sieg Heil!". Mówił oczywiście i o Chopinie, a na koniec nawiązał do niedawno zmarłego Józefa Piłsudskiego. Nazwał go wielkim wodzem („Führerem") narodu polskiego, dzięki któremu również Polska wdrożyła u siebie przemiany przynoszące owoce w postaci „zdrowej kultury", której pionierem na polskim gruncie był właśnie Chopin. Kończąc, rzucił trzykrotne „Sieg Heil!" również na cześć Marszałka.

Orkiestra odegrała „Mazurka Dąbrowskiego" w pozbawionym słowiańskiej lekkości marszowo-koszarowym stylu, a następnie rozległy się agresywne dźwięki hymnu NSDAP „Horst-Wessel-Lied". Po obiedzie na 100 osób przyszedł czas na główny punkt artystyczny chopinowskich obchodów. Był nim koncert filharmoników drezdeńskich z polskim repertuarem, transmitowany na żywo przez rozgłośnię saksońską oraz specjalnie przysłaną z Warszawy ekipę Polskiego Radia. Oprócz utworów Fryderyka Chopina zaprezentowano m.in. uwerturę do „Halki" Stanisława Moniuszki oraz jedno z dzieł Karola Szymanowskiego. Stronie polskiej szczególnie podobała się interpretacja muzyki chopinowskiej w wykonaniu grającej z przejęciem Giseli Binz, nazywanej damą niemieckiego fortepianu.

Skandal w sądzie

Do Niemiec jeździło teraz coraz więcej polskich orkiestr, zespołów tanecznych i chóralnych, solistów, pianistów, aktorów i pisarzy. Z tych ostatnich częstym gościem był Juliusz Kaden-Bandrowski, którego kilka książek, w tym „Generała Barcza" oraz „Czarne skrzydła", wydano nad Szprewą w stosunkowo wysokich nakładach. Kaden-Bandrowski wygłaszał odczyty o współczesnej literaturze polskiej oraz spotykał się z niemieckimi literatami. Pisarz szczególnie odpowiadał gospodarzom III Rzeszy, bo widzieli w nim nie tylko autora powieści, lecz także wojskowego, piłsudczyka, jednego z afirmantów rządów sanacyjnych. Niemcy zapraszali również przedstawicieli nauk ścisłych oraz środowisk prawniczych. W tej ostatniej kwestii doszło do poważnego zgrzytu dyplomatycznego, związanego z wizytą pewnego wybitnego karnisty z Polski. Był on z pochodzenia Żydem i kiedy w jednym z sądów przysłuchiwał się rozprawie, uzyskując uprzednio zgodę odpowiednich władz,



Odsłonięcie w Monachium tablicy upamiętniającej Fryderyka Chopina FOT. NAC

eprasa.pl a7c1105b6a

na salę nieoczekiwanie wtargnął szef lokalnej komórki NSDAP i w chamskich słowach zwymyślał prawnika, po czym wyrzucił go z budynku sądu.

Incydent wzburzył rząd w Warszawie i minister Beck polecił ambasadorowi Lipskiemu złożenie skargi. Odpowiedź jednak nie nadchodziła, Lipski wysyłał więc ponaglenia, ale bez rezultatu. Polski dyplomata uznał, że władze w Berlinie były zakłopotane i nie bardzo wiedziały, co zrobić z tym fantem. Tak zresztą przedstawił mu tę sprawę podczas prywatnego spotkania Hermann Göring, podkreślając, że gauleiter dostał naganę od samego Rudolfa Hessa, zastępcy Hitlera. Odpowiedź na skargę nadeszła wreszcie po ponadpółrocznym oczekiwaniu i sygnował ją właśnie Hess. Była lakoniczna, lecz wyrażała ubolewanie i coś w rodzaju usprawiedliwienia, że ów gauleiter, gorliwy antysemita, nie mógł znieść obecności żydowskiego profesora w niemieckim sądzie. O tym, że gauleiter nawymyślał prawnikowi od „zasranych Polaczków", Hess nie raczył jednak wspomnieć.

W niemieckim radiu nadawano polską muzykę narodową i chociaż przeważały rytmy folklorystyczne, to puszczano również muzykę poważną. Przodował oczywiście Chopin, ale emitowano też utwory Moniuszki, Szymanowskiego, Mieczysława Karłowicza, Ludomira Różyckiego czy Feliksa Nowowiejskiego. W przypadku tego ostatniego kompozytora Niemcy przymknęli oczy na to, że był on autorem muzyki do „Roty" pióra Marii Konopnickiej. W radiu słyszało się także nagrania pianistów: Raoula Koczalskiego, Witolda Małcużyńskiego czy ucznia Paderewskiego Stanisława Szpinalskiego, wszyscy oni występowali też w niemieckich miastach.

Dużą popularnością cieszyły się także śpiewaczki operowe: Ewa Bandrowska-Turska, Ada Sari i Jadwiga Kenda. Ta ostatnia – wychowała się w Niemczech jako córka dyplomatów – zagrała wkrótce główną rolę w komedii muzycznej „Dyplomatyczna żona", powstałej w koprodukcji niemiecko-polskiej. Zrealizowano dwie wersje filmu. Niemiecką, pt. „Abenteuer in Warschau", czyli „Przygoda w Warszawie", wyreżyserował Carl Boese i – oprócz Kendy oraz Mieczysławy Ćwiklińskiej – grali w niej niemieccy



Jadwiga Kenda w filmie „Abenteuer in Warschau" („Dyplomatyczna żona") FOT. NAC

aktorzy. Z kolei wersję polską – wyłącznie z polską obsadą – przygotował Mieczysław Krawicz. Kenda i Ćwiklińska wystąpiły w obu wersjach, a o obsadzeniu Ćwiklińskiej także w niemieckiej zadecydowało to, że mówiła ona, podobnie jak Kenda, biegle po niemiecku. Jednak koprodukcja niemiecko-polska, w którą Niemcy zaangażowali się finansowo, pokrywając ponad trzy czwarte kosztów, nie wypaliła. Film okazał się kiepską i raczej nudną komedyjką, a jego pokazy nie przyciągnęły tłumów po żadnej stronie granicy, chociaż zakupiło go (wyłącznie niemiecką wersję) kilka krajów.

Dobry August Mocny

Niezrażeni niepowodzeniami Niemcy zaczęli przymierzać się do realizacji (również w koprodukcji) filmowego widowiska historycznego ukazującego konstruktywną współpracę obu narodów. Po długich dyskusjach, którą epokę wybrać, strona niemiecka uparła się, by pokazać Augusta II Sasa z dynastii Wettynów, zwanego Mocnym. Okres rządów obu Augustów w Polsce – równolegle panowali oni w Saksonii – nie kojarzył się Polakom najlepiej ze względu na niewielkie zainteresowanie obu królów sprawami polskimi, ale Niemcy obiecali, że fabuła nie będzie zawierać żadnych drażliwych elementów. Ponadto zaproponowali bardzo atrakcyjne warunki produkcyjne, więc po niezbyt długich targach strona polska wyraziła zgodę. Za kamerą stanął wybitny reżyser i aktor Paul Wegener.

„Augusta Mocnego" kręcono w niemieckich i polskich plenerach, zwłaszcza na terenach rezydencji Wettynów w Warszawie i w Dreźnie. Plenery okazały się dużym atutem umiejętnie wykorzystanym przez reżysera. Zdecydowanie gorzej było z wyważeniem akcentów narodowościowych. W filmie dominowali Niemcy oraz niemiecki punkt widzenia. Polacy przewijali się na drugim planie, ukazani jako sympatyczny, lecz nieco zacofany ludek, który jest tak przywiązany do własnej tradycji i obyczajów, że uparcie nie chce brać przykładu z „wyższej" cywilizacji oferowanej przez zachodniego sąsiada.

„August Mocny" („August der Starke") po uroczystej premierze z udziałem oficjeli wszedł do kin Rzeszy oraz Rzeczypospolitej, ale szybko zniknął z ekranów. Polakom nie podobało się lansowanie niemieckiego „dobrodziejstwa" cywilizacyjnego, Niemców z kolei odrzucało bratanie się polskich i niemieckich dworaków, oficerów czy służących. W Niem-



Pola Negri wśród polskich tancerzy w Berlinie FOT. NAC

eprasa.pl a7c1105b6a



Plakaty filmów „Abenteuer in Warschau" i „Der galante König" o Auguście II Sasie

FOT. IMDB

czech próbowano nawet przedłużyć ekranowy żywot tego dzieła, oferując zniżki na bilety dla szkół czy członków partii, wprowadzono również darmowe bilety w formie nagród, ale niewiele to pomogło.

Furia Negri

Na tym skończyły się próby koprodukcyjne. Niezależnie od nich Niemcy nakręcili kilka filmów o Polsce lub z polskimi wątkami. Dużym powodzeniem cieszyła się ekranizacja dramatu Gabrieli Zapolskiej „Tamten", rozpowszechniana w Niemczech pt. „Der warschauer Zitadelle", a także dramat historyczny o powstaniu listopadowym „Ritt in die Freiheit". W obu filmach bohaterstwo Polaków ukazano na tle walki z caratem, między wierszami dając do zrozumienia, że obecnie oba narody mają wspólnego wroga, czyli rosyjski bolszewizm, co powinno łączyć, a nie dzielić.

Był także film „Abschiedswalzer" o Chopinie, zrealizowany jeszcze przed obchodami drezdeńskimi przez pracującego w Rzeszy Węgra Gézę von Bolvaryego. Główną rolę zagrał w nim amant Wolfgang Liebeneiner. Twórcy filmu skupili się wprawdzie na miłosnych przygodach kompozytora w Paryżu, a zwłaszcza na jego związku z George Sand, ale nie brakowało w nim akcentów polonofilskich.

Równocześnie w Niemczech rozwijała się kariera Jana Kiepury, który śpiewał, nagrywał płyty, a przede wszystkim występował w filmach. „Neapol, miasto śpiewające", „Kocham wszystkie kobiety", „Dla ciebie śpiewam", „Czar cyganerii" – te produkcje rozsławiły go na całym świecie. Przy czym scenarzyści zadbali, aby przynajmniej w niektórych z nich wizerunek postaci granych przez artystę nawiązywał do jego polskiego pochodzenia. Podobnie było z hollywoodzką gwiazdą Polą Negri (Apolonią Chałupiec), która po powrocie do Europy osiedliła się w Niemczech i z powodzeniem zagrała Werę Kowalską w dramacie psychologicznym „Mazur". Nakręciła jeszcze kilka filmów (w tym „Panią Bovary"), zanim stała się niewygodna dla władz Rzeszy jako Polka i w związku z tym musiała wyjechać do Francji. W dodatku naraziła się Hitlerowi, bo pobiła parasolką jego ulubienicę Leni Riefenstahl (z zazdrości o tenisistę, o którego względy obie się starały).

Sukcesy Niewiarowicza

Do Warszawy i innych polskich miast przyjeżdżały z gościnnymi występami zespoły niemieckie, m.in. filharmonicy berlińscy, a także soliści. Pojawiał się tutaj poważny problem finansowy, ponieważ polskie środowiska żydowskie, stanowiące gros melomanów II RP, zapowiadały w tych przypadkach bojkot imprez. Źle wróżyło to sprzedaży biletów, a gościom niemieckim trzeba było przecież zapłacić honoraria. Problemy te pomagała nam rozwiązywać niemiecka ambasada w Warszawie, której szef, hrabia Hans-Adolf von Moltke, dyskretnie wykupywał ogromne pule biletów, rozdając je potem swojemu personelowi lub stołecznym volksdeutschom. Mimo to sale świeciły pustkami, jednak przynajmniej koncerty odbywały się bez zakłóceń. W przypadku wybitnych pianistów czy skrzypków żądających wysokich stawek za koncerty Niemcy również znajdowali sposób, oferując pokrycie większości tych kwot i dając Polakom do zrozumienia, że dla podtrzymywania i rozwijania dobrych stosunków sąsiedzkich między oboma państwami nie liczą się z kosztami.

Niemcy wystawili „Halkę" Moniuszki w Berlinie i Hamburgu, swoją premierę mieli u nich również „Harnasie" Szymanowskiego, a na afiszach teatrów pojawiały się polskie sztuki (np. „Dom kobiet" Nałkowskiej). Co prawda, nie doszło do zaplanowanej premiery „Nie-Boskiej komedii" Krasińskiego, chociaż dzieło naszego wielkiego romantyka wystawiano w Niemczech jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, ale za to dramat wydano w niemieckim tłumaczeniu w formie książkowej i doczekał się on bardzo wysokich ocen ze strony recenzentów.

Z polskiej dramaturgii współczesnej największą popularnością w niemieckich teatrach cieszyła się natomiast dość płytka farsa „I co z takim zrobić", autorstwa Romana Niewiarowicza. Wcześniej stała się ona przebojem polskich scen, co prawda tych mniej wymagających. O jej sukcesie zadecydowały zręczna i zabawna fabuła oraz to, że składała się tylko z dwóch ról, męskiej i żeńskiej, co sprawiło, że chętnie sięgały po nią teatry kameralne, nawet te o niewielkich przestrzeniach scenicznych.

Zemsta Brunhildy

Wszystko to zakończyło się wraz z wiosną 1939 r., kiedy Hitler zrozumiał, że Polska nie da się przekabacić, nie zrezygnuje z praw do Gdańska i nie stanie się pomocnikiem Rzeszy w planowanym podboju Europy. Hitler był wściekły, że jego wysiłki na nic się zdały – uważał, że Polacy powinni być mu wdzięczni, iż traktował ich „prawie" jak równych Niemcom. Po odrzuceniu przez Warszawę tych wszystkich „zalotów" skierował swoją furię przeciwko wschodniemu sąsiadowi. W miejsce kurtuazyjnych gestów pojawiły się strzały i bombardowania, a potem, podczas okupacyjnych lat, masowe mordy.

Nie było już mowy o polskiej literaturze czy muzyce. Do niedawna wynoszony pod niebiosa Chopin został zakazany zarówno w Rzeszy, jak i w Generalnym Gubernatorstwie, a filmy z pozytywnymi wizerunkami Polaków zastąpiły produkcje nawołujące do ludobójstwa, antypolskie paszkwile w stylu sławnego „Heimkehr". Do tego ostatniego reżyser Gustav Ucicky, przy pomocy Igo Syma, werbował w Warszawie polskich aktorów, by wcielali się w role psychopatycznych Polaków mordujących spokojnych osadników niemieckich na przedwojennym Wołyniu. Zalecające się do Polski w latach 30. germańskie muzy okazały się dwulicowymi, śmiertelnie niebezpiecznymi Brunhildami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Krzysztof Masłoń

Na emigracji pożegnano go najgorszymi słowami: „Umarł młody kapo literatury polskiej". A przecież jego opowiadania oświęcimskie powinny zajmować w literaturze powszechnej najwyższe miejsce, a sam Tadeusz Borowski winien znany być jak Primo Levi

Jego opowiadania oświęcimskie to najwybitniejsze osiągnięcia tzw. literatury obozowej, co przyznawał m.in. inny więzień Auschwitz, węgierski noblista – Imre Kertész. Gdy po polskim wydaniu „Losu utraconego" przeprowadzałem z nim wywiad, powiedział, że to właśnie lektura „Proszę państwa do gazu" wyzwoliła go i że i on, i Tadeusz Borowski w swoich książkach przekazali całą prawdę o tym, co przeżyli. Stwierdził też, że obaj byli równie radykalni i bezkompromisowi w swoim dążeniu do wolności. Znając życiorys Borowskiego i to, co pisał w latach bezpośrednio poprzedzających jego samobójczą śmierć w roku 1951, byłem odmiennego zdania, bo jeśli do czegokolwiek w tamtym czasie zmierzał, to nie do wolności, a do zniewolenia.

Obecnie, po wydaniu „Nieocalonego", biografii Tadeusza Borowskiego pióra Marty Byczkowskiej-Nowak, wracam do pisarstwa tego autora tym skwapliwiej, że w ostatnim czasie ukazała się powieść Bohdana Urbankowskiego „Bal u kata", której kanwą jest życie twórcy „Dnia na Harmenzach", ale przede wszystkim z tego powodu, że wciąż pełniąca, niestety, obowiązki polska minister edukacji Barbara Nowacka „popisała się" sławnym już „przejęzyczeniem", mówiąc – w rocznicę oswobodzenia Auschwitz – o obozach „zbudowanych na okupo-



1922–1951 / Z Żytomierza przez Auschwitz do czerwonej Warszawy

Borowskiego ucieczka od wolności

FOT. PAP / MUZEUM LITERATURY

eprasa.pl a7c1105b6a

wanych przez Niemców terenach przez polskich nazistów". Przypomina się w tym miejscu zdanie napisane w 1947 r., w trakcie ostrych polemik o postawę i pisarstwo Borowskiego po jego ataku na Zofię Kossak-Szczucką, autorkę „Z otchłani. Wspomnień z lagru", przez innego więźnia Auschwitz, Henryka Korotyńskiego. Otóż swój tekst zakończył on proroczym zdaniem: „Im później, tym trudniej będzie o historię Oświęcimia – fragment dziejów człowieka, niedający się porównać z niczym innym". Miał rację, choć „przejęzyczenie" Nowackiej przekroczyło pewnie wszystko to, co w najczarniejszych snach ktokolwiek mógł przewidywać ponad 70 lat temu.

Wysoka temperatura pierwszych (będą następne) sporów o Borowskiego wzięła się z tego, że – jak utrzymywał – każdy, kto przeszedł przez piekło Oświęcimia, jest w jakimś stopniu współwinny śmierci tych, którzy go nie przeżyli. Było to trudne do zaakceptowania, o ile to w ogóle było możliwe. Broniły Borowskiego zarówno autentyzm jego opowiadań, jak i ich forma, znamionująca pojawienie się w literaturze polskiej niezwykłego talentu. Ale też nie przeoczmy faktu, że dyskusja na temat Borowskiego nie wykroczyła (z małymi wyjątkami) poza krąg osób zawodowo zajmujących się pisarstwem. Dlaczego tak się stało?

„Nawet gdyby chciał mówić więcej, głośniej i jeszcze wyraźniej – pisze Marta Byczkowska-Nowak – okoliczności temu nie sprzyjały. Wykrzyczana choćby najdonośniej prawda o człowieku jest w tamtej Polsce tematem nie tylko zbyt trudnym do przyjęcia, lecz i coraz bardziej pobocznym. Dyskusja wokół narracji obozowych, gorąca, zaciekła, oskarżycielska, będzie toczyła się w pierwszych powojennych latach mimo wszystko na marginesie głównego wątku krytycznego – potrzeby realizmu przybliżającego »nową, ludową, suwerenną«. Świat popiołów, kraj gruzów, miasta krematoriów rozpłyną się w tej wielkiej narodowej rozmowie o życiu codziennym mas robotniczych i chłopskich, o sprawiedliwości społecznej i wrogach klasowych. Borowski nie tylko weźmie udział w tej dyskusji, więcej: będzie nadawał jej ton […]. Tadeusz Borowski nigdy jednak nie opublikuje swojego »Życiorysu obozowego«. Zostawi go gdzieś w papierach.



Tadeusz Borowski i Mieczysław Jastrun

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUDESARCHIV BILD, RUDOLPH

Ale nie byłem prominentem,
nie miałem nigdy margaryny.
I nie chodziłem macać dziewcząt
Na lager »c«, na perski rynek.

Nie piłem wódki. Czekolady
za zęby z trupów też nie żarłem,
z rampy niczego nie ukradłem
i nie włóczyłem się po saunie.

Tak byłem więźniem. Jadłem paczki,
nie pracowałem póki mogłem.
Żyłem bez szkody dla nikogo.
Lecz też nikomu nie pomogłem".

Za nasz spalony dom

W 1948 r. ujrzą światło dzienne dwa tomy jego opowiadań: „Kamienny świat" i „Pożegnanie z Marią". W tym samym też roku Tadeusz Borowski wstąpi do Polskiej Partii Robotniczej i skończy się jako pisarz. Przemieni się w aparatczyka, autora tępych agitek, w których będzie przekonywał do komunizmu czytelników zdumionych, a niekiedy przerażonych popadnięciem kontrowersyjnego, ale olśniewającego swą prozą pisarza w literacki stupor. Mogły już tylko przygnębiać jego – cóż z tego, że nagradzane przez partię – „Opowiadania z książek i gazet", „Mała kronika wielkich spraw", „Na przedpolu" czy „Czerwony maj". Niestety, zdarzało mu się jeszcze pisywać wiersze – straszne.

Nastąpiły też zmiany w jego życiu prywatnym i zawodowym. W 1949 r. wyjechał do Berlina Wschodniego, by oficjalnie pracować w Polskim Biurze Informacji Prasowej, nieoficjalnie zaś prowadzić działalność usługową dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Tak, jako agent.

Jan Kott w przedmowie do angielskiej edycji opowiadań Borowskiego napisał, że był on „największą nadzieją literatury polskiej wśród okrutnie przetrzebionego przez wojnę pokolenia jego rówieśników. Był również największą nadzieją partii komunistycznej, jej wyznawcą, apostołem i inkwizytorem; musiało minąć wiele lat, zanim wielu z nas zrozumiało, że był również jej męczennikiem".

I pomyśleć, że po zakończeniu wojny i wyzwoleniu obozu w Niemczech, filii Dachau, gdzie był więziony, przebywał przed powrotem do kraju (wrócił w połowie 1946 r.) we Francji i napisał tam wiersz „Dwie ojczyzny", zwracając się do swojego paryskiego rówieśnika:

Tobie Ojczyzną – Tryumfalny Łuk,
defiladowa muzyczka zwycięska,
a mnie Ojczyzną – parszywy grób
w lasku pod Smoleńskiem!

eprasa.pl a7c1105b6a

Tobie Ojczyzną – spokojny kąt
i kark, który posłusznie się gnie,
a mnie Ojczyzną – spalony dom
i rejestracja w NKWD.

Minęło nie tak znów wiele czasu, a już zza żelaznej kurtyny grzmiał, spoglądając na Zachód: „My, artyści epoki socrealizmu, nie potrzebujemy uznania bankiera, który inwestuje kapitały w Rafaela i Picassa. Van Dyckiem zakrywa schowek w ścianie. Formalizm nie jest sztuką, lecz jej chorobą. Żeruje na sztuce jak stonka ziemniaczana na kartoflach. Jest zarazkiem imperializmu. Nienawidzę kłamców bez sumienia. Tych, co głoszą cnoty imperializmu, skamlą o jego powrót. Kto rezygnuje z wymowy sztuki – ten jest lokajem imperializmu, ten nie jest za pokojem, tylko za wojną, gdyż cała ta sztuka służy grabieży, wyzyskowi i wojnie”.

Smutne dzieciństwo

Urodził się Tadeusz Borowski w 1922 r. w Żytomierzu. Przez wieki polskim, po traktacie ryskim pozostawionym wszak poza wschodnią granicą Rzeczypospolitej, stającym się stolicą guberni, a później okręgu i obwodu Ukraińskiej SRS. Tadeusz Drewnowski, przez dziesięciolecia uchodzący za alfę i omegę w kwestiach dotyczących Borowskiego, bzdurzył, że pisarz pochodził z „rdzennej Ukrainy”. Dobrze, że nie doszedł do wniosku, iż był Ukraińcem. Ten kustosz pamięci o Borowskim zafałszował także niemało innych informacji, które doczekały się wreszcie wyprostowania, jak np. uderzająca w dobre imię rodziny Tadeusza rewelacja, jakoby wywodził się on z „nizin społecznych”. Nie wybaczyła tego nigdy Drewnowskiemu matka autora „U nas w Auschwitzu”.

Dzieciństwo miał Tadeusz smutne i dramatyczne. Jego ojciec – Stanisław Borowski – za dawną działalność w Polskiej Organizacji Wojskowej i pracę na rzecz polskiego wywiadu, a w gruncie rzeczy za to, że był Polakiem, w 1926 r. został skazany i wywieziony do łagru w Karelii. Cztery lata później matkę Tadeusza – Teofilę z domu Karpińską – zesłano na Syberię. Starszy brat przyszłego pisarza, Juliusz, znalazł się w internacie, Tadeuszem opiekowała się ciotka. Do Polski, gdzie połączyli się z ojcem, wymienionym przez sowieckie władze na więzionych komunistów, chłopcy przybyli na papierach Czerwonego Krzyża w 1932 r. W lipcu 1933 r., po powrocie z zesłania, dołączyła do nich matka.

Rodzina żyła skromnie na Powiślu, ojciec był magazynierem u Lilpopa, matka prowadziła kursy krawieckie, ale w tym domu przywiązywano wagę do kształcenia dzieci. Tadeusz uczył się w Gimnazjum im. Tadeusza Czackiego. Maturę zdał już konspiracyjnie, podejmując następnie studia na tajnym uniwersytecie.

W 1943 r., szukając swojej narzeczonej, Marii Rundo zwanej Tuśką, wpadł w „kocioł” przy ulicy Puławskiej; oboje zostali aresztowani i wywiezieni do Oświęcimia. Po latach pisarz tak podsumuje swoje wczesne lata: „Ojciec siedział pod Murmańskiem, albo Matka była na Syberii, albo ja byłem w internacie [bursie Franciszkanów w Warszawie – przyp. K.M.], na prywatce [mieszkając w podnajętym pokoju – przyp. K.M.] czy w obozie”.

Dzieciństwo miał Tadeusz smutne i dramatyczne. Jego ojciec – Stanisław Borowski – za dawną działalność w Polskiej Organizacji Wojskowej i pracę na rzecz polskiego wywiadu, a w gruncie rzeczy za to, że był Polakiem, w 1926 r. został skazany i wywieziony do łagru

Prywatne obowiązki

W wydanym w podziemiu tomiku poezji „Gdziekolwiek ziemia”, który zdążył złożyć przed aresztowaniem, Borowski zamieścił wiersz mający stać się wizytówką i jego, i całej generacji nazwanej później przez Romana Bratnego Pokoleniem Kolumbów. Pisał w nim:

Nad nami noc. Goreją gwiazdy,
dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

„Ostatni dwuwers, najgłośniejszy chyba w poezji Borowskiego, interpretowany przez większość – zarówno współczesnych pisarzowi, jak i późniejszych krytyków – jako wyraz rozpaczy i rezygnacji, nieliczni widzą jako stoicką męską deklarację trwania przy osobistym katalogu wartości nawet wbrew sensowi historycznemu” – czytamy w „Nieocalonym” Marii Byczkowskiej-Nowak. Poeta, w przeciwieństwie do swoich rówieśników ze „Sztuki i Narodu” w latach okupacji, wraz z niewielką grupą tzw. esencjastów, wręcz ostentacyjnie wybiera prywatność – nie walkę. Autorka „Nieocalonego” tak to podsumowuje: „Warszawa konspiruje, oni piszą wiersze. Warszawa się zbroi, oni piją wódkę. Warszawa staje do walki, oni czytają Horacego”.

Trzydzieści siedem lat po śmierci Borowskiego Jan Walc kończył poświęcony mu esej w „Kulturze Niezależnej” skonfrontowaniem postawy twórcy zbioru „Gdziekolwiek ziemia” i jego przyjaciół, a zarazem antagonistów ze „Sztuki i Narodu” czy – szerzej – generacji powstania warszawskiego, pisząc: „Kiedy mówi się o tragizmie losów tego pokolenia poetów, mając na myśli zagipsowane usta Andrzeja Trzebińskiego czy przestrzeloną głowę Krzysztofa Baczyńskiego, mamy do czynienia – mimo wszystko – z nieporozumieniem, bo ofiara tragiczna to ofiara daremna.

Piasku, pamiętasz? Wisło, przepłyniesz
szorstkim swym suknem po płaszczu plemion.
Gdy w boju padnę – o, daj mi imię,
moja ty twarda, żołnierska ziemio.

(Krzysztof Kamil Baczyński »Mazowsze«).

I wypełniło się. Ci chłopcy polscy, nawet jeśli haftowano im smutne oczy rudą krwią, wpisali się swoim życiem w rytm swojego świata, swojej kultury, swojego kraju. Ich los był smutny, bo smutna jest

eprasa.pl a7c1105b6a

tego kraju historia. Tragiczny był natomiast los Tadeusza Borowskiego w jego kosmicznej samotności, jego wyobcowaniu poza ten kraj, tę kulturę i ten świat. Jedyne, co możemy dla niego dziś zrobić, to potraktować ten los jako przestrogę".

I przywołać w tym miejscu znamienną strofę jego „Życiorysu wojennego":

I takie życie: wiersze, miłość,
bez charakteru, puste, blade.
Może by nie stracone było,
Gdybym jednego Niemca zabił.

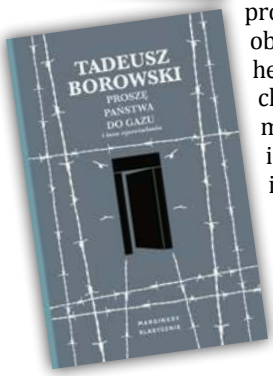
W imię nowego człowieka

W tym samym, brawurowym – jak zwykle u tego autora – szkicu „Gdy ziemia nie jest już snem i śnić do końca nie można" Jan Walc, w przeciwieństwie do apologetów Borowskiego z Tadeuszem Drewnowskim na czele, nie prześlizgnął się nad socrealistyczną publicystyką twórcy „Pożegnania z Marią". Przeciwnie – potraktował ją z całą powagą. Śmiertelną.

„Jeśli dookoła jest zło – czytamy – i nic nie można na to poradzić, trzeba je usensownić, zaprzęgnąć w służbę nadziei. Chodzi o supremację jednego z dwu przykazań: albo chrześcijańskiego »nie zabijaj«, albo marksowskiego »nie wyzyskuj« i podporządkowanie mu wszystkich innych »mniej« ważnych. »Nasze pretensje do kultury zachodniej, to tylko złudzenie grupy inteligentów«, »nowy człowiek nie przyjdzie z Europy. Mówić serio o przestrzeganiu przykazania zabraniającego zabijać nie można, więc w imię tego nowego człowieka – proszę państwa do łagru«.

Tadeusz Borowski wraca do kraju i bierze do ręki dymiącą broń. Więc jeszcze w Monachium »bladzie z Aka« czy »Król











Duch« – ten faszystowski poemat. I jego Führerprinzip. A później już seriami: »Czesław Miłosz jest klasycznym przykładem ilustrującym tezy Georga Lukacsa o nihilizmie«, »Eliot jest świadomym prowokatorem, piewcą obskurnego średniowiecza, heroldem imperializmu i – chwałą faszyzmu […]; Jego miejsce jest obok koestlerów i sartrów, huxley'ów i silone'ów«, »Dos Passos […] to nie pisarz, to faszysta«, »Ostrzenie noży słychać w niewinnych lirykach i «uczciwych» artykułach, w tasiemcowych ezoterycznych rozważaniach Jaspersa, […] w mowach Ortegi y Gasset […], w biologizmie Hemingwaya«. Jeszcze przeciągnie po »faszyzmie spod znaku de Gaulle'a«, nazwie Bertranda Russella »ideologiem imperializmu«, przypomni, że »nie można naśladować Sartre'a i być humanistą« – i przejdzie do wniosków".

„Sztuka burżuazyjna […] tysiącami i milionami nici powiązana […] z wywiadami, uprawia obrzydliwą robotę dywersyjną, jest takim samym narzędziem, jak prasa pornograficzna, »amerykański styl życia« i stonka ziemniaczana. Kiedy literatura maskując się pielęgnowaniem »wieczystych« tradycji kulturalnych, traci głowę wobec imperialistycznej, rozkładowej twórczości Sartre'a czy Hemingwaya, gdy w głębi duszy kocha Prousta i Rilkego – wtedy z taką literaturą trzeba walczyć. Po prostu »wściekłego psa poezji kapitalistycznej trzeba izolować, sam zdechnie w konwulsjach«".

No tak, no tak.

Tragizm Bety

2 lipca otworzył gaz w swoim niewielkim mieszkaniu na warszawskiej Ochocie. Następnego dnia zmarł. Wcześniej, odwiedzając w szpitalu żonę, która urodziła ich córkę, miał przyznać się: „Jestem okropnie dwulicowy". Kiedyś ojciec wygarnął mu w liście, że chciałby go nazwać „świnią przez duże Ś". Na emigracji pożegnano go najgorszymi słowami: „Umarł młody kapo literatury polskiej".

A przecież jego opowiadania oświęcimskie powinny zajmować w literaturze powszechnej najwyższe miejsce, a sam Borowski winien znany być jak Primo Levi. Cóż, Gustaw Herling-Grudziński napisał swój „Inny świat" wiele lat przed „Archipelagiem GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna, a było, jak było, i jest, jak jest.

Borowskiego uwiecznił za to Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle", pseudonimując go drugą literą klasycznego alfabetu greckiego. „Beta był pojętny – tak pisał o nim. – W miarę, jak zapoznawał się z dziełami teoretyków leninizmu-stalinizmu, przekonywał się, że to było właśnie to, czego szukał. Nienawiść, jaka w nim istniała, można przyrównać do burzliwej rzeki, niszczącej wszystko po drodze. Gnała ona naprzód bezużytecznie: cóż prostszego, jak skierować jej bieg w pożądanym kierunku, a nawet ustawić nad nią wielkie młyny, które będzie obracać? Cóż za ulga: nienawiść użyteczna, nienawiść w służbie społeczeństwa!". Tyle że z każdą chwilą, gdy nienawiści tej przybywało, ubywało zarazem – literatury.

A w wierszu „Na śmierć Tadeusza Borowskiego" Miłosz tak ujął życiopisanie bohatera utworu:

Borowski zdradził. Uciekł tam gdzie mógł.
Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogrodu.
Co może wtedy człowiek? Drobny stuk
Serca tak mało znaczy […].

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Józef Chełmoński „Żurawie” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Książka miesiąca / Józef Chełmoński

Malarz polskości

Album ten nie bez powodu ukazał się właśnie w ostatnim czasie. Niewielu malarzy było bowiem w ostatnich miesiącach, a może nawet kiedykolwiek (chyba z wyjątkiem Jana Matejki) na ustach tak wielu Polaków, jak Józef Chełmoński. A wszystko to za sprawą wielkiej monograficznej wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie. Zgromadzono na niej setki dzieł artysty, także tych z prywatnych kolekcji, nieprezentowanych publicznie. W MNW prace Chełmońskiego zobaczyło ponad 170 tys. osób, co – jak przyznali kuratorzy wystawy – jest fenomenem w dziejach muzeum. Szanse na zobaczenie tej samej lub nawet bogatszej wystawy będą już niebawem w muzeach w Poznaniu i Krakowie. Zapewne będą się cieszyć tak wielkim zainteresowaniem jak w stolicy.

Co sprawia, że dzieła Chełmońskiego są tak cenione przez krytyków i historyków sztuki, a jednocześnie tak uwielbiane przez rzesze odbiorców? Jednym z powodów jest unikatowa zdolność Chełmońskiego do pokazywania polskiej przyrody, w tym tych ulotnych chwil, których każdy z nas miał okazję kiedyś doświadczyć. Różowiejące niebo o wschodzie słońca, ptak, który nagle wypadł z zarośli, spłoszone zwierzęta umykające przed ludźmi. Chełmoński jak mało kto potrafił uchwycić te ulotne momenty. „On jeden malował muzykę wieczoru – chmury komarów i brzęczenie przelatującego z sadu do sadu chrabąszcza; on chciał, by nad łąkami kwiliła czajka, by karczma dudniła całą wściekłością oberka, by jarmark huczał całym warchołem zmieszanych głosów, by znad dalekich nocnych pastwisk rozlegało się rżenie koni; chciał też, żeby w obrazie zaległa cisza nocy” – pisał o malarstwie Chełmońskiego inny znany pejzażysta, Stanisław Witkiewicz.

Chełmoński potrafił malować jednak nie tylko naturę. Duża część jego dzieł przedstawia przydrożne karczmy, chłopskie chaty, sceny rodzajowe przed nimi, polowania. W jego obrazach widać też ogromną fascynację końmi, ich dynamiką, nieujarzmioną naturą. Chyba tylko z wyjątkiem Wojciecha Kossaka, uważanego za najdoskonalszego malarza koni, to właśnie Chełmoński ukazał w swoich dziełach największą liczbę tych zwierząt. Konie są dzikie, pokazane w pędzie. Na obrazach Chełmońskiego mało który z nich stoi spokojnie. Widać wyraźnie, jak wielkie wrażenie robiły na malarzu końskie zaprzęgi, trójki, czwórki, rozpędzone, „idące” jakby wprost na widza.

Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska, znana krakowska historyk sztuki, w monumentalnym, pięknie wydanym albumie zaprezentowała bardzo bogaty wybór dzieł Józefa Chełmońskiego. W pracy znajdują się także biografia malarza oraz opisy jego prac: historie ich powstania, odniesienia do czasów jemu współczesnych. W albumie nie brakuje zdjęć Chełmońskiego oraz jego rodziny i przyjaciół, w tym fotografii z licznych podróży na dawne kresy Rzeczypospolitej, dzisiejszą Ukrainę. To właśnie tamtejsza przyroda oraz życie codzienne mieszkańców tak często stawały się inspiracją dla zakochanego w polskości artysty. Teksty w albumie są w językach polskim i angielskim, dzięki czemu może on śmiało promować polską sztukę na świecie i udowadniać, cytując Mikołaja Reja, że „Polacy nie gęsi” i swych wielkich, nie mniejszych niż na Zachodzie artystów mieli. ©℗

Anna Szczepańska



STEFANIA KRZYSZTOFOWICZ-KOZAKOWSKA
„JÓZEF CHEŁMOŃSKI”
BOSZ

eprasa.pl a7c1105b6a

Kopiowanie starych imperiów

Autor zaczyna swoją opowieść o drugiej wojnie światowej zaskakująco daleko od Westerplatte. Richard Overy sięga do drugiej połowy XIX w., pokazując imperialne ambicje świeżo zjednoczonych Włoch i Niemiec, a także Japonii, w której w 1868 r. rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę modernizacja. Kraje, które w latach 30. XX w. stworzą Oś, od dawna starały się podważyć globalny porządek imperialny, utrzymywany głównie przez Brytyjczyków i Francuzów.

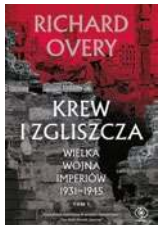
W tej optyce globalny konflikt, który wepchnął Polskę do sowieckiej strefy wpływów, był w istocie „długą drugą wojną światową". Overy argumentuje, że była to ostatnia wojna imperiów. I właśnie ten imperialny wątek przewija się przez całą książkę: „Porządek ten kształtował i pobudzał fantastyczne ambicje w Japonii, Włoszech i Niemczech, które nie posiadały własnych imperiów kolonialnych i chciały zapewnić sobie przetrwanie oraz wyrazić swoją tożsamość narodową poprzez podbój terytorialny".

Jak zauważa Overy, historycy dopiero niedawno zaczęli zwracać uwagę na swoistą globalną sieć powiązań, które stworzyły państwa Osi, kopiując (oczywiście na mniejszą skalę) rozwiązania wdrożone przez imperia, które chciały one obalić. „Przyczyny i przebieg drugiej wojny światowej wynikają właśnie z imperialnych zakusów i kryzysów, których korzenie sięgają epoki sprzed 1914 r. Z kolei ostateczny wynik drugiej wojny światowej położył kres trwającej prawie pół tysiąca lat epoce kolonializmu i pomógł skonsolidować państwa narodowe" – podkreśla autor.

Jak do tego wszystkiego miały się ideologie, które opętały społeczeństwa państw Osi (w najmniejszych stopni Włoch)? Brytyjski historyk nie bagatelizuje tego czynnika, ale jednak przekonuje, że nie był on kluczowy w kwestii rozpętania wojny (lub przyłączenia się do niej).

W tym numerze „Historii Do Rzeczy" Grzegorz Janiszewski przypomina klęskę niemieckiej marynarki wojennej poniesioną w 1914 r. nieopodal Falklandów. Flota Oceaniczna, która miała zabezpieczać planowane niemieckie imperium kolonialne, została pokonana przez Royal Navy. ©℗

Piotr Włoczyk



RICHARD OVERY
„KREW I ZGLISZCZA. WIELKA WOJNA IMPERIÓW 1931–1945", T. 1
REBIS

Ukraina, Rosja i my

Kto chce poznać odległe korzenie wojny, którą Rosja prowadzi przeciw Ukrainie, powinien sięgnąć po książkę zawierającą rozmowy Jacka Komudy z Jackiem Bartosiakiem i Markiem Budziszem. Jest to rzecz o rozpoczętej w XVI w. walce Rosji nie tylko o ziemie ukraińskie, lecz także o dominację w Europie Środkowej. Punktem zwrotnym tych zmagań było powstanie Chmielnickiego oraz jego skutki. Ta walka trwa dziś na Ukrainie, a w książce mowa jest o jej geopolitycznym znaczeniu. A także odwiecznej niewolniczej duszy Rosjan. ©℗ ***(t.s.)***



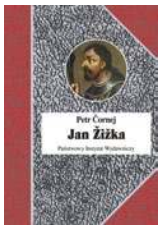
JACEK KOMUDA, JACEK BARTOSIAK, MAREK BUDZISZ
„ROZMOWY O PIERWSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ"
ZONA ZERO



ALBERTO ANGELA
„JEDEN DZIEŃ W STAROŻYTNYM RZYMIE. ŻYCIE POWSZEDNIE, SEKRETY, CIEKAWOSTKI"
CZYTELNIK

W STAROŻYTNYM RZYMIE

Książka zabiera czytelników w podróż po Imperium Rzymskim. Autor pokazuje życie codzienne w stolicy cesarstwa u szczytu jego potęgi, za panowania Trajana. Zaglądamy do warsztatów rzemieślniczych, w ciasne zaułki i do bogatych domów. Co jedli Rzymianie? O której wstawali? Jak spędzali czas wolny? Duża atrakcja dla wszystkich miłośników Imperium Romanum. ©℗ ***(a.s.)***



PETR ČORNEJ
„JAN ŽIŽKA"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

JEDNOOKI GIGANT

Dwutomowa praca poświęcona jest czeskiemu bohaterowi narodowemu. Jan Žižka przeszedł do historii jako dzielny rycerz, hardy najemnik, ale przede wszystkim jako wielki bojownik o czeską tożsamość i religię, sprzeciwiający się habsburskiemu uciskowi. Niezwykle barwna postać, w Polsce znana m.in. z udziału w bitwie pod Grunwaldem. ©℗ ***(a.s.)***



STANISŁAW SROKOWSKI
„Z KOŚCIOŁA DO PIEKŁA"
FRONDA

NAZWISKA Z WOŁYNIA

Autor, pisarz i świadek ukraińskiego ludobójstwa, kontynuuje tragiczną opowieść o zbrodni w Hucie Pieniackiej. Dzięki jego nowym ustaleniom udało się poznać nazwiska kolejnych ofiar, a także zbrodniarzy z OUN-UPA, dotąd anonimowych. Książka zawiera relacje świadków ukraińskich zbrodni. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl a7c1105b6a



Felieton

Salut dla posełka

Rafał A. Ziemkiewicz

Pewien poseł rządzącej dziś Polską koalicji – zbyt mało znaczący, by unieśmiertelniać go tu podaniem imienia i nazwiska – na chwilę podbił internety swym zachowaniem podczas wiecu kandydata swej partii na prezydenta. Czyjaś kamera czy może komórka zarejestrowała, jak przechodząc koło zabezpieczających imprezę policjantów, poseł warknął na nich władczo: „Czapki na głowę! Posłowi się salutuje!”.

Oczywiście niż podobnego – ani policjanci, ani żołnierze, ani nikt absolutnie nie ma obowiązku salutować parlamentarzyście. Ale uroszczenie koalicyjnego posła czy może wręcz – jak zwykł mawiać Ryszard Bugaj – „posełka” jest bardzo charakterystyczne. Został politykiem, załapał się do Sejmu, czyli „poszedł w pany” – no to niech inni wiedzą, z kim mają do czynienia!

Nieżyjący już Ludwik Dorn opowiadał kiedyś, jaki mieli problem i on sam, i każdy inny minister spraw wewnętrznych w jego czasach: nachodziły ich całe korowody polityków, niekoniecznie posłów, także niższych szczebli, domagając się dwóch rzeczy: przyznania im „koguta” na dach samochodu i pozwolenia na broń. Z tych dwóch powszechnie pożądanych dóbr znacznie bardziej pożądany był „kogut” – nie taki na stałe, ale taki na przewodzie i z magnesem, który można wystawić na dach samochodu i uruchomić w dowolnej chwili, zadając w ten sposób szyku i dobitnie pokazując wszem wobec, że oto jedzie „pan”, a nie byle kto.

„Złota wór wysypie ludziskom przed ślipie, postawię se pański dwór” – jak to śpiewał pijany parobek w „Weselu” Wyspiańskiego. Po hekatombie wojny światowej skazani jesteśmy na władzę ludzi mających takie właśnie proste marzenia. Prawdziwe elity wyginęły, a w każdym razie zostały tak przetrzebione, że przestały się liczyć, ktoś je musiał zastąpić. Sam w sobie awans społeczny to rzecz dobra, pożądana. Ale u nas coś poszło nie tak: aspirujący do roli nowych elit, szczególnie do „klasy politycznej”, wnieśli do życia społecznego swoje koślawe wyobrażenie o byciu „panem” i zaczęli tak się zachowywać, jak sobie „pańskość” wyobrażali.

Cóż, napisałem całą książkę o tym nieszczęściu, którym był brak w naszych dziejach porządnego buntu chłopskiego. W efekcie polski „cham” nigdy nie nauczył się szacunku dla samego siebie. Nauczył się mimikry, naśladowania szlachcica – ale, niestety, głównie w tym, co w szlachcicu najmniej naśladowania godne.

Przede wszystkim w tym, co stary Witkacy nazwał świetnie „puszeniem się”. Szlachcic musi mieć szablę – stąd pęd współczesnych panów do obnoszenia pistoletów, przy jednoczesnym utrudnianiu do niemożności zdobycia pozwolenia na broń „pospólstwu”. Szlachcic musi mieć konia, a koń musi być zdobiony bogatym rzędem – stąd towarzyski obowiązek posiadania „wypasionej bryki” z prawem do jeżdżenia „na bombach”. Szlachcic potrzebuje, żeby mu „czapkowano” – stąd aberracyjne wymuszanie przez byle posełka czy świeżo awansowanego wiceministra prężenia się przed nim i „bicia mu w dach”.

Ludzie, którzy sprytem i gorliwą służbą wybranej politycznej sitwie wdarli się do sfer wyższych i nabrali poczucia sukcesu, nie potrafią go skonsumować inaczej niż w taki właśnie sposób. No, jeszcze oczywiście przez okazywanie bezbrzeżnej pogardy biedocie i „wiosze”, z której im samym, dzięki sprytowi i giętkości grzbietu, udało się wyrwać.

Niesamowite i fascynujące jest to, jak głęboko tkwią w ludziach takie instynkty, przechodząc z pokolenia na pokolenie. ©℗

Aspirujący do roli nowych elit, szczególnie do klasy politycznej, wnieśli do życia społecznego swoje koślawe wyobrażenie o byciu „panem”

eprasa.pl a7c1105b6a

/ Felieton



Piotr Semka

Austriackie gadanie

Coraz częściej politykę w zachodnich państwach determinuje zderzenie dwóch czynników. Z jednej strony co rusz wybuchają „rewolucje" bazujące na radykalizujących się nastrojach społecznych. Wynoszą one do władzy tożsamościową prawicę, wbrew rozmaitym koalicjom „demokratycznym", które próbują zatrzymać ludzi określanych przez liberalne elity „populistami". Z drugiej strony siły pragnące zmiany na szczytach władzy muszą zmagać się z hałaśliwym klangorem postępowych mediów, które uważnie monitorują wystąpienia nielubianych prawicowych polityków i przy byle okazji odkrywają w nich zapowiedzi pojawienia się „brunatnej fali". Byle słowo lub nawet nieopatrzny gest, jak w przypadku Elona Muska, uznawane są za dowód na zagrożenie recydywą hitleryzmu.

W tej dyscyplinie mistrzem był zawsze lewicowo-liberalny establishment medialny Austrii. Ostrzeganie mieszkańców państwa leżącego nad modrym Dunaju, że duch Adolfa tylko czeka, by znów zawładnąć duszami Austriaków, to ulubione zajęcie tutejszych elit.

Od dekad reagują one neurotycznie na wszelkie sukcesy FPÖ – partii austriackich wolnościowców. Przez lata na nowego Hitlera kreowano Jörga Haidera – lidera FPÖ z lat 80. i 90. Nowe wzmożenie wywołała wygrana FPÖ w austriackich wyborach parlamentarnych w październiku 2024 r. Wobec wyraźnego sukcesu wolnościowców wydawało się, że w tej sytuacji naturalny jest sojusz FPÖ z austriacką chadecją, czyli ÖVP.

No i się zaczęło. Aby sparaliżować chadeków, należało udowodnić, że Herbert Kickl, kandydat na kanclerza ze strony wolnościowców, to kryptonazista. Zauważono, że prawicowy polityk bardzo często używa terminu „Volkskanzler", czyli „kanclerze ludowy". Z lubością przypominano, że tym samym określeniem propaganda NSDAP obdarzyła Adolfa Hitlera na początku lat 30.

W specjalnym plebiscycie w mediach określenie „Volkskanzler" wybrano najgorszym austriackim słowem roku

Wtedy to naziści walczyli o głosy robotniczo-chłopskie i podkreślanie ludowego pochodzenia Hitlera w opozycji do wielu polityków niemieckich obozu liberalnego, wywodzących się z arystokratycznych domów, miało stworzyć wrażenie „swojskości" wodza z wąsikiem. Tyle że nijak nie ma się to do historii Austrii, bo po 1934 r. Goebbels nakazał wyłączne używanie tytułu „Führer und Reichskanzler", czyli wódz i kanclerz Rzeszy. Austrię wcielono do Wielkich Niemiec dopiero w 1938 r., czyli w okresie, gdy już od czterech lat określenie „Volkskanzler" starannie wygumkowano z nazistowskich mediów.

Co więcej, historycy przypominają, że określenia „kanclerz ludowy" używano wobec Friedricha Eberta z SPD rządzącego Niemcami w latach 1919–1925. A w Austrii lubili używać tego tytułu najpierw chadecki kanclerz Leopold Figl, który rządził w pierwszych powojennych latach, a potem socjaldemokrata Bruno Kreisky (władał alpejską republiką w latach 1971–1983).

Historycy swoje, a liberalno-lewicowe media swoje. I tak wyciągnięto hasło z niemieckiego słownika Dudena z 1941 r., gdzie przy „kanclerzu ludowym" można przeczytać: „Tytuł Adolfa Hitlera używany dla wyrażenia więzi między narodem a przywódcą". Szybko jednak zwolennicy Kickla zepsuli zabawę lewicowcom, przypominając, że raptem 13 lat temu ówczesny przywódca austriackiej socjaldemokracji i kanclerz federalny Alfred Gusenbauer sam siebie nazwał „kanclerzem ludowym". Ale kto dzisiaj czyta sprostowania historyków? W specjalnym plebiscycie w mediach określenie „Volkskanzler" wybrano najgorszym austriackim słowem roku. Szkoda, że równolegle nie zrobiono plebiscytu na sport roku. „Polowanie na zakazane słowa" zapewne wygrałoby bezapelacyjnie. ©℗

eprasa.pl a7c1105b6a

1914 r. / Błąd, który zabił cesarskie Niemcy

Niemcy toną na Falklandach



Koniec „Scharnhorsta", na drugim planie walczący „Gneisenau". Praca Williama Lionela Wylliego FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Grzegorz Janiszewski

W 1914 r. w bitwie koło Falklandów zginęło ponad 2 tys. niemieckich marynarzy na czele z adm. von Spee. Zniszczenie jego eskadry nie tylko pogrzebało marzenia Berlina o panowaniu nad morzami, lecz także zwiastowało upadek kajzerowskiej Rzeszy

Niemcy po zjednoczeniu w 1871 r. zaczęły rozwijać się w niesamowitym tempie. Potężna, uprzemysłowiona gospodarka i kilkusettysięczna armia czyniły z nich europejską potęgą lądową. Niemieckie państewka – z wyjątkiem hanzeatyckich – przez setki lat nie były jednak zainteresowane morzami. Późno zjednoczone nie brały udziału w wyścigu o kolonie. Zwiększający się eksport niemieckich towarów odbywał się w dużej mierze za pośrednictwem obcych portów i statków. Royal Navy w pełni kontrolowała najważniejsze szlaki żeglugowe i cieśniny.

Niemieckie ambicje morskie były rozsądnie temperowane dopóty, dopóki rządził Bismarck. Ten zagorzały zwolennik europejskiej równowagi mawiał, że obce ziemie „nie są warte kości jednego pomorskiego grenadiera". Po odsunięciu w 1890 r. starego kanclerza, zakompleksiony, a zarazem narwany Wilhelm II widział Niemcy jako Weltmacht – światową potęgę rzucającą wyzwanie nie tylko Rosji czy Francji, lecz także samej Wielkiej Brytanii. Aby to osiągnąć, trzeba było poważnie zainwestować w budowę pełnomorskiej floty. Jak to ujął sam cesarz: „Wielka przyszłość Niemiec leży na morzu. Musimy chwycić trójząb!".

Wilhelm, od dawna zafascynowany marynarką i morzem, znalazł wykonawcę swoich światowych planów w osobie adm. Alfreda von Tirpitza, którego w 1897 r. mianował sekretarzem Urzędu Morskiego Rzeszy. Umiejętnie forsowane przez niego ustawy z lat 1898 i 1900 zapewniły stabilne finansowanie dla budowy floty, która była w stanie stawić czoła marynarkom Francji, Rosji i Wielkiej Brytanii.

Wkrótce stało się to ogólnokrajową pasją, realizowaną z niemiecką nadgorliwością. Marynarka, w odróżnieniu od

eprasa.pl a7c1105b6a

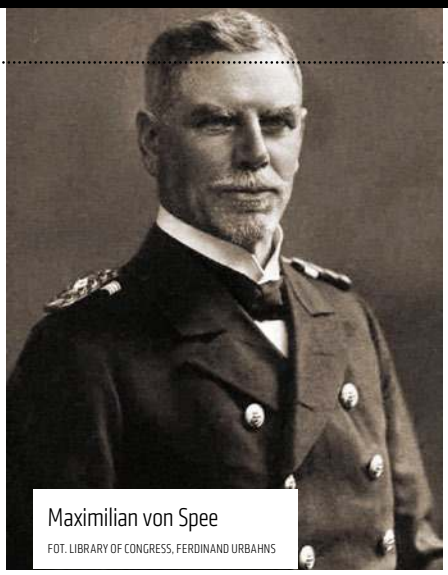
armii poszczególnych państw niemieckich, była prawdziwym symbolem zjednoczonych Niemiec. W dodatku dosyć egalitarnym, bo oficerami – w przeciwieństwie do piechoty czy zwłaszcza kawalerii – mogły tam zostać mieszczańskie, a nawet chłopskie dzieci. Ogromne zbrojenia morskie pobudzały rozwój gospodarki i infrastruktury, łagodząc napięcia społeczne poprzez polepszenie stopy życiowej.

Tirpitz widział w marynarce straszaka powstrzymującego Wielką Brytanię. Miało to być gwarancją równowagi tak jak za Bismarcka, tyle że na morzach. Wilhelm II z kolei upatrywał w niej broń ofensywną, przeznaczoną do wywalczenia przewagi. Ta iście niemiecka kwadratura koła skończyła się tragicznie – nie tylko dla samej marynarki, lecz także dla niemieckiego państwa. Nie słuchano głosów postulujących rozwój broni bardziej przydatnych w niemieckim położeniu, takich jak okręty podwodne, torpedy i miny. Koncentrowano się na budowie wielkich okrętów liniowych.

W 1914 r. Hochseeflotte – jak od 1907 r. nazywano niemiecką marynarkę – była drugą potęgą morską świata, ale wciąż daleko jej było do Royal Navy. Po wybuchu wojny Anglicy nie kwapili się ani do „bliskiej blokady morskiej", ani do „decydującej bitwy" na Morzu Północnym, do której szykowano niemiecką marynarkę. Flota była uwięziona na Morzu Północnym. Ofensywne działania prowadziły niewielkie wydzielone grupy okrętów, porozrzucane w różnych częściach świata.

Kwiaty dla admirała

Jedną z nich była Eskadra Wschodnioazjatycka. Niemcy od 1897 r. posiadali stałą bazę marynarki w Jiaozhou w Chinach. Po wybuchu pierwszej wojny światowej dowodzący eskadrą wiceadm. Maximilian von Spee – jeden z najzdolniejszych oficerów niemieckiej marynarki – z powodzeniem atakował jednostki handlowe i bazy przeciwnika. Trzon sił eskadry tworzyły krążowniki pancerne „Scharnhorst" i „Gneisenau" oraz krążowniki lekkie „Emden", „Leipzig"



Maximilian von Spee

FOT. LIBRARY OF CONGRESS, FERDINAND URBAHNS

i „Nürnberg". We wrześniu dołączył jeszcze SMS „Dresden", wcześniej rajdujący na Atlantyku, zmieniając „Emdena", który pozostał na Pacyfiku. Po przystąpieniu Japonii do wojny jedyną szansą na ocalenie eskadry był powrót do Niemiec. Spee zdawał sobie sprawę z beznadziejności tego pomysłu, mówiąc: „Jestem zupełnie bezdomny. Nie mogę dotrzeć do Niemiec. Nie mamy innej bezpiecznej przystani. Muszę przemierzać ocean, wyrządzając tyle szkód, ile się da, zanim nie wyczerpię amunicji albo potężniejszy przeciwnik mnie nie złapie". Postanowił więc ruszyć wokół przylądka Horn, po drodze łupiąc statki handlowe i zatrzymując się w portach przyjaznych Niemcom państw Ameryki Południowej.

Anglicy na początku października 1914 r. skierowali przeciw niemu swoją Eskadrę Zachodnich Indii. Przebywająca wówczas w Valparaiso eskadra von Spee wytropiła przeciwnika i 1 listopada w bitwie pod Coronel zatopiła dwa brytyjskie okręty pancerne: „Good Hope" i „Monmouth". Okręty eskadry zostały radośnie powitane przez niemiecką kolonię w Valparaiso, gdzie zawinęły po bitwie, żeby uzupełnić zapasy. Von Spee był jednak świadomy beznadziejności swojej sytuacji. W bitwie wystrzelał połowę amunicji, a był pewien zemsty Anglików. Kiedy wręczano mu kwiaty, miał powiedzieć: „Będą ładnie wyglądały na moim grobie".

Dla Anglików ta pierwsza przegrana przez Royal Navy od ponad 100 lat bitwa była potężnym szokiem. Droga na Atlantyk i Falklandy była dla Niemców otwarta. Sir Julian Corbett, angielski historyk marynarki i geostrateg, stwierdził potem, że „konsekwencje bitwy pod Coronel wpłynęły na każdy morski teatr działań na globie".

Admiralicja zaczęła pospiesznie zbierać siły, żeby zatrzymać niemiecką eskadrę. Z bólem wydzielono dwa szybkie krążowniki liniowe – HMS „Invincible" i „HMS Inflexible" – ponieważ ciągle obawiano się walnej bitwy z Hochseeflotte na Morzu Północnym. 11 listopada wyruszyły one z bazy w Devonport, zabierając na pokład stoczniowców, którzy nie zdążyli usunąć usterek. Dowodzenie nad całością sił objął wiceadm. Doveton Sturdee. Do niedawna szef sztabu Admiralicji, zwolniony właśnie za klęskę pod Coronel, dostał okazję do rehabilitacji. 26 listopada na lagunach wysp Abrolhos u wybrzeży Brazylii jego siły połączyły się z krążownikami pancernymi „Carnarvon" i „Cornwall", należącymi do południowoatlantyckiej eskadry kadm. Archibalda Stoddarta. Dołączyły tam do nich patrolujący wschodni Atlantyk krążownik pancerny HMS „Kent" i ocalały po bitwie pod Coronel „Glasgow" oraz statki pomocnicze.

Sturdee dostał rozkaz płynięcia całą grupą na południe, przez przylądek Horn i dalej na Pacyfik. Angielski admirał nie spieszył się jednak. Zespół płynął z ekonomiczną prędkością, urządzając po drodze ćwiczenia artyleryjskie.

Niemcy również się nie spieszyli, zwiedzając po drodze wyspy, polując i wycinając choinki na zbliżające się święta. Von Spee okrążył przylądek Horn w nocy z 1 na 2 grudnia. Napotkana w pobliżu załoga holenderskiego statku informowała, że brytyjska eskadra ładuje węgiel w Port Stanley na Falklandach. Admirał uznał, że są to niedobitki spod Coronel, i postanowił wywabić je na pełne morze, rozbić, a potem zniszczyć bazę na Falklandach. Utwierdził go w tym niemiecki konsul z Punta Arenas, który w radiowej depeszy przekazał plotki celowo rozpuszczane przez Anglików. Tymczasem Sturdee na Falklandach pojawił się już 7 grudnia. Zamierzał zabunkrować tam swoje okręty węglem i płynąć na Pacyfik na spotkanie von Spee.

Szybkość i pancerz

8 grudnia rano brytyjskie okręty ładowały węgiel w Port Stanley, kiedy

eprasa.pl a7c1105b6a



HMS „Invincible" i HMS „Inflexible". Praca Williama Lionela Wylliego FOT. COMMONS WIKIMEDIA

posterunek na wzgórzu Sapper Hill zauważył zbliżające się z południowego zachodu dwa okręty. Były to wysłane na rozpoznanie „Gneisenau" i „Nürnberg". Szczęśliwie dla Brytyjczyków Sturdee zarządził dwugodzinną gotowość do wypłynięcia w morze. Kotły na okrętach były więc pod parą i nie prowadzono większych napraw. Około godz. 8.30 dostrzeżono kolejne słupy dymu na morzu, zwiastujące nadejście reszty niemieckiego zespołu. Pół godziny później schowany za półwyspem Pembroke HMS „Canopus" rozpoczął ogień kierowany z Sapper Hill. Jeden z pocisków trafił w komin „Gneisenaua". Niemcy, nie będąc w stanie z poziomu morza dostrzec przeciwnika, szybko zawrócili. Zdążyli jeszcze zauważyć, że w porcie oprócz krążowników stoją okręty z trójnożnymi masztami, charakterystycznymi dla okrętów liniowych. Uznali jednak, że są to japońskie pancerniki, które nie będą w stanie ich dogonić. Kiedy „Gneisenau" i „Nürnberg" dołączyły do reszty, zespół popłynął na południowy wschód, licząc, że szybko ukryje się w podbiegunowych mgłach.

Sturdee wydał swoim okrętom rozkaz „pościg generalny". Każdy kapitan miał gonić Niemców własnym tempem. Morze wypogodziło się po porannych mgłach i bijące z kominów niemieckich okrętów wielkie kłęby dymu były doskonale widoczne na horyzoncie. Brytyjskie krążowniki liniowe mogły rozwinąć 26–27 węzłów i po dwóch godzinach mieć już wolniejszych Niemców w zasięgu swoich 16 dział kalibru 305 mm. Ci w swoim największym kalibrze – 210 mm – dysponowali tylko ośmioma działami.

Brytyjskie pancerniki płynąc całą naprzód wkrótce same spowiły się kłębami dymu. Sturdee kazał zmniejszyć prędkość, żeby doszlusowały krążowniki, i wysunął naprzód HMS „Glasgow" do utrzymywania kontaktu z nieprzyjacielem. Niemcy byli już tylko 12 mil przed nim i dystans ciągle się zmniejszał. Sfatygowane wielomiesięcznym rejsem niemieckie okręty nie miały szans w tym wyścigu. Do zachodu słońca było jeszcze dużo czasu, więc ich jedyną szansą było wejście w mgłę.

Niemcy zaczęli manewrować, jakby szykowali się do walki, aż w końcu złamali ścisły szyk, w którym dotychczas płynęli. O godz. 12.47 Sturdee dał rozkaz do ataku. „Inflexible" i „Invincible" otworzyły ogień z dystansu ok. 15 km (największego możliwego) do najwolniejszego „Leipziga". Wkrótce zaczęły otaczać go fontanny wody z padających wokół pocisków.



Doveton Sturdee

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MINISTRY OF INFORMATION FIRST WORLD WAR OFFICIAL PHOTOGRAPH

Von Spee wiedząc, że jego lekkie krążowniki nie będą miały szans w walce z okrętami liniowymi, kazał im wyjść z formacji i zmierzać w stronę południowoamerykańskiego wybrzeża. „Scharnhorst" i „Gneisenau" miały przyjąć bitwę. Sturdee wysłał za lekkimi krążownikami swoje okręty – „Glasgow", „Cornwall" i „Kent". „Invincible" i „Inflexible" zaczęły ustawiać się do bitwy i rozpoczęły ostrzał, gdy Niemcy wciąż manewrowali, starając się wyjść na dogodną pozycję. W końcu zaczęli strzelać, ale ich pociski nie donosiły. Von Spee rozkazał więc podejść bliżej.

Okręty płynące na pełnej prędkości zasnuły się dymem z kominów, co utrudniało celowanie. Nastąpiła chaotyczna wymiana ognia, w której obie strony otrzymywały trafienia. Kiedy dym się rozwiał, Anglicy zobaczyli niemieckie okręty idące na południowy wschód, w odległości ok. 15 km. Sturdee kazał przyspieszyć i ok. godz. 15 przeciwnicy ustawili się do siebie burtami. Von Spee szedł na kurs zbliżeniowy, chcąc prawdopodobnie użyć również swojej artylerii pomocniczej. Okręty zaczęły się ostrzeliwać z odległości ok. 10 km, jednak dym cały czas utrudniał celowanie. Niemcy nie potrafili wyrządzić Brytyjczykom większych szkód, tymczasem na skróconym dystansie angielskie działa pustoszyły kajzerowskie okręty. Trzeci komin „Scharnhorsta" został ścięty pociskiem, przez co jego kotły nie dawały pełnej mocy. Co gorsza, z powodu zablokowanego steru okręt zaczynał dryfować. Trafiony „Gneisenau" nabrał wody i zaczął się przechylać na bok. Tak opisywał to jeden z nielicznych niemieckich marynarzy, którzy przeżyli bitwę: „Zabici i szczątki piętrzyły się, lodowata woda wlewała się przez luki i dziury po pociskach, gasiła pożary i wsiąkała w ubrania ludzi".

Sturdee w końcu zdołał ustawić swoje okręty tak, że wiatr rozwiał dym. Na widocznych jak na dłoni Niemców zaczął spadać grad pocisków. Przechył „Gneisenaua" był już tak duży, że nie mógł on strzelać z dział w kazamatach na burcie. Spee zdołał jeszcze odwrócić Scharnhorsta drugą burtą do przeciwnika, ale okręt przypominał już kupę złomu. Jak wspominał por. Gordon Findlay z HMS „Invincible": „Przez dziury nawet z takiej odległości przebijała stłumiona czerwo-

eprasa.pl a7c1105b6a

na poświata, kiedy ogień rozprzestrzeniał się między pokładami".

Sturdee manewrował, żeby wyjść spod ostrzału artylerii pomocniczej, jednocześnie zbliżając się do Niemców. „Inflexible" skoncentrował ogień na „Scharnhorście", na którym wciąż powiewała cesarska flaga. Okręt wkrótce jednak przerwał ogień i przechylił się na prawą burtę, a potem przewrócił i zatonął razem z adm. von Spee. Brytyjczycy nie ratowali rozbitków, skupiając się na „Gneisenau". Dowodzący nim kmdr Julius Maerker liczył, że uda mu się schować w nadchodzących deszczowych chmurach. Jednak okręt miał uszkodzoną wieżę nr 1 i zalaną kotłownię. Mocno zwolnił, co umożliwiło dołączenie do ataku również pozostającemu dotychczas w tyle „Carnarvonowi". Wszystkie trzy okręty ostrzeliwały teraz niemiecki krążownik, który pozbawiony komina wlókł się z prędkością zaledwie ośmiu węzłów.

Około godz. 5.30 mocno przechylony na prawą burtę okręt odwrócił się dziobem do „Invincible" i zatrzymał. Działa strzelały jeszcze chwilę, a potem zamilkły. Sturdee kazał przerwać ogień, ale po kilku minutach artyleria „Gneisenaua" znowu zaczęła chaotyczny ostrzał. Anglicy odpowiedzieli ogniem, jednak okręt szybko przechylił się i zatonął. W samą porę, bo w magazynach Anglików pozostało już tylko po kilka ładunków. Brytyjskie okręty zaczęły podejmować nielicznych rozbitków. Wyłowiono 190 marynarzy, ale Maerker i syn adm. von Spee, Heinrich, poszli na dno razem z okrętem.

Marynarskie szczęście

Około godz. 15 „Glasgow" dopędził „Leipziga", którego dowódca, kmdr Johannes Siegfried Haun, zawrócił i rozpoczął pojedynek artyleryjski, żeby odwrócić uwagę od pozostałych niemieckich okrętów. Niemiecka załoga strzelała bardzo celnie. „Glasgow" i „Cornwall" ostrzeliwały go z 8–9 km, aż w końcu ok. godz. 20 Haun, widząc beznadzieję dalszej walki, kazał otworzyć zawory denne i zatopić okręt, idąc z nim na dno. Nieco wcześniej „Kent" po pościgu zatopił „Nürnberg", na którym zginął drugi syn adm. von Spee – Otton. Być może był on pośród kilku marynarzy, którzy stali na wywróconym wraku, wznosząc niemiecką banderę, aż pogrążyli się razem z nim w falach. W bitewnym szale zatopiono też niemieckie węglowce, zamiast przejąć ich ładunek. Uciec zdołał jedynie SMS „Dresden".



HMS „Inflexible" ratuje rozbitków z zatopionego „Gneisenau" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

Zwycięstwo Sturdee'go było prawie pełne, chociaż w dużej mierze zawdzięczał je marynarskiemu szczęściu. „Invincible" został trafiony 22 razy. Każdy z pocisków mógł przebić pancerz i eksplodować w magazynie amunicji. A jednak okręt nie odniósł poważniejszych uszkodzeń ani nawet nie stracił nikogo z załogi. „Inflexible" został natomiast trafiony trzy razy. Anglicy stracili w całej bitwie 10 marynarzy, a Niemcy ponad 2,2 tys. Brytyjskie okręty opróżniły prawie zupełnie swoje magazyny amunicyjne, strzelając 1174 pociskami (trafiając przy tym „Scharnhorsta" ok. 40 razy, a „Gneisenaua" 34 razy). Gdyby Niemcy zdołali zniknąć we mgle, Sturdee musiałby przerwać pościg, ponieważ najbliższy magazyn z amunicją znajdował się na Gibraltarze.

Rajd adm. von Spee z jednej strony pokazał, że Royal Navy nie jest niepokonana i można jej rzucić wyzwanie. Jednakże potwierdziło się, że nie wystarczy mieć potężnej floty. Bez budowanej przez setki lat morskiej kultury, infrastruktury, sieci baz i połączeń między nimi a metropolią nie sposób było nie tylko panować na oceanach, lecz także osiągać poważniejsze sukcesy. Prawdziwe powodzenie na morzu osiągała za to gwałtownie rozbudowywana flota U-bootów, niemalże doprowadzając do zagłodzenia Wielkiej Brytanii i odcięcia Royal Navy od paliwa.

Zagłada niemieckiej eskadry u wybrzeży Falklandów sprawiła, że kierownictwo polityczne i wojskowe Rzeszy jeszcze ostrożniej podchodziło do bojowego użycia Hochseeflotte. Wielkie okręty nawodne większość czasu spędzały bezczynnie w bazach. Czekano na lepsze czasy, gdy zwycięstwa na lądzie pozwolą znowu wykorzystać flotę jako argument przy nowym podziale świata.

Jednak miało to swoje efekty uboczne – znudzeni marynarze byli o wiele bardziej podatni na pacyfistyczną propagandę komunistów. W 1918 r., na wieść o planowanej „decydującej bitwie morskiej", podnieśli bunt, który rozlał się po kraju, zadając ostateczny cios niemieckiemu cesarstwu i władzy Wilhelma II.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



Pruskie karabiny w służbie Rzeczypospolitej



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

U schyłku I Rzeczypospolitej regularna polska armia walczyła przede wszystkim bronią obcego pochodzenia. Gros zakupów czyniono w Prusach

FOT. RYSUNEK WOJCIECHA KOSSAKA (FRAGMENT) UKAZUJĄCY POLSKICH ŻOŁNIERZY PIECHOTY Z CZASÓW INSURekcji kościuszkowskiej. FOT. MWP

W okres europejskiego oświecenia Rzeczpospolita wkroczyła jako państwo upadłe, cywilizacyjnie i gospodarczo zacofane, z kadłubową armią, której potrzeby w zakresie uzbrojenia – zwłaszcza strzeleckiego – były więcej niż skromne. Ponieważ przemysł zbrojeniowy w zasadzie nie istniał, prawie wszystko trzeba było sprowadzać z zagranicy. W okresie saskim nieliczne regimenty autoramentu cudzoziemskiego nabywały broń we własnym zakresie, a to oznaczało, że była ona niejednolita. Jędrzej Kitowicz, baczny obserwator wojska doby saskiej, pisał: „Żelazne stemple w wojsku polskiem, generalnie i karabiny w każdym regimencie jednostajne nastały dopiero około roku 1759, kiedy Moskale wojujący z królem pruskim Fryderykiem II wielką moc broni tak Prusakom w różnych bitwach zabranej, jak też swojej własnej, po zginionych swoich sołdatach w Polsce zostawili. Niemało także dostało się Polakom broni takich od dezerterów, a że u tej broni były stemple żelazne, więc ztąd regimenta i chorągwie polskie wzięły okazyą i sposobność do stemplów żelaznych".

Nowy karabin dla armii Rzeczypospolitej

Broń regulaminowa pojawiła się w Polsce dopiero po pierwszym rozbiorze, w 1777 r. Związana była z reformą wojska podjętą przez Departament Wojskowy Rady Nieustającej: „Dla opatrzenia piechoty w [...] nową broń, zawarł Departament 23 czerwca 1777 roku kontrakt z braćmi Rafałowiczami na dostawienie 4.540 sztuk broni, po 34 zł. za sztukę – pisał Konstanty Górski w »Historii piechoty polskiej«. – Każda sztuka powinna była być zrobioną podług danego i opieczętowanego modelu, tak co do kalibru rur, jako też i zamków, stempli cylindrowych z grajcarem, bączków na sprężynach, osady z drzewa orzechowego suchego, sprężyn do utrzymania stempla w osadzie, trzech skówek mosiężnych, utrzymujących rurę z osadą na sprężynach i bagnetu na sprężynie [...]. Żelazo w rurach, bagnetach, zamkach dobrego gatunku. Sztuka w zamkach dobra. Każda sztuka broni miała być na miejscu próbowana i gdyby trzech wystrzałów nie wytrzymała i pękła, odrzucona".

Fragment ten, zaczerpnięty bez wątpienia z XVIII-wiecznego źródła, jest bardzo ciekawy. Po pierwsze, jednoznacznie wskazuje na datę przyjęcia do uzbrojenia armii Rzeczypospolitej jednolitej, standardowej broni piechoty. Po drugie, z opisu wynika, że „opieczętowany model" mógł łączyć w sobie trzy praktyczne innowacje – stempel cylindryczny wzoru pruskiego, bączki spajające lufę z łożem typu francuskiego oraz austriacki sposób mocowania bagnetu, czyli sprężynujący zatrzask kołnierza tulei bagnetu, mocowany od spodu lufy. Oznacza to, że członkowie Departamentu Wojskowego nie tylko uważnie śledzili zmiany wprowadzane w karabinach skałkowych na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, lecz także na ich podstawie opracowali nowy wzór zawierający w sobie wiele utylitarnych rozwiązań.

Niestety, żaden egzemplarz rodzimej regulaminowej broni strzeleckiej z okresu I Rzeczypospolitej – poza słynnym sztucerem kozienickim – nie przetrwał do czasów współczesnych (a przynajmniej nic o tym nie wiadomo). Z kolei opis u Górskiego jest na tyle ogólny, że faktyczny wygląd pierwszego polskiego regulaminowego karabinu musi pozostać w sferze domysłów. Podobnie jak pytanie, która z manufaktur otrzymała zlecenie wyprodukowania takiej

eprasa.pl a7c1105b6a



Zamek skałkowy oraz pruski karabin z lat 80. XVIII wieku. FOT. MWP

broni. Większość polskich autorów podaje, że była to wytwórnia pruska (poczdamska), ale teza ta nie wydaje się przekonująca. Górski wspomniał natomiast, że dla regimentów gwardii oraz fizylierów broń miała pochodzić z „fabryk krajowych". Jeśli tak było, to najbardziej prawdopodobna wydaje się wytwórnia w Pomykowie, która funkcjonowała w ramach kompleksowego założenia urbanistyczno-przemysłowego ufundowanego w 1750 r. przez kanclerza wielkiego koronnego Jana Małachowskiego w okolicach Końskich. Była ona jednak mała, a jej zdolności produkcyjne niewielkie. Ksiądz Józef Osiński w dziele „Opisanie polskich żelaza fabryk" podawał, że do 1782 r. zrobiono tu w jedynie 3394 egzemplarze broni wojskowej – fuzje z bagnetami dla piechoty oraz karabiny i pistolety dla jazdy.

Zakupy w Prusach

Tymczasem w ramach reform zainicjowanych przez Sejm Czteroletni (1788–1792) uchwalono podniesienie etatu armii Rzeczypospolitej do 100 tys. żołnierzy. Dla samej tylko piechoty potrzeba było ponad 61 tys. karabinów. Przemysł Rzeczypospolitej, którego roczne możliwości szacowane są na 500 sztuk, nie był w stanie sprostać takiemu zadaniu, nie mówiąc nawet o poprzednim mniejszym etacie (65 tys.). A trzeba pamiętać, że oprócz broni dla jednostek nowo formowanych należało stworzyć rezerwę mobilizacyjną i dokonać wymiany tej zużytej, zakupionej jeszcze w latach 70.; jej „resurs", określany na 12 lat, dawno już minął. W tej sytuacji broni trzeba było szukać za granicą. Komisja Wojskowa kupiła ją ostatecznie w Prusach za pośrednictwem słynnego warszawskiego bankiera Piotra Teppera. Do Polski trafiło ponad 22 tys. karabinów piechoty z bagnetami, 15 tys. karabinów dla jazdy i 15 tys. par pistoletów.



Pruska broń strzelecka była w owym czasie wielce nowatorska. W celu zwiększenia szybkostrzelności zastosowano w niej w latach 70. tzw. cylindryczny stempel zamiast stożkowatego, dzięki czemu unikano konieczności jego obrócenia dla dobicia ładunku szerszą częścią. W starszej wersji oba końce były tylko nieznacznie szersze, a jeden miał gwintowane gniazdo na wkręcany grajcar. Stemple te okazały się jednak zbyt ciężkie (ponad 600 g) i dlatego po pewnym czasie ich średnicę zmniejszono w części środkowej, co nadało obu końcom kształt wydłużonego stożka. Drugim doniosłym wynalazkiem był tzw. zapał lejkowaty (konischen Zündlochs) zastosowany w broni z 1780 r. W tym wypadku czołową płaszczyznę korka dennego podebrano promieniście od strony otworu zapałowego, natomiast sam otwór rozwiercono skośnie w kierunku komory prochowej; przy wsypywaniu ładunku proch przesypywał się samoistnie do panewki zamkniętej pokrywą. W ten sposób nie było potrzeby jej ręcznego podsypywania, a to nie tylko przyspieszało proces ładowania, lecz także zwiększało powtarzalność strzałów: miara ładunku w lufie była zawsze taka sama, a kanał zapałowy pełen prochu, co ograniczało możliwość jego spalenia na panewce bez zapalenia ładunku.

Nowatorskie, ale niepraktyczne

Pruskie modernizacje, z pozoru rewolucyjne, w praktyce okazały się kłopotliwe i poza Austrią nie znalazły szerszego naśladownictwa. Nowy stempel istotnie zwiększył masę broni, co było sprzeczne z ogólnoeuropejską tendencją jej „odchudzania", a zapał stożkowy szybko się zapychał nagarem, potęgował zużycie luf oraz zmniejszał prężność gazów prochowych. Dawał też duży podmuch ognia wydostający się z komory. Przy taktyce linearnej to było problematyczne, dlatego w latach 90. w karabinach z lejkowatym zapałem zastosowano stalową osłonę panewki, która miała zapobiegać poparzeniu żołnierza stojącego w szeregu po prawej stronie. Karabiny pruskie słynęły ponadto z bardzo słabej jakości, co wynikało z użycia w produkcji najtańszych surowców.

Broń, która trafiła do Polski, nie była fabrycznie nowa. Pozyskano ją z arsenału berlińskiego. Część karabinów sprowadzono spoza Prus (Suhl, Liège), trochę dostarczył też przemysł krajowy. Dało to w sumie ponad 26 tys. karabinów piechoty (4080 karabinów pruskich zakupił dodatkowo dla Rzeczypospolitej książę kurlandzki). Wraz z bronią znajdującą się już wcześniej w regimentach i w arsenałach pozwoliło to na wyposażenie całej piechoty. Konsekwencją przyjęcia do uzbrojenia karabinu z cylindrycznym stemplem i lejkowatym zapałem była zmiana w musztrze piechoty: komendę „Gotuj się do palby, broń w płask" (w celu podsypania panewki) zmieniono na: „Broń do nabijania". Karabiny pruskie były podstawowym uzbrojeniem strzeleckim piechoty w wojnie polsko-rosyjskiej w 1792 r. oraz podczas insurekcji kościuszkowskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a

XX w. / Kto zabił statki pasażerskie?

Transatlantyki na celowniku



RMS „Queen Mary" w Nowym Jorku FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STEVE KNIGHT



Tymoteusz Pawłowski

Wydawałoby się, że statki pasażerskie zostały zamordowane w latach 60. XX w. przez samoloty odrzutowe, szczególnie Boeinga 707. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. Przyjrzyjmy się więc podejrzanym, a także samym ofiarom...

Krzysztof Kolumb płynął przez Atlantyk ponad dwa miesiące: od 3 sierpnia do 12 października 1492 r. W epoce żaglowców była to norma. Jeśli wiatry nie sprzyjały, to trzymiesięczna podróż nie była niczym wyjątkowym, ale zdarzało się też, że szybkie statki pocztowe docierały do Europy już w 16 dni. Ryzyko było duże nie tylko ze względu na niebezpieczeństwa nawigacyjne, lecz także z powodu chorób. „Mayflower" przewożący w 1620 r. ok. 130 „pielgrzymów" do Nowej Anglii zapewniał im tyle miejsca, ile cztery współczesne przegubowe autobusy miejskie, i taką samą liczbę toalet oraz pryszniców.

Parowce zaczęły regularnie pokonywać Atlantyk w 1840 r., a pionierem był „Great Western", mający ponad 70 metrów długości i przewożący mniej więcej tyle pasażerów co „Mayflower". Warunki były jednak dużo lepsze, a przede wszystkim napęd parowy oznaczał niezależność od wiatrów i przewidywalność. Przebycie 5625 km pomiędzy Liverpoolem a Nowym Jorkiem zajmowało mu dwa tygodnie, później szybkość statków stopniowo rosła, tak że przed pierwszą wojną światową podróż skróciła się trzykrotnie.

Pierwsze 30 lat XX w. to złota era liniowców pasażerskich: w USA chętnie przyjmowano miliony europejskich emigrantów oraz tysiące milionerów. Ci pierwsi podróżowali III klasą, ściśnięci na piętrowych kojach. Ci drudzy – w apartamentach I klasy. Dla biznesmenów i urzędników była klasa II. Każde państwo chciało mieć statki większe, szybsze i bardziej luksusowe. Przez 20 lat – do 1929 r. – palmę pierwszeństwa dzierżyła brytyjska „Mauretania", potem przejęły ją niemiecki „Bremen" i włoski „Rex". Tuż przed drugą wojną światową konkurowały ze sobą francuska „Normandie" i brytyjska „Queen Mary". W 1952 r. zwodowany został „United States" – największy i najszybszy liniowiec pasażerski.

„United States" miał 302 metry długości i 31 szerokości, a silniki o mocy 360 tys. KM pozwalały mu regularnie podróżować z prędkością ponad 60 km/h. Przewoził blisko 2 tys. pasażerów obsługiwanych przez ponad 1 tys. ludzi załogi. Transatlantycka podróż zajmowała mu trzy i pół dnia.

Groźby

Wszystko zaczęło się psuć w 1929 r., gdy wybuchł wielki kryzys. Amerykanie nie przyjmowali już tak chętnie emigrantów, a liczba milionerów znacznie zmalała. Transatlantyki

eprasa.pl a7c1105b6a

budowano już tylko siłą rozpędu, szczególnie że pojawiła się konkurencja – samoloty. Początkowo przewoziły tylko pocztę, ale rozpoczęto również regularne loty pasażerskie sterowcami oraz hydroplanami. Te podróże miały jednak olbrzymią wadę: wykonywano je na stosunkowo niskiej wysokości, narażając samoloty i pasażerów na fatalne warunki atmosferyczne.

Sytuacja zmieniła się w czasie drugiej wojny światowej. Transatlantyki okazały się bardzo przydatne, ponieważ można było przewozić nimi całe dywizje, przykładowo „Queen Mary" mogła pomieścić 15 tys. żołnierzy. Jednocześnie samoloty zaczęły codziennie latać nad oceanami, a co ważne – nie startowały już z wody, tylko z długich betonowych pasów startowych masowo budowanych dla bombowców. W 1946 r. tłokowe samoloty pasażerskie regularnie latały nad Atlantykiem: podróż zajmowała ok. 16 godzin i z reguły obejmowała przystanek w Nowej Fundlandii i Irlandii.

W pierwszych dniach października 1958 r. Brytyjczycy rozpoczęli transatlantyckie loty samolotem odrzutowym de Havilland Comet. Trzy tygodnie później dołączyli do nich Amerykanie z boeingami 707 latającymi do Paryża i to oni – chociaż spóźnieni – dość szybko wygrali walkę o rynek lotniczy. Na zwycięstwo samolotów nad statkami trzeba było jednak poczekać jeszcze 15 lat.

W latach 60. walka wciąż trwała. Odrzutowce oferowały bowiem tylko jedną klasę: pierwszą. Jako że emigrantów i turystów nie było na nią stać, to wciąż podróżowali oni statkami. Odrzutowce miały również w miarę niewielki zasięg, więc chociaż od końca lat 50. przewoziły nad Atlantykiem więcej pasażerów niż statki, to przesiadki w drodze do Australii, Afryki Południowej czy na Daleki Wschód nie należały do komfortowych. Od 1965 r. większość armatorów notowała straty: część starszych transatlantyków odstawiono, inne wciąż pływały, mając nadzieję na lepszą koniunkturę.

Sztuczna rafa

Szybko jednak stało się jasne, że lepsza koniunktura nie nadejdzie. W 1970 r.



Przekrój RMS „Aquitania"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Transatlantyk SS „Polonia"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

do służby weszły pierwsze boeingi 747. Jumbo jety mogły przewozić trzy-, czterokrotnie więcej pasażerów niż starsze odrzutowce, sprawiając, że ceny biletów lotniczych gwałtownie spadły. Zmieniła się wreszcie struktura przewozów towarowych – wbrew pozorom transatlantyki miały duże ładownie – ponieważ popularne stały się kontenery i przewożące je specjalne statki. Postępująca dekolonizacja sprawiła, że dalekie rejsy pasażerskie straciły rację bytu. Wreszcie w 1973 r., po wojnie arabsko-izraelskiej, cena ropy wzrosła pięciokrotnie i olbrzymie statki pasażerskie stały się nieekonomiczne w porównaniu z samolotami.

W początkach lat 60. znaleziono dla statków pasażerskich niszę, przerabiając je na wycieczkowce. Przełomowy był nich rok 1977 r., gdy „Pacific Princess" został wykorzystany jako sceneria serialu „The Love Boat". Serial zdobył w kolejnych latach ogromną popularność i doprowadził do ponownego zainteresowania rejsami turystycznymi.

Nawiasem mówiąc, statki wycieczkowe nie są wcale nowym pomysłem. W XIX w. pływały po Morzu Śródziemnym, a w XX w. po Karaibach, ale nie były to duże jednostki. W drugiej połowie lat 80. zaczęto budować wycieczkowce dorównujące wielkością transatlantykom, a te współczesne są od nich nawet większe. I rosną niemal z każdym rokiem. Obecnie największym gigantem jest oddany do użytku w 2024 r. „Icon of the Seas". Jest on o 60 metrów dłuższy od „United States", 17 metrów szerszy, ma również 20 pokładów pasażerskich zamiast 12. Maszynownia jest za to trzykrotnie słabsza i w związku z tym statek z trudem rozwija prędkość 40 km/h. Ma przy tym dwa razy większą załogę, a na pokład może przyjąć 7,6 tys. pasażerów.

Te konstrukcje mają niewiele wspólnego z transatlantykami. Mają zupełnie inny, mniej elegancki kształt: pękaty kadłub optymalizowany jest do zawijania do małych portów, a nadbudówki są w gruncie rzeczy hotelami. Niemal wszystkie kajuty są tej samej klasy, a na cenę wpływa głównie to, czy pokój ma balkon (albo chociaż okno) czy jest to kabina najtańsza – wewnętrzna, pozbawiona dostępu do światła dziennego. Wszystko na pokładzie służy komfortowi pasażerów, a najważniejszą instalacją jest ta do niwelowania przechyłów. Ich maszynownie są słabe, ale ekonomiczne, nikomu się bowiem nie spieszy podczas podróży po ciepłych morzach.

„United States" wciąż unosi się na wodzie. Jednym z powodów jest to, że gdy zwodowano go w 1952 r., był nie tylko statkiem pasażerskim, lecz także mógł przerzucać do Europy amerykańskie wojska, a jego faktycznym właścicielem był rząd USA. Od lat 70. trzymano go więc „na sznurku", czekając na wojnę, tak jak czyniły to inne państwa ze swoimi transatlantykami. Gdy w 1991 r. skończyła się zimna wojna, stare statki trafiły wreszcie na złom, ale losu tego uniknął „United States". Jednostka dotrwała do naszych czasów, ponieważ planowano przeznaczyć ją na inne cele. Na 30-letnim planowaniu się jednak skończyło i wszystko wskazuje na to, że niebawem „United States" zostanie zatopiony jako element sztucznej rafy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a



1948–2025 / Strefa Gazy w ogniu

Riwiera na grobach

Palestyńczycy i izraelscy żołnierze w Strefie Gazy podczas pierwszej intifady, 1987 r.

FOT. EFI SHAFIR/NATIONAL LIBRARY OF ISRAEL/ DAN HADANI ARCHIVE



Piotr Zychowicz

Szalony pomysł Donalda Trumpa to przykrywka dla izraelskiej czystki etnicznej

Strefa Gazy
Długość: 40 km
Szerokość: 10 km
Powierzchnia: 360 km kw.
Ludność: 2,3 mln

Ten niewielki, przeludniony skrawek terytorium w ostatnich latach stał się areną najbardziej dramatycznych wydarzeń konfliktu bliskowschodniego. Przyciągał on uwagę całego świata, na czele z prezydentem Donaldem Trumpem, który zapowiedział, że przejmie to terytorium i zamieni w Riwierę Bliskiego Wschodu.

Skąd w ogóle wzięła się ta palestyńska enklawa na terytorium Izraela? Aby to wytłumaczyć, należy cofnąć się do czasów brytyjskiego mandatu w Palestynie. Brytyjczycy – jak wiadomo – przejęli Palestynę po pierwszej wojnie światowej w wyniku upadku imperium ottomańskiego. Gaza była stolicą jednego z pięciu dystryktów.

Sytuacja uległa diametralnej zmianie, gdy w 1948 r. doszło do wojny między Żydami a Arabami. Świeżo powstała izraelska armia opanowała 78 proc. Palestyny i z terenów tych brutalnie wypędziła arabską ludność cywilną.

Wypędzeniom towarzyszyły masakry, gwałty, grabieże i niezliczone akty przemocy. Swoje domy musiało opuścić 730 tys. Arabów. 22 proc. Palestyny, których nie udało się podbić, to oczywiście Zachodni Brzeg Jordanu i Strefa Gazy.

Gaza uniknęła żydowskiego podboju, ponieważ w mieście desperacko bronił się egipski garnizon wojskowy. Jego drogi zaopatrzeniowe prowadziły na południe, na terytorium Egiptu. Stąd taki, a nie inny kształt terytorialny Gazy – wąskiego paska terytorium, który na południu opiera się o granicę z egipskim Synajem?

W trakcie wojny 1948 r. do Strefy Gazy – pod skrzydła Egipcjan – napłynęły dziesiątki tysięcy arabskich uchodźców wypędzonych przez Żydów z południowej Palestyny. W sumie ponad 200 tys. ludzi (Gaza liczyła 80 tys. mieszkańców). W efekcie pod koniec wojny na terenie enklawy, która obejmowała zaledwie 1 proc. terytorium Palestyny, znalazło się blisko 25 proc. jej arabskich mieszkańców.

Już wówczas Gaza była uznawana za przeludnioną, a od tego czasu jej ludność powiększyła się blisko 10-krotnie. Do 2,3 mln mieszkańców, w przytłaczającej większości uchodźców i ich potomków.

Ataki fedainów

W latach 1948–1967 Strefa Gazy znajdowała się pod kontrolą Egiptu. W wyniku wojny sześciodniowej dostała się zaś pod okupację Izraela. Przez cały ten czas terytorium to stanowiło kolosalny problem dla państwa żydowskiego. Ze względu na olbrzymią liczbę ludzi stłoczonych na niewielkim terytorium Gaza borykała się z nędzą, bezrobociem i brakiem perspektyw.

Obozy dla uchodźców szybko stały się wylęgarnią fedainów, którzy przekraczali granicę i atakowali Izraelczyków, a potem terrorystów samobójców. Na ataki z Gazy Izrael odpowiadał brutalnymi rajdami pacyfikacyjnymi.

eprasa.pl a7c1105b6a

Jako przykład można podać zbrodnie, do których doszło podczas izraelskiej okupacji Strefy Gazy na przełomie lat 1956 i 1957. Gdy syjonistyczne wojska – pod presją USA – opuściły terytorium, na jaw wyszły szokujące fakty. Podczas czteromiesięcznych „rządów" Izraela w Gazie żołnierze dopuścili się wielu drastycznych zbrodni na palestyńskiej ludności cywilnej.

Pod pretekstem rozprawienia się z fedainami izraelskie wojsko wyłapywało przypadkowych palestyńskich mężczyzn od 15. roku życia w górę. Izraelscy żołnierze upokarzali ich i okrutnie się nad nimi pastwili. A na końcu kaźni rozstrzeliwali grupami z karabinów maszynowych. Innym ofiarom z przyłożenia pakowali po jednej kuli w głowę.

3 listopada 1956 r. w Chan Junus izraelscy żołnierze zgładzili co najmniej 275 Palestyńczyków, dziewięć dni później w Rafah rozstrzelali 111. W sumie podczas całej okupacji Strefy Gazy ofiar śmiertelnych było od 930 do 1200. Zabójstwom towarzyszyły grabieże.

„W kilku alejkach znaleźliśmy porozrzucane na ziemi ciała – wspominał izraelski żołnierz Marek Gefen. – Były pokryte krwią, z roztrzaskanymi czaszkami. Nikt nie zadbał o to, żeby je uprzątnąć. To było straszne. Zatrzymałem się na rogu i zwymiotowałem. Nie mogłem przywyknąć do widoku ludzkiej rzeźni".

Podobnych wydarzeń było znacznie więcej. Krwawe rajdy na Gazę urządzał m.in. słynny izraelski oficer – przyszły premier – Ariel Szaron. W czasach współczesnych Strefa Gazy stała się areną zaciętych walk w trakcie pierwszej i drugiej intifady. A w końcu matecznikiem skrajnej, terrorystycznej organizacji Hamas.

Wrogi byt

W 2007 r. Hamas przejął władzę nad tym terytorium, doprowadzając do rozpadu Autonomii Palestyńskiej na dwa odrębne organizmy (Zachodni Brzeg Jordanu kontroluje konkurencyjny ruch Fatah).

W efekcie Strefa Gazy została uznana przez Izrael za wrogi byt. Izraelczycy wprowadzili totalną blokadę tego terytorium z lądu, powietrza i morza. Permanentne oblężenie. Dwa miliony ludzi znalazły się w pułapce – wielkim więzieniu pod otwartym niebem. Albo – jak uważają obrońcy praw człowieka – wielkim obozie koncentracyjnym.

Działania Izraela – jak można było przewidzieć – doprowadziły do dwóch zjawisk: niebywałego wzrostu poparcia dla Hamasu i jeszcze większej nienawiści do państwa żydowskiego. Sytuacja w Gazie przypomina wrzący kocioł.

W efekcie zainicjowana została spirala niepowstrzymanej przemocy. Palestyńskie ataki terrorystyczne przeplatają się z izraelskimi operacjami pacyfikacyjnymi. Mowa o „koszeniu trawy". W izraelskim żargonie wojskowym określa się w ten sposób operacje specjalne, które Izrael co pewien czas przeprowadza w Gazie. W tym porównaniu Hamas jest trawą, a izraelskie siły zbrojne – kosiarką.

Za każdym razem, gdy palestyńska organizacja nieco się wzmocni, Izraelczycy – wykorzystując najbliższy nadarzający się pretekst – rozpoczynają zmasowane bombardowania i ostrzał artyleryjski Gazy.

Oto najważniejsze operacje „koszenia trawy":

1. „Letnie Deszcze" z 2006 r., przeprowadzona przez Izrael w odwecie za uprowadzenie przez Hamas żołnierza Gilada Szalita. Bilans: 11 zabitych Izraelczyków, 402 zabitych Palestyńczyków;

2. „Płynny Ołów" z 2008 r., w odwecie za ostrzał rakietowy z Gazy. Bilans: 13 zabitych Izraelczyków, 1330 zabitych Palestyńczyków;

3. „Filar Obrony" z 2012 r. Bilans: 4 zabitych Izraelczyków, 105 zabitych Palestyńczyków;

4. „Obronny Brzeg" z 2014 r., przeprowadzona w odwecie za uprowadzenie i zamordowanie trzech izraelskich nastolatków. Bilans: 73 zabitych Izraelczyków, 2,3 tys. zabitych Palestyńczyków.



Izraelscy żołnierze w Strefie Gazy, 2023 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ISRAELI DEFENCE FORCES

Riwiera Trumpa

Ostatnie dramatyczne wydarzenia były apogeum tego konfliktu: palestyński atak z 7 października 2023 r. (1,2 tys. ofiar) i zniszczenie Stefy Gazy przez Izraelczyków (47 tys. ofiar, w tym 18 tys. dzieci). Skala dramatu tym razem była prawdziwie apokaliptyczna.

Jaki byłby idealny scenariusz dla Izraela? Oczywiście likwidacja Strefy Gazy. Wypędzenie jej mieszkańców i zrównanie z ziemią ostatnich ocalałych budynków. Nie jest to żadna teoria spiskowa – izraelscy ministrowie mówią o tym otwartym tekstem. Już Icchak Rabin stwierdził, że „najlepiej by było, gdyby Strefa Gazy zatonęła w Morzu Śródziemnym".

Czy Izraelowi uda się osiągnąć ten cel i dokonać czystki etnicznej? Pomocną dłoń wyciągnął do syjonistów prezydent Trump. Pomysł na Riwierę Bliskiego Wschodu jest prosty. 2,3 mln Palestyńczyków ma zostać siłą usuniętych ze Strefy Gazy i deportowanych do Egiptu i Jordanii.

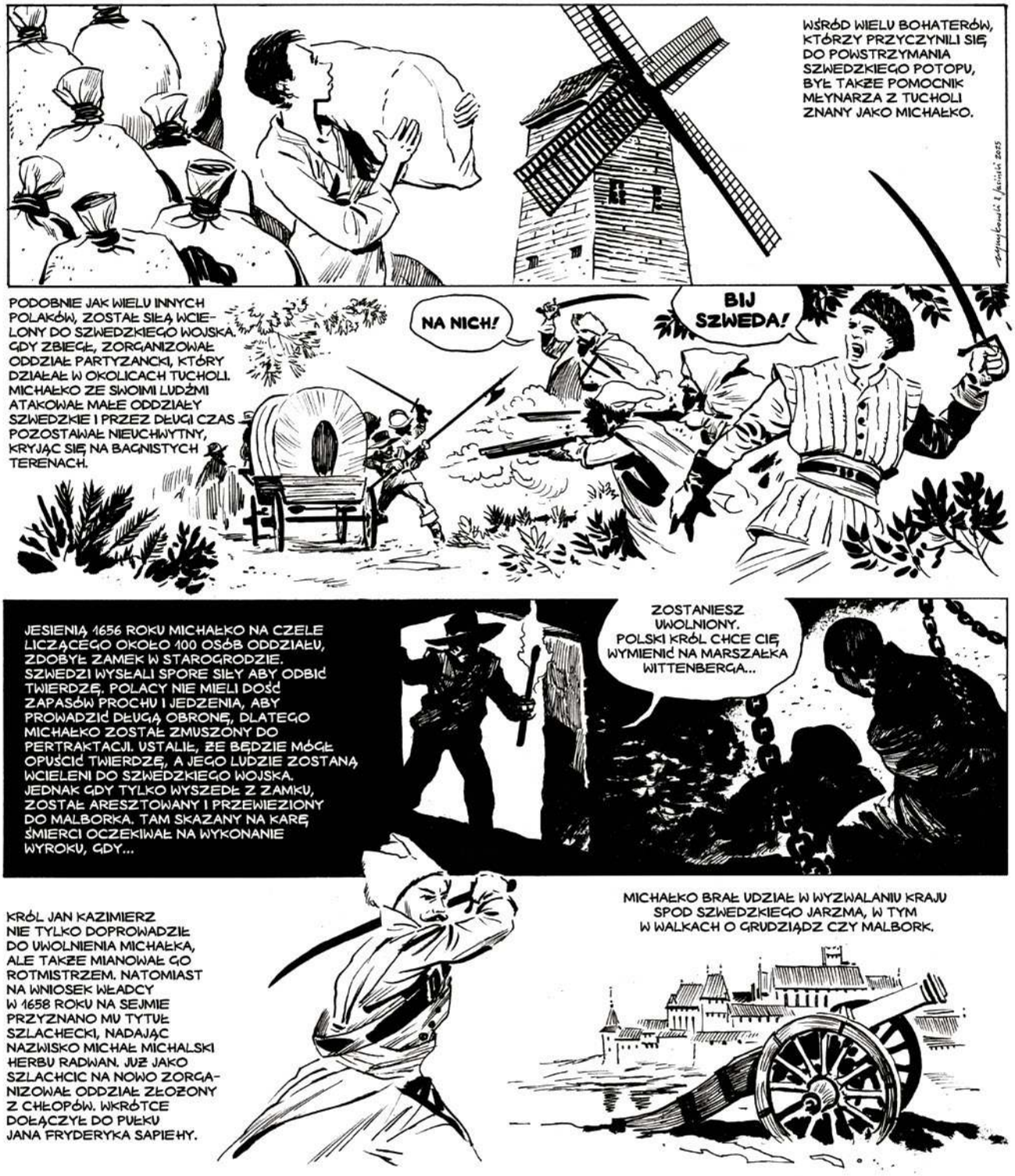
Na gruzach Strefy Gazy amerykańscy deweloperzy zbudują zaś supernowoczesny kurort. Luksusowe hotele, kasyna, restauracje. Na Riwierze będą mogli zamieszkać ludzie z całego świata oprócz… rodowitych mieszkańców Gazy. Trump wyraźnie zapowiedział bowiem, że Palestyńczycy nie będą mieli prawa powrotu na swoje terytorium. Będzie to więc riwiera segregacji rasowej.

Szalony pomysł Trumpa został oczywiście przyjęty z entuzjazmem przez Izraelczyków. Problem tylko w tym, czy uda się go zrealizować. Na razie bowiem ani Egipt, ani Jordania, ani inne państwa arabskie nie mają najmniejszej ochoty na przyjęcie 2 mln Palestyńczyków. Arabowie stoją na stanowisku, że Stefa Gazy musi zostać odbudowana i stać się w przyszłości częścią niepodległej Palestyny. Na to zaś nie godzi się Izrael. To zaś oznacza jedno: kolejna masakra i rozlew krwi są tylko kwestią czasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7c1105b6a

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl a7c1105b6a

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



159 zł

oszczędność 43 zł

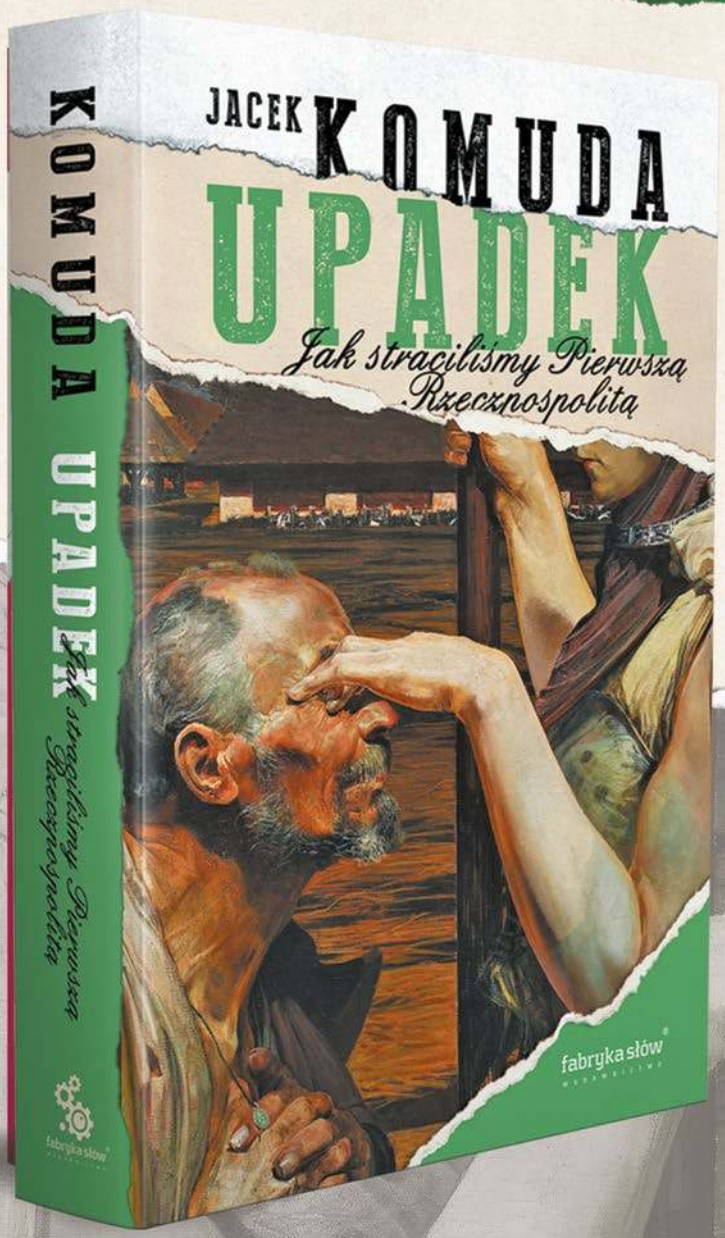
JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a7c1105b6a

W ROKU 1618 I RZECZPOSPOLITA OSIĄGNĘŁA SZCZYT SWEJ POTĘGI.
JAK DOSZŁO DO TEGO, ŻE TAK WIELKIE, DUMNE I POTĘŻNE
PAŃSTWO PRZESTAŁO ISTNIEĆ?



Jej terytorium zajmowało ponad milion kilometrów kwadratowych, rozciągało się między dwoma morzami i było istnym tyglem kulturowym. Do końca XVIII wieku ten kolos całkowicie znikł z mapy Europy. Znikła nie tylko pamięć o Rzeczypospolitej, ale nawet jej nazwa…

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 26.02.2025

patronat medialny

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY
granice.pl
Wielka HISTORIA
HISTORIA .ORG.PL
ciekawostki historyczne.pl

eprasa.pl a7c1105b6a